

ZASKAKUJĄCY DEBIUT KRYMINALNY!

AGNIESZKA JEŻ

SZOMIŁO SZOMIŁO

DO MNIE NALEŻY POMSTA,
JA WYMIERZĘ ZAPŁATĘ

AGNIESZKA JEŻ

SZANIEC

PROLOG

Wydawało mu się, że usłyszał pukanie. Wiele rzeczy mu się ostatnio wydawało. Nie tak sobie wyobrażał pobyt tutaj. Ekskluzywnie, drogo, ekscytująco, zajrzeć w głąb siebie... Tak, dostawał tutaj to wszystko, ale dwa pierwsze punkty już w życiu przerabiał i znał lepsze ich wersje, „ekscytująco” – cóż, to też się zdarzało i do tej pory nic tego nie przebiło, choć szukał zamienników, próbował zwalczać pokusy, Pan przecież to wie... „Bóg mi świadkiem”, mógłby tak powiedzieć, przysiąc na to. „Zajrzeć w głąb siebie”. To akurat potraktował jak chwyt marketingowy. Niesłusznie, bo i tego zaczynał doświadczać, a lepiej, żeby to, co mu się ukazywało, pozostało w tej głębi.

Znowu ten sam dźwięk. Dwa rytmiczne stuknięcia, jak poprzednio. Zawahał się. To było nieoczekiwane i wbrew regulaminowi. „Żadnych wizyt w pokojach innych gości”, co akurat mu odpowiadało. Gdyby coś się stało lub gdyby dostali nowe, nieoczekiwane zadanie, skontaktowano by się z nim przez interkom. Więc to nikt z obsługi, tylko ktoś z grupy.

Zawahał się. Był już w piżamie, zaraz miał się położyć do łóżka.

„Może to coś ważnego?”, pomyślał. On przecież był w pracy dwadzieścia cztery godziny na dobę, taką służbę sobie wybrał. Ale tu, w tym miejscu? Kto wiedział, czym on się zajmuje? Wszyscy występowali w Szańcu *incognito*. Ociosani z przeszłości do tu i teraz.

Pukanie powtórzyło się trzeci raz.

Mógłby udać, że nie słyszy. Mury są tu grube, drzwi solidne, a pora – snu.

Postanowił jednak, że otworzy; trochę z poczucia obowiązku, trochę z ciekawości.

Przekręcił zamek w drzwiach, nacisnął klamkę i lekko uchylił ciężkie drzwi. Chodziły bezgłośnie. Wszystko tutaj było takie płynne, naoliwione, niezostawiające śladów i nierobiące hałasu.

W delikatnej poświacie korytarza dostrzegł jakąś postać. Przez chwilę miał problem z rozpoznaniem, który to z gości. Nie włożył okularów, a ta osoba stała tak, że jedyne źródło światła miała za plecami. Ciemną sylwetkę na wysokości głowy okalał słaby blask żarówki – w nocy fotokomórka uruchamiała światło oszczędniej. Gość wyglądał jak w aureoli. „Jaki zawód, takie skojarzenia”, pomyślał i uśmiechnął się do siebie. Niepokój się ulotnił.

– Mogę wejść? – Usłyszał głos i rozpoznał jego właściciela. Lekko się zdziwił; nie tak by obstawiał, ale kto wie, jakimi ścieżkami Pan prowadzi?

– Tak – odparł i odsunął się, wpuszczając gościa do pokoju.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale to nagła potrzeba... Potrzeba spowiedzi.

Więc jednak. Nikt nic o nikim nie wie, a i tak nie udało się tego utrzymać w tajemnicy. Może czymś się zdradził?... Ale czym, jak? Może to po prostu widać, tak jak da się przypisać ludziom zawody na podstawie ich wyglądu, ubrania, zachowania. Zresztą nieważne, później o to zapyta. Teraz wyznanie win.

– Siądźmy. – Wykonał dłonią gest zapraszający do zajęcia miejsca na krześle przy niedużym stole.

Zobaczył, że zostawił na blacie pudełko z lekami, jego prywatny „dawkometr zdrowia”, jak je nazywał. Wziął pojemnik do ręki i przełożył na stolik. Przy okazji przekręcił klosz lampki nocnej; była ustawiona tak, by oświetlać pokój, nie łóżko, bo nie lubił górnego światła. Wiedział jednak, że spowiadający się potrzebują skryć się w cieniu, a teraz jego gość siedział jak na przesłuchaniu. Widział takie sceny na filmach; nic przyjemnego, zdecydowanie by nie chciał w nich uczestniczyć. Oczywiście w rzeczywistości to wygląda inaczej, zwłaszcza wtedy, gdy wiadomo, że rozmowa z funkcjonariuszem będzie pierwszym i ostatnim etapem sprawy.

Mimo wszystko – lepiej unikać. Jemu się udało. Ciekawe, co się nie udało gościowi.

– Ksiądz się dziwi mojej wizycie? – Usłyszał, gdy doginał giętkie ramię lampy, kierując snop światła na poduszkę.

– Nie. To znaczy samej spowiedzi nie, może temu, że się wydało, że jestem księdzem. Mówię „wydało”, jakby to był powód do wstydu. – Odwrócił się i uśmiechnął.

Odpowiedział mu także uśmiech.

Ostatnio spowiadał coraz rzadziej. Wydawało mu się, że nie odczuje tego braku, a jednak – czuł się trochę jakby zredukowany. Prowadzenie bliźnich przez kręte ścieżki, żeby doszli do Pana, taka była szczytna idea jego pracy. Ferowanie wyroków, nakazywanie kar; to też było pokaźne. Zwykle konfesjonał skutecznie odgraniczał go od penitenta. *Sacrum* i *profanum* się nie mieszało, grzech po jednej stronie, zbawienie – po drugiej. Jasno wyznaczone role.

Usiadł na krześle naprzeciwko.

– Proszę – zachęcił. Nie muszą iść w standardowe formułki, rozumiał także, że wyznanie grzechu nie jest łatwe, ale nie będą tak przecież siedzieć całą noc. Nie jest już młody, organizm dopomina się o swoje. Ostatnio, mimo że to urlop, nie czuł się najlepiej. Kiedy turnus się skończy, pójdzie do Szuby. Trzeba będzie pokombinować z lekami, może dać inne, a może dawki zmienić?... Nie zamierzał tak łatwo oddać pola starości.

– Patrzysz na mnie...

– Mogę sięść bokiem, jak przy kratce. – Obrócił się barkiem.

– Nie! – Protest był niespodziewanie gwałtowny. – Nie – powtórzono już spokojniej.

Chwila ciszy.

– Patrzysz na mnie, ale nie daj się zwieść temu, co widzisz.

W pierwszej chwili nie rozumiał. W drugiej zresztą także nie.

– Nie rozumiem – powiedział więc. – Ale jeśli chodzi ci o to, że mógłbym cię oceniać czy potępiać...

– To nie ja do ciebie przychodzę, tylko ten mały skrzywdzony chłopiec, który stracił wszystko w jednym momencie.

Zimny dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie. Spojrzał przez stół. Przypomniała mu się ta kartka. Nie, to niemożliwe, nie w tym wypadku. A może to gra? Kolejne dziwaczne zadanie? Podpucha? Takie „sprawdzam i może coś złowię”? Oni mają tu niezły wywiad, zresztą właściciel to zgrywus. Tak, na pewno go podpuścił.

– Nieładnie, nieładnie! – Pogroził palcem. – Prawie się nabrałem. – Pokazał w uśmiechu mocne żółtawe zęby.

Ale jego gość już się nie uśmiechał.

– Przecież wiesz. Wiesz i się zastanawiasz: jak to, ofiara przychodzi się wypowiadać? – Głos był opanowany i pewny siebie.

Znowu go zmroziło. Poczul nieprzyjemny ucisk w gardle. Nie, to nie był żart. Teraz już rozumiał, wszystko mu się ułożyło w głowie. Kto by pomyślał... Odchrząknął, ale nic nie powiedział. Chwilowe przerażenie ustąpiło gruntowanej przez lata rutynie. Pozwleka jeszcze, weźmie na przeczekanie, to zawsze się sprawdza.

– Nie, będzie odwrotnie, to ja wypowiadam cię. Tyle lat... No, nie patrz w ten sposób, przecież pamiętasz. Na pewno wracasz do tych wspomnień, co?

– Ja... – Wreszcie postanowił się odezwać. Utnie to, zakończy, wyprosi za drzwi. Nie musi tego słuchać. Nie powinien, nie chce. Nic na niego nie ma. Nikt nic na niego nie ma. Ta sprawa jest dawno zamknięta. Definitywnie. – Nie wiem, o co chodzi. Nie zrobiłem nic złego, a teraz... – Podniósł się z krzesła.

– Zapierasz się? Będziesz jak Piotr Apostoł? Nie zapieraj się, nie ma po co, wszystko zostanie między nami. Dla ciebie kogut już nie zapieje.

Zrobiło mu się słabo. Jeszcze nie rozumiał, w jaki sposób został zdemaskowany, ale już miał pewność, że go mają, ucapili go. I że tym razem trudno będzie się z tego wywinąć.

„Dla ciebie kogut nie zapieje”.

Lecz on zaprzeczył temu wobec wszystkich i rzekł: „Nie wiem, co mówisz”. A gdy wyszedł ku bramie, zauważyła go inna i rzekła do tych, co tam byli: „Ten był z Jezusem Nazarejczykiem”. I znowu zaprzeczył pod przysięgą: „Nie znam tego Człowieka”. Po chwili ci, którzy tam stali, zbliżyli się i rzekli do Piotra: „Na pewno i ty jesteś jednym z nich, bo i twoja mowa cię zdradza”. Wtedy począł się zaklinać i przysięgać: „Nie znam tego Człowieka”. I w tej chwili kogut zapiał.*

To był moment. Wstał, żeby zakończyć tę rozmowę, żeby już nie powtarzać po raz kolejny: „Nie wiem, o co chodzi”. Chciał otworzyć drzwi, wyprosić gościa i zostać sam. A rano, po śniadaniu, ewentualnie opracować jakiś plan obrony. Może przerwać ten głupi urlop i zaszyć się w pałacu. Coś się wymyśli. Coś zawsze się wymyślało.

Uklucie było delikatne, jak ucięcie komara. Cienka igła na chwilę zagłębiła się w jego udzie, nacisk tłoka wepchnął w jego ciało jakiś płyn.

Przestraszył się, z nerwów zakłuło go w piersiach, aż przysiadł na łóżku.

Nie działo się nic, ale przecież sobie tego nie wyobraził.

Patrzyli na siebie bez słowa.

– Poczekam z tobą – Usłyszał.

„Na co?”, pomyślał. Obrócił się do okna. Za szybą była czerń, nieprzenikniona ciemność. „Do świtu jeszcze kilka godzin. Kilka godzin, nim kogut zapieje. Absurd, absurd!”, zbuntował się nagle. Chciał się podnieść i załatwić to inaczej.

Nagle już nie tylko za oknem zapanował smolisty mrok.

Wziął ostatni oddech.

I umarł.

* (Mt 26, 31–35. 57–75), Biblia Tysiąclecia.

ROZDZIAŁ 1

Znowu ją widziała. Za każdym razem, gdy jechała na interwencję domową, widziała swoją matkę. Te wszystkie kobiety były do siebie tak podobne: za dużo źle rozsmarowanego fluidu, który miał ukryć sińce, włosy przysłaniające pobitą twarz, mocno zaczesane grzywki, maskujące potłuczenia, w upalne lato koszule z długimi rękawami, zakrywające szramy, spódnice do pół łydki, żeby nie było widać czerwonych ran na nogach, okulary przeciwsłoneczne bez względu na stopień zachmurzenia, bo obwódki pod oczami długo się utrzymywały.

Dzwoniły, gdy udało im się wyrwać z jego łap między kopniakami lub rzucaniem na ścianę. Albo wtedy, gdy on ją najpierw „pouczył rozumu”, a potem zasnął gdzieś w kącie i chrapał, wydmuchując przez otwarte usta opary wódki i garmażerii czwartej kategorii. Czasem zjawiały się w komendzie, bo czuły, że mogą nie przeżyć kolejnego razu lub gdzieś w telewizji obejrzały program o przemocy domowej i nagle nabrały odwagi, by wydać swojego tyrana.

A potem, potem prawie zawsze było tak samo: odwoływały złożone zeznania, bo on obiecywał poprawę, albo gdy przyjeżdżał patrol, twierdziły, że już się pogodziły z małżonkiem, zresztą po co angażować władzę w domowe sprzeczki, co w rodzinie się dzieje, to w rodzinie zostaje.

Czasem był wariant mieszany, jak teraz. Telefon na policję, bo instynkt samozachowawczy wygrywał z lękiem przed samczym gniewem. To nie była odwaga, tylko ostatkiem sił uruchomiona wola przetrwania. Jednak później, gdy przyszło do rozmowy z funkcjonariuszami, to mimo że wersja wydarzeń została

podtrzymana, nie było mowy o oficjalnym zgłoszeniu. Frustracja znalazła ujście w narzekaniu na niewydolny system.

– Wy pojedziecie, a ja tu zostanę. A on, jak wróci, to taki wkurwiony, że miazgę ze mnie zrobi. – Mniej więcej trzydziestoletnia mocno tleniona blondynka odpaliła kolejnego papierosa. Ręce jej latały, z trudem udało się jej przejechać zapalką po drasce.

Stali w kuchni, gdzie dusił zapach gotowanej kapusty. W drugim pokoju huczał telewizor. Wiera zajrzała tam – czworo dzieci, wszystkie w zbliżonym do siebie przedszkolnym i wczesnoszkolnym wieku, oglądało jakąś kreskówkę z konikami pony. Skulone, przytulone do siebie, jak jedno duże ciało z czterema parami chudych rąk i nóg. Spojrzenia, gdy obróciły się w stronę drzwi, miały jednakowe – ciemne, spłoszone, jak zwierzęta w potrzasku. Ścisnęło ją w żołądku.

– Jeśli nie złożą pani zeznań, nie da nam pani szansy. Sobie też nie. – Komisarz Janusz Kosoń, szef Wiery, powiedział to spokojnie, jakby niewiele go to kosztowało i jeszcze mniej obchodziło. I nawet miał coś na kształt uśmiechu na twarzy. To był jego problem. To znaczy nie jego, tylko osób, które przesłuchiwał. Odbierały go jak wypalonego policjanta tuż przed emeryturą, któremu wisi i powiewa ich los, albo, co gorsza, jak cynika, który klepie standardową formułkę, choć za grosz nie wierzy w to, co mówi. Wiera wiedziała, że ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Początkowo też się dała nabrać na ten styl. Kiedy dwa lata temu zaczynała pracę w policji i przydzielono ją do Kosonia, pomyślała, że fatalnie trafiła. Bo raz, że Giżycko, czyli niedaleko Ornety, od której chciała odjechać daleko i na zawsze, a dwa, że za szefa dali jej kogoś, kogo obchodzi tylko to, żeby zawsze mieć pod ręką papierosy. Podejrzewała, że pije, bo zawsze był taki sfilcowany – lekko niedogolony, lekko niedoczesany (zresztą jak się ma takie niby loczki, to jak je czesać?), wymięty. Miał małe oczy i często je przymykał. Nosił polarowe koszule – w dwudziestym pierwszym wieku! Musiał je kupić w czasie transformacji, bo nawet na okolicznych bazarach już takich nie sprzedawali. T-shirty miał niewyprasowane, też archiwalne, z szerokimi ściągaczami i bez domieszki elastanu, więc się rozciągały przy szyi. Był małomówny i rzadko się

irytował. Sprawiał wrażenie, jakby żył obok. Potem się dowiedziała, że się tak społecznie i emocjonalnie osunął po śmierci żony. Był wdowcem od ośmiu lat i zakonserwował się w tym stanie; smutek zamienił na melancholię, miał już pewność, że świata nie uratuje, więc się nie spalał w altruistycznym dążeniu. Nie znaczyło to jednak, że mu nie zależało, o tym Wiera już zdążyła się przekonać. Nią rzucało, gdy widziała, czytała lub słyszała o różnych niegodziwościach, zwłaszcza kiedy cierpiały maltretowane kobiety i ich dzieci. Kosoń zachowywał spokój. Cóż, dzieliło ich trzydzieści lat, płeć i doświadczenia życiowe. Utratę ukochanej żony i bezdzielną samotność przeżywa się i odreagowuje inaczej niż dzieciństwo z przemocowym ojcem, który chlał i bił matkę, a potem przepadł i nim się okazało, że się utopił, przez trzy lata nie dostawały po nim renty. Nawet to im spieszyło.

Klaudia Moroń, do której tu przyjechali, spojrzała kpiąco najpierw na Kosonia, a potem na Wierę.

– Tu są Biedaszki Małe, a nie Giżycko czy jakieś Warszawy. Tu życie inaczej wygląda. – Zaciągnęła się i wypuściła obłok dymu w stronę Wiery.

Wiera zacisnęła pięści. Już mniej ją obchodziła ta cycata, źle ufarbowana blondynka. Jeśli te sińce jej odpowiadają, chuj z nią. Ale dzieci? Czwórka maluchów, które muszą na to patrzeć i na pewno obrywają rykoszetem. I które powtórzą los rodziców – albo będą łać, albo będą lane. Tu był jeden chłopiec i trzy dziewczynki, więc z pewnością trzy przyszłe ofiary, a może i cztery.

– Przecież sama pani dzwoniła ze zgłoszeniem – powiedziała, z trudem hamując irytację.

– Zgłosiłam, ale się pomyliłam. Pomylić się nie można? – zapytała kpiąco Moroń. – Wy się nigdy nie mylicie?

Wiera wzięła głęboki oddech. Nie da się sprowokować. „Myśl o dzieciach”, rozkazała sobie.

– Tym razem tylko pani oberwała. – Spojrzała na zaczerwieniony policzek blondynki. Dziś mógł uchodzić za rozlany rumieniec, od jutra zacznie ewoluować w fioletowego siniaka. – A co będzie następnym razem? Może któreś dziecko go

zdenerwuje? Albo przywali pani tak, że nie będzie czego zbierać, a maluchy wylądują w bidulu.

– Troskliwa nasza władza... Ale na trosce się kończy. Bo potem będzie tak – zbliżyła się do Wierę – że mnie się będą czepiać, czy ja jestem dobra, czy matka odpowiednia, czy się nie łajdaczy, a on dostanie zawiasy, a wcześniej nas wytłucze. Gdybyś znała życie... – To Wiera usłyszała już z bardzo bliska. Miała wrażenie, że kropelki śliny, z którymi to ostatnie zdanie pofrunęło w świat, osiadły na jej gładko spiętych brązowych włosach. Zagotowało się w niej.

– Znam. Lepiej, niż ci się wydaje. – Zrobiła krok do przodu, szturchając Masoń ramieniem.

Poczuła, że ktoś ją dotyka. Kosoń zacisnął dłoń na jej łokciu.

– Interwencja zakończona – powiedział. – Żegnamy się.

Wyszli na podwórko. Wiera ze złością kopnęła plastikową butelkę z niedopitą oranżadą.

„Kurwa”, zaklęła w myślach. Poniosło ją, prawie ją poniosło. Jeszcze chwila i uderzyłaby tę blondynę. Zapiękły ją oczy. Z żalu nad tymi dziećmi. I nad sobą w przeszłości. W ten sposób chciała ukarać swoją matkę i wszystkie inne matki, które się godzą na przemoc. A przecież im się należały pomoc, wsparcie, a zamykać w więzieniu i skutecznie odseparowywać od rodzin trzeba sprawców. Cóż, logika sobie, emocje sobie.

– Przepraszam – mruknęła, gdy wsiedli do radiowozu. – Po prostu mnie wkurzyła.

– A on cię nie wkurza? – Kosoń popatrzył na nią. Wciąż był spokojny. Nigdy mu nie opowiadała o dzieciństwie, to znaczy same ogólniki. Że jest pólsierotą, że matka pracowała w pegeerze, kiedy jeszcze pegeery były, a potem się miała różnych prac, z różnym efektem, że ma siostrę, która poszła całkiem inną drogą niż Wiera. O ojcu właściwie nie mówiła, co jednak mówiło o nim samym i łączących ich relacjach całkiem dużo. A Kosoń był bystry.

– Jasne, że wkurza. – Wygładziła dół starannie odprasowanej koszuli. Mimo że było ciepło, miała gęsią skórę na rękach. – Ale ona mogłaby coś zrobić. Jeśli nie dla siebie, to dla tych dzieci. Przecież to matka! – Znowu się spięła.

– On też by mógł. To ojciec. – Kosoń był niewzruszony.

– Jezu! – wybuchła. – Przecież szef wie, o co mi chodzi.

Zaczęła nerwowo bębnić palcami o plastik obramowania drzwi. Odwróciła wzrok od komisarza, wyglądała przez okno, na podwórko. W drzwiach do domu stanęła jednak ta Moroń, już nie wiadomo, co gorsze. Spojrzała więc w dół, na swoje buty. Schyliła się, niby to poprawić sznurówki, choć miała je idealnie zawiązane. Od dzieciństwa miała to natręctwo – żeby sznurki wystające z obu dziurek były równej długości, a siła wiązania w obu butach taka sama. W końcu się podniosła, bo ile można tkwić z głową między kolanami.

– Dlaczego nie jedziemy? – zapytała.

– Czekam, aż zapniesz pasy.

Kosoń też miał swoje odchyły.

Ruszyli. Jechali wąską asfaltową drogą wysadzaną lipami. Mogła nie lubić tych stron, mogła marzyć o stolicy, mogła chcieć wygumkować Ornetę z dowodu osobistego i zapomnieć o tym całym syfie, jaki jej towarzyszył w dzieciństwie i wczesnej młodości, ale musiała przyznać, że było tutaj pięknie.

– *Sorry* – odezwała się w końcu, kiedy miała pewność, że już ochłonęła. „*Sorry*” przeproszało, ale jednocześnie zaznaczało luz, jaki miała do tej sprawy. Udawany luz, oczywiście. – To jest po prostu takie... – Zabrakło jej słowa. – Czcze – powiedziała w końcu.

– Czcze – powtórzył Kosoń. – Już dawno nie słyszałem tego wyrazu.

Wiera czytała niedawno jakiś kiepski kryminał, w którym ofiara miała flaki na wierzchu, a patolog precyzyjnie je opisywał. Informacje były jak wzięte z Wikipedii, ale nie szkodzi. Dzięki nim przypomniała sobie, że jest coś takiego jak jelito czcze – jedna z trzech części jelita cienkiego, gdzie odbywa się zasadnicza

część trawienia. Jelito czcze zwłok zwykle jest puste, dowiedziała się. I stąd podobno nazwa.

– Może dopisze jej szczęście i zgarniemy go za coś innego, zanim ją zatłucze. – Kosoń patrzył na drogę. – Nie zbawisz całego świata, zostaw to wykwalifikowanym siłom. – Wykonał delikatny ruch ręką, unosząc dłoń nad kierownicę i podnosząc palec wskazujący w kierunku podsufitki. – Więcej nadziei. Kiedy ktoś ma takie imię, to chyba łatwiej? – Tym razem na chwilę oderwał wzrok od drogi i spojrzał na Wierę.

– A co znaczy szefa imię? – odpowiedziała pytaniem.

– „Bóg jest łaskaw”.

– No to dwa razy kulą w płot. – Wiera wiedziała, że Kosoń, może z racji doświadczeń i zawodu, a może z innych, bardziej złożonych powodów, był religijnie sceptyczny. Ona zaś się miotała; w jej domu rodzinnym nad drzwiami wejściowymi wisiał krzyż, ona i Anka chodziły na religię, zaliczyły wszystkie sakramenty i niedzielne msze, ale potem, od czasów Szczytna, rozluźniła te więzy z Kościołem. Siostra – wręcz przeciwnie. – Nie wierzę w nadzieję, wierzę w czyn – powiedziała. Zabrzmiało patetycznie, ale tak myślała. Kosoń może wyglądał niezachęcająco, ale jego wnętrze było zdecydowanie bardziej wysublimowane niż jego garderoba. – Chciałabym... chciałabym, żeby wreszcie coś się wydarzyło. Jakaś poważna sprawa, której rozwiązanie i wyegzekwowanie sprawiedliwości przesunęłoby ten świat choć o kilka milimetrów w stronę dobra.

– Czyli chciałabyś morderstwa z morałem – podsumował Kosoń.

Dojeżdżali do Giżycka. Za chwilę wejdą na komendę, Wiera spisze notatkę, potem poprzekłada papiery z tych wszystkich nudnych wykroczeń. Później pójdzie do swojego służbowego mieszkania, rzut beretem od pracy. Spore osiedle, gdzie ocieplone styropianem i pomalowane na pastelowy kolor bloki mają ogromne napisy z nazwą ulicy: Kombatantów. Mieszkają tam sami sparowani ludzie, którym Bóg w dzieciach wynagradza, a z okien dolatuje zapach rosółów i schabowych z zasmażaną kapustą, czyli harmonia i ład. Wykorzysta półgodzinną przerwę i robi

sobie coś do jedzenia, wróci, odsiedzi swoje do końca dyżuru i znowu pójdzie do pustego mieszkania, gdzie będzie prowadzić podobnie zaangażowany emocjonalnie tryb życia.

Kiwnęła głową. Tak, chciałaby poważnego morderstwa, koniecznie z morałem.

– To jest nawet ciekawe. Przewrotnie ciekawe. – Kosoń zaparkował pod komendą. – Morderstwo jako sposób na czynienie dobra.

ROZDZIAŁ 2

To, co miało być zaletą, jakimś drogowskazem, że wybrał dobrze, może nawet polisą chroniącą go przed wejściem na ścieżkę zła, okazało się zwodnicze. Dał się oszukać. Samemu sobie dał się oszukać.

Koledzy w szkole się przechwalali, jak to podglądali Sejniukową przez okno, kiedy się myła w balii. „Jakie ona miała balony, jak dwie poduszki. Sejniuk to ma życie”. I wpadali w obleśny rechot.

Brzydziło go to. I te ich ruchy naśladujące kopulację, i te opowieści o dużym białym tyłku Sejniukowej i o tym, jak sapiący ojciec gramoli się na matkę.

Byli tacy, jak ich ojcowie. I jak ich starsi bracia. I byli wzorem dla swoich młodszych braci i przyszłych synów. Obrzydliwe.

Zresztą nie tylko o obrzydzenie tu chodziło. Myślał, że to grzech. Wiedział, że to grzech.

Ksiądz mówił na katechezie o nieczystych myślach, że brudzą duszę i serce, tak samo jak gnojówka brudzi ręce. Tyle że na ręce wystarczy szare mydło, a w środku ciężko się domyć. I że jak ten brud się odłoży jedną warstwą, to potem będzie narastał. I nie da się zeskrobać. A z brudu – wiadomo – najgorsze choroby.

Więc on dbał o higienę. I bardzo się pilnował.

Natura jednak ma to do siebie, że działa, nie patrząc, czy człowiek chce, czy nie. Jemu też się to przytrafiło. Najpierw zaczął się budzić w nocy, bo mu było niewygodnie, coś się tam w spodniach zmieniło. Potem było jeszcze gorzej, bo

budził się lepki. Jednej nocy wstał, przerażony, ściągnął kołdrę, macał prześcieradło, potem zsunął flanelowe spodnie, żeby obejrzeć z bliska tę mokrość. I tak go zastał ojciec, wybudzony zapalonym światłem i hałasem. Niczego mu nie powiedział, nie zapytał, nie wytłumaczył, nic. Poszedł do pokoju, gdzie spał z matką, wrócił z pasem. Odezwał się dopiero na końcu: „Masz spać z rękami na kołdrze”.

Spał z rękami na kołdrze, tak się bał ojca. Ale pod kołdrą się kotłowało – i w głowie, i pośrodku ciała. Nie umiał nic poradzić na to, że nosi w sobie taki dygot. Nie wiedział, jak się uspokoić, gdzie szukać ratunku.

Poszedł do spowiedzi. Zacukał się, kiedy próbował księdzu opowiedzieć, co w nim siedzi. Wydukał coś o napięciu, o złych myślach. Ksiądz nie dopytywał, zadał dużą pokutę.

Odprawił tę pokutę. Klęczał na twardej podłodze, odmawiał modlitwy. Udało mu się wyrwać z niedobrych myśli, modlitwy były jak pancerz, co zresztą powiedział księdzu przy następnej spowiedzi. „A może ty powołanie masz?”, zapytał ksiądz.

Może miał. Bo na pewno nie miał powołania do życia jak jego rodzice. Ojciec wiecznie napięty, jak struna, co zaraz pęknie. Surowy i wymagający, miał prędką rękę. Matka to jeszcze potrafiła się z nim obchodzić, ugłaskać go. Zresztą miała to, co inne matki, na które wchodzili sapiący ojcowie.

Kiedy był trochę młodszy, to chciał, żeby matka go przytulała, jak to dziecko. Potem, kiedy to wszystko zaczęło się dziać, kiedy sobie wyobrażał ją z ojcem... Już nie chciał od niej takiej troski. A może chciał, ale miał do niej żal, że robi takie rzeczy z ojcem, który jest dla niego niedobry? Zaczął się gubić. Na pewno chciał nie być w tym domu, chciał wyjechać. A potem przyszła ta spowiedź. I sugestia, że ma powołanie. Ojciec był zadowolony, matka też. Ksiądz katecheta i ksiądz proboszcz również. Były rozmowy, także te uświadamiające o pokusach. „Będiesz żył bez kobiet”, powiedział proboszcz. Żarliwie zapewnił, że da radę. Czuł ulgę, czuł wyzwolenie. Gdy później wracał myślami do tego momentu, wiedział, że nie

rezygnował z tego, bez czego trudno żyć. Rezygnował z tego, co w ogóle go nie pociągało.

W seminarium było dobrze. Przez chwilę.

Chodzili do parku na rekreację, taka forma wuefu. On czasem siadywał na ławce i czytał lektury. Obok było boisko, na którym grali chłopcy. Wesoło, głośno, w krótkich spodenkach. Jeden z nich, wysoki, ładnie zbudowany, przychodził tam codziennie. On też zaczął codziennie się tam zjawiać. Patrzył ukradkiem, podziwiał formę i ciało tego chłopca. Boski cud dzieła stworzenia.

Potem zaczął sobie wyobrażać, że grają razem. Że przypadkiem się trącili barkami. Że wpadli na siebie. Że po meczu zdejmują przepocone koszule. Że...

Łaknął słowa Bożego, życia w zgodzie z Jego nakazami, ale to było zdecydowanie silniejsze. Nigdy w życiu czegoś takiego nie doświadczył. Pragnienia, wyobrażenia były jego, wola, by o nich decydować – już nie. Jakby w momencie podejmowania decyzji opuszczał swoje ciało, stawał z boku i patrzył. Bez woli, bez siły, wiedziony tajemną siłą.

Teraz też jeszcze patrzył, bo mecz trwał.

Jeden z chłopaków, sędzia, odgwizdał koniec.

Wstał, poprawił sutannę, zabrał z ławki Pismo.

Podszedł bliżej.

Chłopak go zauważył.

„Cześć, Daniel”, zawołał do niego, machając.

I poszli razem.

ROZDZIAŁ 3

– Do mnie należy pomsta, ja wymierzę zapłatę.

Wiera zdążyła właśnie odlać makaron i przełożyć go na talerz. Gdy stała nad nim z rondelkiem, w którym podgrzała sos ze słoika, zadzwonił telefon. Kosoń, czyli coś musiało się wydarzyć. Odebrała i usłyszała tę dziwną deklarację. Taka przewrotka myślowa w tak krótkim czasie?

– Czyli jednak szef chce zbawiać świat? Dwie godziny temu szef mówił... – zaczęła.

– To nie moje słowa, tylko cytat – przerwał jej spokojnie Kosoń.

– Z czego? – Zaczynała się irytować, jak zawsze, kiedy była głodna. Zresztą do irytacji nie potrzebowała głodu, inne powody też się nadawały.

– Nie wiem. Ani z czego, ani z kogo, ani kto to napisał. Kartkę z takim zdaniem znalazła obsługa hotelu Szaniec w Karolewie. W tym samym pokoju znaleziono też martwego mężczyznę.

– Morderstwo? – Wiera na chwilę zapomniała o głodzie.

– Trudno powiedzieć. Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda naturalnie. Mężczyzna w piżamie, w łóżku. Nie żyje, ale nie widać działania osób trzecich, po prostu sobie leży, jakby umarł we śnie. Starszawy, więc czemu nie. Ale ta kartka, umieszczona na stoliku nocnym, zaniepokoiła faceta, który tam pracuje. Powiadomił policję. Trzeba sprawdzić. Jesteś u siebie?

„U siebie”, pomyślała. „Niech ci będzie, że to jest «u siebie»”.

– Jestem – odpowiedziała.

– Będę za kwadrans na dole. – I się rozłączył.

Wiera machinalnie podniosła rondel z sosem i wylała jego zawartość na makaron, a potem rozbełtała go między kluskami. Nabrała trochę na widelec. Smakowało podle. Niby warzywa, olej, przyprawy i powinno być zjadliwie, a każdy z tych słoikowych sosów dawał chemię; w każdym była ta sama sztuczna nuta. Zawsze się na to nabierała. Gdy widziała jakiegoś kulinarnego gotowca, kupowała go, bo a nuż „naturalny smak” okaże się prawdą. Nie lubiła i nie umiała gotować, a miała już dość kebabów, na które chodziła połowa komendy, zresztą podczas wakacji to chodnikowe żarcie było jeszcze gorsze niż poza sezonem, więc gdy mogła, jak dziś, szła do swojej kawalerki i próbowała sama coś zrobić. Tyle, ile można w pół godziny i bez pasji. „Durna jesteś”, powiedziała do siebie i zsunęła tonący w pomidorowej brei makaron do kosza. Wyciągnęła chleb i odkroiła grubą, koślawą kromkę, którą posmarowała masłem i posypała solą. Ależ to było dobre! Aromatyczna, twardawa brązowa skórka wspaniale się żuła; miękisz był lekko wilgotny i lekko kwaśny. W połączeniu z dobrym masłem i solą – coś pysznego. To był smak dzieciństwa – kiedy w domu nie było ojca i matki, więc miała pewność, że obędzie się bez spektaklu przemocy. Kroiła wtedy sobie i Ance chleb – grubo, bo inaczej nie umiała, smarowała masłem – też grubo, i obficie sypała solą. Smakowało wybornie – ciszą, spokojem, samodzielnością. Zawahała się, ale wyciągnęła z lodówki piwo. Otworzyła je i nalała trochę. Zimne, lekko gazowane i chmielowe – gwarancja odświeżenia. Wciąż jeszcze wracała myślami do wizyty u tej Moroń. Potrzebowała się zresetować, odprężyć. Pół szklanki będzie w sam raz. Zjadła, wypiła i dla pewności przepłukała usta miętowym płynem do zębów. Moroń ustąpiła miejsca temu zmarłemu z Szańca. „Do mnie należy pomsta, ja wymierzę zapłatę”. Spodobało jej się. Nieprofesjonalnie, ale nic nie poradzi, że tak poczuła. Przejrzała się w wąskim lustrze w przedpokoju: czarne rurki, w których było jej za gorąco, ale w których dobrze wyglądała, czarna bawełniana koszula, którą trzeba było długo prasować, żeby zlikwidować zagniecenia (cecha tanich rzeczy), i czarne trampki z charakterystyczną gwiazdką, które były idiotycznie

drogie, ale piękne. „Ładne masz te pepegi”, powiedział Kosoń, „tylko kółko z gwiazdką źle przyszyte, bo od środka”. Nie zgrywał się, bo on się nigdy nie zgrywał, bywał ironiczny, ale to co innego. Tak, lubiła go.

Zamknęła drzwi i zeszła na dół.

Kosoń właśnie parkował pod klatką.

– Ciekawe, co?

Niebo się przetało i teraz świeciło mocne słońce, więc Kosoń prowadził w ciemnych okularach. Nic nie mogła wyczytać z jego spojrzenia, zresztą rzadko się do niej odwracał, zwykle był skupiony na drodze. To była jego cecha, ta niepodzielność uwagi, często się objawiała – po prostu nie reagował na otoczenie, gdy był czymś zajęty. A przecież uwagę musiał mieć jednak podzielną, bo był dobrym gliną.

– No – odpowiedziała.

Dialog jak z filmu kategorii B.

– Wiemy coś jeszcze?

– Tak. Facet, który nie żyje, to... – sięgnął ręką po złachany skórzany notes leżący w przegródce między nimi – ...Daniel Hryciuk. Ten, który zgłosił jego śmierć, to... – znowu rzut oka na notatki – ...Maciej Kowal, pracuje w Szańcu jako „opiekun gości”. Albo dyżurny źle zrozumiał, albo to jakiś dziwny hotel, bo ten Kowal mówił coś o turnusie. Że było na nim osiem osób, a teraz jest siedem. To znaczy siedem żywych, bo do denata właśnie jedziemy.

– Fakt, dziwne. To na pewno hotel? Nie dom wczasowy czy pensjonat? – Wiera nie miała zbytniego doświadczenia w hotelowym życiu, jak zresztą większość szeregowych policjantów w tym kraju. Komfortowe pokoje poznawali przy okazji prowadzonych spraw, rzadko byli gośćmi. Ona raz nocowała w luksusowym hotelu, w Mikołajkach. Chociaż trafniej byłoby powiedzieć: „Spędziła noc”. Była wtedy w szkole, w Szczytnie. Na wakacje wróciła do domu. Jeździła po okolicy

i tak się poznali. W końcu przysłała do niego, do pokoju 217. Następnego dnia on wrócił do Warszawy. A potem podziękował jej za „cudowną przygodę”, której jednak nie mógł kontynuować, bo „miał zobowiązania”. Do dziś się czerwieniła na to wspomnienie. Ależ była naiwna! A ten koleś... Teraz rozpoznawała takich na kilometr. I chyba miała wyjątkowego pecha, bo sami tacy się jej trafiali. Jej życie uczuciowe trochę się rozkręcało w sezonie, dopóki się nie zorientowała, że to kolejny amator darmowego seksu bez zobowiązań, a potem opadało wraz z jesiennymi liśćmi, by zimą całkiem kostnieć. Pozostawali, co prawda, „miejscowi chłopcy”, ale to by było jak betonowe buty – nigdy by się już stąd nie wyrwała.

– Chyba tak, zresztą niedługo sprawdzimy. Wiemy jeszcze, że ten martwy chorował na serce, bo goście podawali w kartach zgłoszeniowych, czy mają jakieś kłopoty ze zdrowiem.

– Tym razem pasowałoby sanatorium – zauważyła Wiera.

– Na stoliku nocnym, obok tej kartki, leżał pojemnik z lekami – ciągnął Kosoń. Rozległ się dzwonek telefonu. Komisarz odebrał.

– Gdzie to, kurwa, ma być? – W głośnikach rozbrzmiał głos poirytowanego Marka Józwika, lekarza. – Tu jest tylko jakiś instytut ziemniaka czy coś, żadnego hotelu ani drogowskazu do niego nie widać. Jeździmy z Mariuszem jak głupi.

– Nie wiem, my dopiero dojeżdżamy. Poczekaj, zaraz się zorientuję i dam ci znać. Zadzwoń do dyżurnego i dowiedz się, co i jak. – Kosoń spojrzał na Wierę.

Wybrała numer na komendę, zapisała telefon do Kowala i zadzwoniła.

– Dzień dobry, Wiera Jezierska, komenda powiatowa policji z Giżycka. Dojeżdżamy do Karolewa, lekarz jest już gdzieś w okolicy, ale nie może znaleźć hotelu. Może pan podać dokładny namiar? – Przez chwilę słuchała wyjaśnień, potem podziękowała i się rozłączyła.

Kosoń wybrał numer.

– No i gdzie to? – Znowu usłyszeli głos Józwika.

– Mamy podjechać pod główny budynek Zespołu Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego. Tam będzie na nas czekał facet z tego hotelu, pojedziemy za nim.

– Dobra, czekamy.

Pięć minut później dojechali pod okazały budynek z czerwonej cegły. Solidna niemiecka robota. Zobaczyli, że Marek Józwik i Mariusz Motyka stoją przy schodach i palą. Kosoń zaparkował obok nich, tuż pod znakiem zakazu zatrzymywania się. Wyszli.

– Cześć! – przywitał ich lekarz. Marek Józwik był lekko otyłym pięćdziesięciolatkiem z dużą przerwą między górnymi jedynekami. Miły, choć trochę na bakier z kulturą. Kiedyś Wierze wydawało się, że wszyscy ludzie z wyższym wykształceniem, zwłaszcza trudnym do zdobycia, jak lekarz na przykład, dysponują bogatym pakietem kulturalnym i robią z niego codzienny użytek. Józwik był jednym z takich, co nie potwierdzali tej reguły. – Co za upał. – Otarł ręką pot z czoła.

– Suszy cię? – zapytał Kosoń. Niby lekko, a jednak czujnie.

– Daj spokój, Janusz – skrzywił się Józwik. – Od dwóch lat nic, ani kropli. Wciąż to powtarzam, a ludzie nie wierzą. Można się wkurwić i znowu zacząć pić. Pogoda nam dowala, nic dziwnego, że starszkom siadają pikawy. Mnie też jest duszno.

– Bo nigdy nie przeszedłeś od etapu masy do etapu rzeźby – odpowiedział Kosoń, który był szczupły, a może nawet lekko żylasty.

– Odpuściłem, kiedy wynaleźli statyny. A teraz się okazuje, że to wcale nie taki cudowny lek, bo jedno leczy, inne rozwala. Gdzie się człowiek nie obróci, to go robią w chuja. Przepraszam panią sierżant. – Spojrzał na Wierę.

– Chyba jest. – Wiera patrzyła w kierunku wylotu uliczki, w którą właśnie skręciło jakieś auto. Puściła mimo uszu i przekleństwo, i przeprosiny. Nie miała problemu z przeklinaniem, uważała, że to zawór bezpieczeństwa, żeby nie wybuchnąć. Na komendzie trochę się pilnowała, bo mimo pracy nad sobą wciąż nie potrafiła porzucić przekonania, że kobietom wolno mniej niż facetom. Nie rzucała

kurwami także przy swojej siostrze, która wybrała całkiem odmienną ścieżkę zawodową. No i przy matce. Ale matka to już zupełnie inna historia.

Terenówka zaparkowała tuż przy nich. Wysiadł z niej młody, może trzydziestoletni facet, wyraźnie spłoszony. Cały był jakby sprany – od cery począwszy, przez włosy i oczy, na ubraniu skończywszy. Wyglądał jak przesuszone pole po zżęciu zboża.

– Dzień dobry – powiedział niepewnie. – Maciej Kowal.

– Janusz Kosoń, Wiera Jezierska – komenda powiatowa, Marek Józwik, patolog, i Mariusz Motyka, technik – przedstawił ich Kosoń. – Jedziemy?

Kowal kiwnął głową.

Był lekko zdenerwowany, ale kto by nie był, gdyby znalazł trupa?

Wsiedli i ruszyli. Wyjechali spod głównego gmachu, minęli budynek Mazur i Wrzos, w podobnym stylu, choć mniej okazałe, paskudną salę gimnastyczną, zapewne z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, i zjechali z asfaltu w wąską leśną drogę, na której nie minęłyby się dwa auta. Wciąż nie było żadnego drogowskazu, śladu informacji, że wśród drzew czeka na gości jakiś hotel. Po kilku minutach Wiera zobaczyła wysoki mur z czerwonej cegły. Więcej niż wysoki – miał pewnie ze trzy metry. Droga skręcała teraz w prawo i wiodła wzdłuż tego muru. Przejechali kilkaset metrów i dojechali do stylizowanej na zamkowe wrota bramy. Mur ciągnął się dalej w las. „Co to ma być?”, pomyślała Wiera.

– Jeszcze tylko mostu zwodzonego brakuje. – Kosoń myślał podobnie. – O co tu chodzi?

Brama się otworzyła i terenówka Kowala zniknęła między wysokimi skrzydłami. Wjechali za nią.

W środku było nie mniej dziwnie. Stary budynek, w stylu tych szkolnych, które mijali, ale zdecydowanie ładniej odnowiony. Centralnie umieszczone wejście; do wysokich dębowych drzwi wchodziło się po betonowych schodach w kształcie

półkola. Do jednego ze skrzydeł dobudowano nowoczesny kawałek – betonowy długi klocek dostawiony pod kątem prostym. Dwa nowe budynki, też bardzo proste, jak kostki z czerwonej cegły, były oddalone o jakieś sto metrów. Przy nich znajdował się zadaszony parking, gdzie pod przezroczystym dachem stało kilka dobrych aut. Końca ogrodzenia nie było widać.

– To zapraszam. – Kował chyba nie bardzo wiedział, jak się ma zachować – czy jak gospodarz, czy jak świadek. Widać było, że czuje się niekomfortowo.

Weszli. W środku nie było nic z zewnętrznego przedwojennego klimatu – prosto, ascetycznie, nowocześnie. Wierę to zaskoczyło – od strony podwórka dziewiętnasty wiek, tu – dwudziesty pierwszy, i to druga dekada. Podłogi były dziwaczne – coś między błyszczącym betonem a jakąś żywicą. Drzwi do pokoi zrobiono z matowego metalu. Oświetlenie – małe halogeny, które włączały się automatycznie – zamocowano na stalowych linach. Na ścianach wisiały jakieś czarno-białe stare mapy oprawione w przeszklone ramy.

– Wygląda jak eleganckie więzienie – powiedział Józwik. – Kto normalny chciałby tu wypoczywać?

– Pusto. – Pokiwał głową Kosoń.

– Życiem nie tętni. – Józwik ucieszył się ze swojego kawału.

– Gdzie są inni goście? – zapytał głośniej Kosoń, patrząc na Kowala.

– Wszyscy są w sali restauracyjnej. Cała siódemka.

– Siódemka? – mruknął Józwik. – To u nas na internie więcej do jednej sali się wepchnie, niż w tym wielkim bunkrze przebywa.

– Dobra, to idziemy do naszego zmarłego. – Kosoń gestem ręki zachęcił Kowala, żeby ich zaprowadził.

Stanęli przed drzwiami z numerem siedem. Kował wyciągnął z kieszeni kartę magnetyczną i przyłożył ją do zamka. Piknęło, nacisnął klamkę i bezgłośnie otworzył solidne drzwi.

– Wchodzimy, a pan niech poczeka na korytarzu – zwrócił się do niego Kosoń.

Daniel Hryciuk leżał na wznak. Około siedemdziesięcioletni, ciemniejszej karnacji, o brązowych oczach, które teraz wpatrywały się nieruchomo w punkt na styku ściany i sufitu. Ubrany w błękitną piżamę, zapinaną na guziki i z kołnierzykiem, leżał w białej pościeli.

„Jak przyszykowany do wystawienia”, pomyślała Wiera, która naoglądała się umarłych sąsiadów w ich domach. „Tylko ręce złożyć i gromnicę wetknąć”.

Pokój był nieduży i elegancko schludny, w kształcie prostokąta, na końcu którego znajdowało się okno. Łóżko z wysokim materacem, na pewno bardzo wygodnym, szafa wnękowa w mahoniowym kolorze, dobrane kolorystycznie stolik, dwa krzesła, szafka nocna z małą lampką i zegarem elektronicznym. Lustro i druga szafa znajdowały się w przedpokoju, z którego wchodziło się do łazienki.

Z rzeczy prywatnych, pozostawionych na wierzchu, widać było wsuwane skórzane kapcie w kolorze wiśniowym, równo ułożone przy łóżku, przezroczyste pudełko z lekami na stoliku nocnym, szklanekę z jakimś przezroczystym płynem, pewnie wodą, i kartkę, wielkości takiej ze szkolnego zeszytu. Gładka, biała, zapisana ołówkiem, drukowanymi literami, bardzo równymi. „Do mnie należy pomsta, ja wymierzę zapłatę”. Wiera pomyślała, że to wszystko wygląda jak zainscenizowane. Poczula przyjemne mrowienie między żołądkiem a gardłem. Coś tu się wydarzyło, czuła to. Coś wyszukanego, coś niecodziennego. „Opanuj się”, potarła kciukiem lewej ręki o kciuk prawej. Zawsze tak robiła, gdy czuła, że emocje zaczynają ją nakręcać.

Kosoń w ciszy rozglądał się po pomieszczeniu. W końcu powiedział:

– To wy zostajecie, chłopcy, i sobie oglądacie denata i pokój, a my porozmawiamy z panem... – Spojrzał w kierunku korytarza, gdzie na progu stał Kowal.

– Kowalem – odpowiedział wspomniany, choć nienazwany.

– Właśnie, Kowalem.

– Dobrze. – Kosoń wyciągnął z kieszeni swój notes, gdy we troje z Wierą przesunęli się o kilka metrów od drzwi z numerem siedem. – To powtórzmy fakty. Znalazł pan Hryciuka rano?...

– Tak. Normalnie bym do niego nie wszedł, bo szanujemy prywatność naszych gości, no, ale on się nie zjawiał na śniadaniu.

– Może nie był głodny? – zauważył łagodnie Kosoń.

– Może. – Było widać, że Kowala nie przekonuje takie wyjaśnienie, ale nie zamierzał z nim dyskutować. – Ale powinien był zejść. Taki zawarł kontrakt.

– Kontrakt? – zdziwiła się Wiera. – Zobowiązał się, że będzie jadał śniadania?

– No, nie tylko śniadania. To znaczy kontrakt dotyczy całego pobytu, co wolno, czego nie, jakie są zasady i tak dalej.

– Ciekawe... To osobliwa forma wypoczynku. – Kosoń otwarcie przyglądał się Kowalowi, czym peszył go jeszcze bardziej.

– Taka formuła. Ale tu nikt nikogo do niczego nie zmusza, to wszystko dobrowolnie – zastrzegł energicznie chłopak. – Na wszystko mamy dokumenty.

– Dobrze, dojdziemy do tego, jeśli oczywiście będzie taka konieczność. Czyli poszedł pan do pokoju gościa, bo nie było go na śniadaniu, a powinien być, tak? – Kosoń wciąż na niego patrzył.

– Tak. – Kiwnął głową Kowal. – On wyglądał, jakby spał, ale się nie odzywał. Wszedłem do pokoju i stanąłem zaraz przy drzwiach. Powiedziałem „dzień dobry”, ale nic, dalej leżał. No to podszedłem bliżej i znowu powiedziałem „dzień dobry”, tylko głośniej. I też nic. Dotknąłem jego ramienia i... było zimne i takie sztywne. Sprawdziłem puls, o, tu, na tętnicy. – Dotknął swojej szyi. – Nic, zero. Nie żył. W pierwszej chwili to pomyślałem, że on na serce umarł, bo jak się meldował, to podał, że choruje. I nawet na posiłki przychodził z takim pudełeczkiem z lekami. Śmiesznym, bo podzielonym na dni, na cały tydzień, pewnie żeby mu się nie pomyliło nic. Starsi ludzie to już nie są tacy rozgarnięci, choć akurat ten był całkiem łebski... Więc stwierdziłem, że nie żyje, a potem się rozejrzałem i zobaczyłem tę kartkę.

– „Do mnie należy pomsta, ja wymierzę zapłatę” – zacytował Kosoń.

– Właśnie! Dziwne, nie? Takie... złe.

– Złowieszcze – podsunął Kosoń.

Kowal kiwnął głową.

– Ona leżała na stoliku, przy łóżku. I ten napis, wołami zrobiony. Normalnie jakby ją ktoś specjalnie tam zostawił. I dlatego jej już nie dotykałem. A przeczytałem dlatego, że po prostu nie dało się nie przeczytać, ona tam leżała jakby specjalnie. – Podniósł obie ręce, zasłaniając się w geście obrony, choć nikt go, przynajmniej na razie, nie atakował.

Kosoń spojrział na Wierę, a potem obrócił się do Kowala.

– I co pan wtedy zrobił?

– Wróciłem do jadalni i poprosiłem pozostałych gości, żeby z niej nie wychodzili.

– Powiedział im pan, co się stało? – zapytała Wiera.

– Nie. Tylko żeby nie wychodzili.

– A dlaczego nie poinformował ich pan o śmierci Hryciuka? – Kosoń teraz przyglądał się mapie, przy której stali. Niemieckie napisy, dawne lata, tyle Wiera zrozumiała.

– No bo... w sumie to nie wiem. Jakoś niezręcznie. Nie wiadomo, co dalej robić.

– A gości nie zainteresował brak jednego z towarzyszy?

– Nie wiem, bo nie widziałem się z nimi po śniadaniu. Ja wyszedłem, oni zostali.

– To oni przez cały ten czas są w jadalni? – Kosoń spojrział na swojego poljota na solidnym brązowym skórzanym pasku. – O pierwszej? Od rana? – zapytał.

– Od mniej więcej wpół do dziesiątej – sprecyzował Kowal.

– Siedzą tam? Nie pytają o nic? Nikt nie wyszedł? – Wiera była zdumiona.

– Nie mają wyjścia – wyjaśnił Kowal.

– To znaczy? – Teraz i na twarzy Kosonia pojawiło się coś na kształt zdziwienia.

– No dosłownie nie mają wyjścia. Zamknąłem jadalnię. – Wyciągnął z kieszeni kartę magnetyczną z czarnym napisem „JADALNIA”.

– Zamknął pan gości? – Wiera uznała, że uwaga Józwicka, że tu jest jak w eleganckim więzieniu, była celna. „Porąbane miejsce”, pomyślała. „Ciekawe kto, oprócz tego nieżywego, się tu zameldował”.

Zanim jednak Kowal zdążył jej odpowiedzieć, w progu stanął Józwick.

– Chyba tu jeszcze trochę zostaniemy. – Znacząco spojrzął na Kosonia. – A tego nieżywego to ja znam. Spotkałem go kilka lat temu w szpitalu, na takiej, powiedzmy, imprezie. Była pompa, bo wojewoda nową karetkę kupił.

– Urzędnik? – zapytała Wiera.

– Nie, kropił tę karetkę.

– Co robił? – Wiera nie zrozumiała.

– Z kropidłem zasuwał. To ksiądz, jakaś ichnia szycha.

ROZDZIAŁ 4

– Interesujące. – Józwik trzymał splecione dłonie pod wystającym brzuchem.

Wiera zauważyła, że spomiędzy niezachodzących na siebie kawałków materiału kraciastej koszuli doktora wystaje kępka jasnych włosów. „Już przyjemniej patrzeć na tego nieżywego”, pomyślała. I rzeczywiście, w Danielu Hryciuku było coś schludnego. Ale nie w taki nudny, emerycki sposób. Błękitna koszula wyglądała na jedwabną, a kapcie – na zrobione z delikatnej, pewnie cielęcej skóry.

– Goguś, nie? – Józwik podchwycił jej spojrzenie.

– Zadbany – powiedziała.

Lubiła zadbanych mężczyzn. Rzadko się jednak tacy trafiali. Jeśli już, to zawsze z felerem. Ten tu miał podwójną skazę: był księdzem i był nieżywy.

– Za bardzo zadbany. Ale co się dziwić, oni tam przecież niewiele robią i na brak kasy nie narzekają. Nie to, co lud pracujący. – Widać było, że Józwik ma siebie na myśli.

– Wiesz o nim coś więcej? – Kosoń włączył się do rozmowy.

– Nie. – Józwik pokręcił głową. – To było kilka lat temu – może z pięć. Karetkę nam wojewoda zasponsorował, to znaczy dostał kasę z ministerstwa, ale w wyniku swoich starań, czy raczej może układów, a potem był cyrk i pompa z tą wodą święconą. Przyjechał – brodą wykonał ruch w kierunku Hryciuka – jakąś wypasioną bryką, dyrektor szpitala i lokalni watażkowie ganiłi wokół niego w płasach, pomachał kropidłem i tyle. Niezła fucha.

– A co teraz wiemy? – zapytał Kosoń.

– A, no właśnie, bo mówiłem, że to interesujące. Nie żyje mniej więcej od północy, dwie godziny do przodu lub do tyłu, to się sprawdzi w sekcji. Generalnie żadnych śladów przemocy, udziału osób trzecich, ale... – Pulchną dłonią w lateksowej rękawiczce odsunął kołdrę.

Wiera pomyślała, że jest coś smutnego w starym, nagim facecie, zwłaszcza gdy jest to ksiądz. Nigdy nie widziała nagiego księdza. „Sutanna jednak dodaje im powagi, mimo że to sukienka”. Hryciuk miał na sobie koszulę, ale nie miał spodni.

– Tułów i ręce okej, przynajmniej podczas pobieżnych oględzin. Ale kiedy zsunąłem mu spodnie... – Nachylił się i palcem wskazał miejsce na udzie, mniej więcej w połowie odległości między pachwiną a kolanem.

Wiera i Kosoń nachylili się nad gładkim udem księdza.

– Fakt, że on taki wyłysiały, jak po depilacji, ułatwił sprawę. Widzicie?

Był. Ciemnoczerwony punkt, wielkości łebka od szpilki, jakby po ukłuciu.

– Zastrzyk? – zapytał Kosoń.

– Najprawdopodobniej. Mała igła, pewne wkłucie.

– Może to cukrzyk? – Kosoń wciąż się przyglądał miniaturowemu strupkowi.

– Przez spodnie by się nie kłuł. Oglądać się w takim wieku na golasa może nie jest miło, ale gacie by zsunął. – Józwik podniósł dół od piżamy. – Tu jest. – Pokazał czerwoną kropkę. W tym miejscu gładkie włókna materiału delikatnie się rozchodziły.

– Nie mogło go coś ugryźć?

– Wątpię i kasy bym na to nie postawił, nawet piątaka, ale pewnośc będziemy mieć po sekcji.

– A te leki? – Kosoń wskazał ręką na stolik nocny.

– Na oko wyglądają na jakieś z grupy ACE, czyli inhibitory konwertazy angiotensyny. Nasercowe znaczy, obniżają ciśnienie. Te drugie to nie wiem, ale może suplementy diety? Jakieś barachło pseudolecznicze. Ludziom się wydaje, że

to ich uleczy – zarechotał. – Poniedziałkowa i wtorkowa przegródka pełne, środa, czyli dziś, pusta, dalej uzupełnione. Skrupulatny księżulo.

– Kowal mówił, że chodził na posiłki z tym pojemnikiem – powiedziała Wiera.

– Nikt nie chce umierać, nawet jeśli po śmierci ma fory. – Józwik przykrył zmarłego kołdrą.

– Marek, a ty coś masz? – Kosoń popatrzył na technika.

– Nie, na razie nic. Tu jest bardzo czysto. Gdybyś mnie zapytał, tobym powiedział, że za czysto.

„Za czysto, za bardzo zadbany”, pomyślała Wiera. „To zwykle oznacza większy syf gdzieś pod spodem”.

– Zbieram odciski, zobaczymy, ile rąk naliczę. Ale jeśli ktoś mu pomógł się rozstać ze światem, to też był schludny. Tu w ogóle panuje jakaś mania czystości.

– A na tej kartce? Są jakieś ślady? – zapytała Wiera, choć bez entuzjazmu.

– Nie. Dziewicza. – Motyka pokręcił głową. – A ktoś ją tu przecież położył, ktoś po niej pisał.

– No dobra. – Kosoń popatrzył teraz na Józwika. – Załóżmy, że to morderstwo. Że ktoś mu zrobił zastrzyk. Raczej we śnie czy potem go ułożył? Bo gdy weszliśmy, Hryciuk wyglądał, jakby spał.

– Teoretycznie by mógł podczas snu – odsuwa kołdrę, pyk, zrobione. Ale ksiądz by się raczej obudził, choć cholera wie. Może miał mocny sen? Może sobie coś golnął? Może wcześniej był otumaniony? – Józwik wpakował sobie do ust cukierka. – Palenie rzucam, muszę mieć jakiś zamiennik. Nie dla przyjemności, tylko dla zdrowia, więc nie częstuję – wyjaśnił.

– Podczas snu drzwi miał zamknięte. Żeby tu wejść, trzeba mieć kartę, więc...
– powiedziała Wiera.

– Więc wejść mógłby tylko ten, kto ma kartę. – Cała czwórka, jak na komendę, zerknęła w stronę korytarza, gdzie czekał Kowal.

– Jest też wariant, że ksiądz kogoś wpuścił dobrowolnie, ale wtedy by się chyba nie dał kłuć... – zastanowił się Kosoń. – Nie ma śladów szarpaniny, więc jednak

albo się zgodził na ten zastrzyk, albo ktoś go zrobił tak szybko, że nie zdążył zareagować. No nic, dokończcie swoje, a potem ciało zabieramy, pokój zamykamy. Istnieje całkiem spore prawdopodobieństwo, że twoja prośba została wysłuchana. – Popatrzyl na Wierę. – Warto wierzyć w nadzieję.

– Dobrze... – Kosoń zwrócił się do Kowala. – My tu sobie popracujemy w tym pokoju, pojawi się więcej samochodów na podwórku...

Kowal zrobił się blady.

– Ale dlaczego? Czy?...

– Na razie to wszystko hipotezy. – Kosoń przemawiał do niego łagodnie, jak do dziecka. Wiera zauważyła jednak, że komisarz jest bardziej ożywiony niż zwykle. „Jemu też się już pewnie przejadły te wszystkie nudne, powtarzalne sprawy”, pomyślała. „Nawet melancholicy mają limit na nudę”. – Coś trzeba zrobić z pozostałymi gośćmi, bo niedługo podniosą bunt. W sumie dziwne, że jeszcze się nie znarowili.

– Nie, bo jak już mówiłem, tu są trochę inne zasady. Oni są przyzwyczajeni. – Kowal patrzył to na nich, to zerkał w stronę pokoju numer siedem.

– Do zamykania też? Ciekawe. To by był dobry patent na wakacje dla rodzin z dziećmi. – Kosoń się uśmiechnął.

– Nie, nie – zaprzeczył gwałtownie Kowal. – Żadnych dzieci, sami pełnoletni, zgody...

– Podpisane, wiemy. – Kosoń wciąż się uśmiechał. – Czy w takim razie mogą jeszcze przez jakiś kwadrans zostać w tej jadalni?

– Mogą – potwierdził ochoczo Kowal. – Pomyślałem sobie nawet, żeby teraz po prostu podać im jedzenie, bo akurat pora obiadu. To będzie z pół godziny trwało.

– Bardzo dobrze. Skoro nie wiedzą, to na razie proszę nic im nie mówić – ani o śmierci Hryciuka, ani o wizycie policji. I proszę potraktować tę prośbę serio. Czy

okna jadalni wychodzą na podjazd, gdzie zaparkowaliśmy?

– Nie, jadalnia jest na końcu korytarza, w takiej jakby elce, to znaczy tam jest dobudówka, z ładnym widokiem na las.

– Bardzo dobrze. To niech pan to załatwi i wróci do nas. Im szybciej, tym lepiej. Musimy jeszcze porozmawiać. A potem porozmawiamy z gośćmi.

Kowal przez chwilę na nich popatrzył, a potem poszedł w głąb korytarza. Sztywnym krokiem, jak ktoś, kto wie, że jest obserwowany. I rzeczywiście, był. Wiera i Kosoń odprowadzili go wzrokiem do zakrętu, za którym zniknął.

– No i co myślisz? – zapytał Kosoń.

– O nim? – odpowiedziała pytaniem Wiera.

– O nim, o Hryciuku, o tym miejscu.

– Dziwne to wszystko. Gdyby nie to, że ten Hryciuk to ksiądz, tobym obstawiała coś hardcore’owego. Zamykanie w pokojach, karty magnetyczne, cisza, tajemnica – jak w jakiejś sekcie. Albo w escape roomie. Albo jakieś gierki, takie erotyczne.

– Właściwie fakt, że denat jest księdzem, niczego z tego zestawu nie wyklucza – zauważył spokojnie Kosoń.

– No nie, po prostu... – „Właściwie co: po prostu?”, pomyślała. Znowu się na siebie zezłościła. Dlaczego te małomiasteczkowe stereotypy nie chcą z niej wyjść? „Bo jesteś z małego miasteczka i w małym miasteczku zostałeś”. – Nie, nie wyklucza.

– Sprawdź w Internecie, kim jest, to znaczy kim był ten Hryciuk. Poznamy kaliber sprawy.

– Jóźwik powiedział, że szycha.

– Tak wygląda, ale szychy też się stopniuje.

Wiera wyciągnęła komórkę z kieszeni dżinsów. Odblokowała ekran.

– Nie ma zasięgu.

– A jakaś tutejsza sieć?

– Niech szef poczeka... nie, też nic nie widzę.

– Interesujące.

– Może to również jedna z atrakcji? Może są ludzie, którzy zapłacą i za taką głośność, i za zamykanie w pokoju, i jeszcze za to, że nie będą mogli skorzystać z Internetu.

– Zauważyłaś, że w pokoju Hryciuka nie było telewizora? – zapytał Kosoń.

– Fakt. – Przymknęła oczy i raz jeszcze zobaczyła ten pokój. – To mi w ogóle przypomina jakieś umartwienie się. Wakacje za karę.

– Są ludzie, którzy rozmyślnie robią sobie źle, bo to im robi dobrze. Meandry psychiki są niezgłębione.

„Klimat kartki mu się udzielił”, pomyślała Wiera. Głośno by tego jednak nie powiedziała, tak zakumplowani nie byli. Właściwie to wcale nie byli zakumplowani. Wiera sama, intuicyjnie, ustawiła między nimi granicę i jej nie przekraczała. Kosoń był jej przełożonym, trochę jak ojciec, trochę jak starszy brat. Nigdy nie zachował się wobec niej jak szef, który chciałby wykorzystać swoją pozycję wobec młodej podwładnej. To wynikało zapewne z faktu, że był przyzwoitym facetem, ale Wiera nie zauważyła, żeby w ogóle się interesował jakimiś kobietami. Chyba że miał całkiem odmienne, drugie, utajone życie.

– O, nasz świadek idzie. – Kosoń wykonał ruch brodą w stronę tego załomu, gdzie mniej więcej przed dziesięcioma minutami stracili Kowala z oczu. Teraz chłopak wracał, równie spięty.

– Ładnie tu. Trochę ascetycznie, ale ładnie. – Kosoń rozejrzał się po pokoju.

Siedzieli z Wierą na niewygodnych plastikowych krzesłach, które jednak nie miały nic wspólnego z ogrodowymi zestawami na grilla. Były wysokie, jakby wzorowane na pałacowych, tyle że z przezroczystego plastiku. Nawet pluszowe szare siedziska nie ratowały zbytnio sytuacji – to były krzesła ozdobne, nie użytkowe. Reszta pokoju była jednak okej – ściany z surowej cegły, biurko

z ładnym dębowym blatem i trochę mniej ładnymi stalowymi nogami, ale wciąż broniącymi się stylistycznie, szafa z przesuwными drzwiami oklejonymi lustrami.

– Tak, chyba tak. Ja bym może inaczej urządził, ale gościom się podoba. Wszystko im się podoba. – Kowal po raz kolejny podkreślił zadowolenie klientów Szańca.

– No, tym, co żyją, to może i tak... – Kosoń zawiesił głos.

– Ale przecież pan chyba nie sądzi... – Kowal lekko się uniósł na krześle. Ton głosu też podniósł.

– Jeszcze nic nie sędzę. Na razie chcielibyśmy się tak ogólnie czegoś dowiedzieć o tym hotelu. Bo wydaje się specyficzny. Rozumie pan?

Chłopak kiwnął głową. Wstał od stołu, podszedł do szafy, przesunął jedno skrzydło. Na półkach stały segregatory, kuwety z jakimiś dokumentami i kupka kolorowych kartek, jak się okazało – ulotek reklamowych.

– Proszę. – Jedną z nich położył na blacie przed Wierą i Kosoniem. – To są materiały, które nasi goście dostają po przyjeździe, żeby się wczuli w atmosferę miejsca. Takie jakby wprowadzenie. Oni oczywiście wiedzą, dokąd przyjechali, ale...

– A co to za miejsce? – zapytał Kosoń, przejeżdżając dłonią po kredowym papierze i ignorując zawartość ulotki.

– No, generalnie dawniej, czyli w dziewiętnastym wieku, był tutaj ośrodek opiekuńczy. To znaczy w tym budynku, co my teraz jesteśmy, bo były też inne budynki majątku, te, przy których się umówiliśmy. Tu była sama ludzka bieda. – Kowal prawdopodobnie opowiadał już tę historię niejeden raz, ale teraz też sprawiał wrażenie poruszonego, choć powód był zapewne inny. Mówił, jakby czytał z kartki. – Gruźlicy, dotknięci chorobą alkoholową, bezdomni, niepełnosprawni. Opiekowali się nimi diakoni z Ewangelickiego Domu Miłosierdzia w Królewcu. A cały majątek należał do rodziny Dembowskich, dobrych ludzi. Przytułek działał od tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku aż do smutnego końca.

„Tak”, pomyślała Wiera, „wykuł na blachę, jak w szkole”.

– Pięknie pan opowiada – powiedziała.

– A jaki był ten smutny koniec? – Kosoń wciąż gładził błyszczący papier.

– Tu jest tak ładnie napisane, bo to fragment z książki, więc może... – Popatrzył na Wierę, uznając najwyraźniej, że jeśli gdzieś znajdzie wsparcie, to właśnie u niej.

– Sierżant Jezierska się zapozna w wolnej chwili z tymi materiałami. A tak skrótowo, teraz? – Kosoń przesunął folder w kierunku Wiery.

– No, wszyscy, którzy tu byli, zostali zabici.

– To rzeczywiście smutny koniec – powiedział Kosoń. – Co było potem?

– Te puste budynki zajęła gwardia przyboczna Hitlera. Po zamachu na Hitlera, tym w Wilczym Szańcu, w lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego, przywożono tu rannych oficerów. Stąd właśnie nazwa hotelu.

– A jeszcze potem?

– W czterdziestym piątym pojawiła się tu Armia Radziecka, byli do czterdziestego szóstego. Dwa lata później powstał tu Zespół Szkół Rolniczych. To się potem zmieniało, bo te różne reorganizacje, sprawy własnościowe, raz taki urząd, raz inny, nowe nazwy, a teraz to wszystko należy do Ministerstwa Rolnictwa.

– Wszystko? – zdziwił się Kosoń. – Ten hotel też?

– A, nie, no ten hotel to nie. Tu jest prywatny właściciel, to znaczy na tym ogrodzonym terenie.

– Kto? – zapytała Wiera.

– Nie wiem. Zatrudnia miejscowy, z Giżycka, Krystian Banasiuk, ale wiadomo, że to jest pośrednik, to znaczy pracuje na zlecenie. Ktoś z góry to kupił w dwa tysiące siódmym roku.

– Z tej góry od księdza Hryciuka? – zapytała Wiera.

– Nie z tej drugiej, to znaczy od rządu. – Kowal biegał wzrokiem od Wiery do Kosonia. – Ale ja nie znam żadnych szczegółów, naprawdę. Ja tu jestem tylko

szeregowym pracownikiem.

– O, tutaj mamy coś więcej o pobycie. – Tym razem Kosoń trzymał w ręku ulotkę. – „Zajrzyj w głąb siebie”. To weekendowe kursy filozoficzne dla średniozaawansowanych? Co ksiądz Hryciuk tu robił? Bo wglądaniem w siebie i w innych to on się chyba służbowo zajmuje. To znaczy zajmował.

Kowal lekko się zaczerwienił. Kosoń go zdecydowanie deprymował.

– Nie wiedziałem, że był księdzem, my szanujemy prywatność gości.

Kosoń i Wiera milczeli.

– Formuła pobytu tutaj jest inna. Tu wszystko jest inne – ciągnął Kowal.

– A to akurat zauważyliśmy – powiedział Kosoń.

– W Internecie jest strona hotelu, bardzo ładna, ale tutaj nie pokażę, bo w budynku dla gości nie ma sieci.

– To też zauważyliśmy. Kolejny punkt dla bystrych policjantów. A dlaczego nie ma? – Kosoń próbował wygodniej się rozsiąść na krześle, ale nijak się nie dało.

– Bo tu i tak nie wolno mieć żadnej elektroniki: ani telefonu, ani laptopa, ani tabletu – nic. Nie ma także telewizorów i radia. Jest całkowite odcięcie od świata. Izolacja.

– I te wszystkie warunki są podane na stronie internetowej? – Wiera z trudem wyobrażała sobie, jak ktoś mógłby dobrowolnie pchać się w tę dzicz i tracić łączność z normalnym światem. I w sumie co za to dostawał?...

– Nie. Ale nie dlatego, że ktoś chciał coś przemilczeć. Po prostu na tej stronie, o której mówiłem, są bardzo ogólne informacje. „Zajrzyj w głąb siebie”, odpoczynek, cisza, reset, wakacje inne niż wszystkie, dodatkowe emocje w bonusie. Żeby się więcej dowiedzieć, trzeba się skontaktować mailowo lub telefonicznie. Nie ze mną, tylko z Banasiukiem. Ze mną to już potem, jak warunki i terminy dogadane. Ja jestem taki porządkowy, miejscowy, nie od decyzji. Grupy są ośmioosobowe, turnusy dwutygodniowe.

– Właśnie, turnusy. Bo wcześniej też była mowa o turnusach. To jaki program goście mają zapewniony? – zapytała Wiera.

– Najważniejsze jest odosobnienie. Wszyscy mają pojedyncze pokoje. Znają tylko swoje imiona, nie wolno podawać nazwisk, miejsca pochodzenia, zawodu i tak dalej. Każdego dnia mają do wykonania zadania – pojedynczo albo w grupach. W hotelu albo na zewnątrz, ale na terenie ośrodka. Każde ma w jakiś sposób konfrontować – albo ze sobą samym, albo ze światem.

Wiera była przekonana, że to ostatnie zdanie Kowal wziął z wewnętrznej instrukcji obsługi gości.

– Oryginalna formuła – stwierdził Kosoń.

Kowal pokiwał głową, nie wiedząc, czy to pochwała, czy ironia.

– I restrykcyjna – zauważyła Wiera. – Jakie jeszcze są ograniczenia? I ile osób tu w ogóle pracuje? Bo na razie widzieliśmy tylko pana.

– W nocy w ośrodku nie ma personelu, w dzień są tylko na czas wykonywania obowiązków. Staramy się, żeby byli niewidoczni dla gości. Ja mieszkam tu na stałe, inni są na dochodne. Informacje, komunikaty, zadania są przekazywane przez interkom lub pisemnie. Mamy alarm, włączony, sprawny.

– Ostatniej nocy też? – zapytał Kosoń.

– Tak, oczywiście, zawsze go aktywujemy na noc. Nikt nie wchodził, nikt nie wychodził. To znaczy wyszły sprzątaczką i kucharką, około dwudziestej, i do rana, gdy wróciły, całość była uzbrojona i żadnego sygnału o włamaniu. Dbamy o bezpieczeństwo gości – powiedział Kowal i lekko się zarumienił. Jednak wtopa się zdarzyła.

– Tak... – zamyślił się Kosoń. – A ile taki bezpieczny i bardzo zorganizowany urlop kosztuje?

– Dwanaście tysięcy za dwa tygodnie.

– Dla grupy? – zapytała Wiera. Może trochę głupio, ale racjonalna część jej natury, sprawiła, że nie potrafiła nad sobą zapanować.

– No nie, dla jednej osoby. – Kowal popatrzył na nią zdumiony.

Zatkało ją. „W dupach się ludziom przewraca”, pomyślała. „Ile to ja bym musiała...”. Nie, nawet nie chciała tego wiedzieć. Po co jej kolejny wkurw. Od

rana, czyli od tej sprawy z Moroń, chodziła podminowana. A może to już wcześniej? Od początku wakacji? Od początku pobytu w Giżycku? Od... od dawna. I od dawna powinna coś z tym zrobić, bo czuła się jak niezabezpieczona broń.

– To chyba trochę dużo, nie sądzi pan? – Rozwlekła to „trochę” maksymalnie, żeby choć tak dać upust frustracji. – Jest pan przekonany, że nie ma żadnych innych bonusów? Używki, hazard, panienki?...

Kosoń się uśmiechnął.

Kowal – wręcz przeciwnie.

– Nic z tych rzeczy, to uczciwy biznes! Zresztą jak coś więcej potrzeba, to musicie zadzwonić do Banasiuka, ja to jestem płotka.

– A pan nie dzwonił do Banasiuka? – zainteresował się Kosoń.

– Dzwoniłem, ale nie odbierał. No to wysłałem esemesa, ale nie wiem, czy odpisał, bo teraz cały czas jestem w budynku dla gości, czyli bez zasięgu.

– Właśnie – goście. Czas najwyższy, żeby do nich pójść. Niech pan spróbuje się skontaktować z szefem, bo z nim też byśmy chcieli porozmawiać. A potem pójdziemy do naszych wakacjuszy. – Kosoń się podniósł, dając znak, że rozmowa dobiegła końca.

– Miałaś rację, że już nudno było. Teraz to widzę. – Kosoń z lubością zaciągnął się papierosem. Pół komendy przeszło na elektroniczne, ale on był wierny tradycji. – Ten Banasiuk też ciekawy.

– Zna go szef? – zapytała Wiera.

– Trochę, bardziej ze słyszenia. To typ, o którym się mówi, że na pewno ma coś za uszami, ale potrafi sprawić, by urzędnicy i policja tego smrodu nie poczuli.

– Chore miejsce dla chorych ludzi. – Odsunęła stopę, żeby popiół z papierosa przypadkiem nie wypalił dziury w jej drogich trampkach. Te buty były dla niej szczytem ekstrawagancji i rozrzutności.

– Bo pieniądze?

– To też. I cała ta otoczka... Trzeba być świrem albo nie mieć pomysłu, co zrobić z kasą, żeby się na coś takiego zdecydować.

– Albo mieć jakiś cel. Misję nawet. „Do mnie należy pomsta, ja wymierzę zapłatę”. Jeśli to rzeczywiście taka zamknięta twierdza i jeśli ksiądz został zabity, to ten, kto tak bardzo nie lubił Hryciuka, czeka na nas w jadalni.

– A może to ten Banasiuk, do spółki z Kowalem? Mówił szef, że to nieciekawy typ.

– Bo jest nieciekawy, ale zasada jest taka, że tych, co wyżej i coś mogą, się nie tyka. A nasz ksiądz to nie była płotka. – Kosoń ostatni raz się zaciągnął, a potem rzucił niedopałek na ziemię i mocno go przydepnął. – Susza, trzeba uważać. Idę, a ty ustaw się tak, żeby złapać zasięg. Zadzwoń do Remka, niech nam poszuka informacji o tym hotelu i o Hryciuku. Tylko niech wydrukuje, tak się higieniczniej czyta. A, do Dwadzieścia Cztery też zadzwoń, trzeba ją uprzedzić, że będzie miała specjalną sprawę – czarny znak zapytania.

ROZDZIAŁ 5

Czarne myśli. Dużo czarnych myśli. Cały świat wydawał mu się czarny.

Budził się w nocy. Nie mógł spać. Rano podnosił się z łóżka z trudem, jakby każda noga ważyła więcej niż on cały.

Ze wstrętem wkładał sutannę. Dlaczego nie mogły być w innym kolorze? Znał symbolikę – czerń wiąże się z prostotą i pokorą, ma przypominać kapłanom o konieczności praktykowania tych cnót. Czarny to także kolor śmierci i żałoby; kapłan ma umierać dla siebie, aby robić miejsca dla Boga w swoim życiu.

Jemu też się wydawało, że umiera, ale w to zwolnione miejsca nie przybywało Boga.

Było mu duszno, nie mógł się skupić.

Powinien myśleć o Najwyższym, a myślał o czymś zupełnie innym.

„Źle się czujesz, bo wiesz, że to złe”, mówił sobie na początku.

„Źle się czujesz, bo się boisz, że to się wyda”, mówił sobie potem.

„Źle się czujesz, bo to trudne”, to mówił sobie jeszcze później. Nie można być dla siebie ciągle katem, trzeba trochę zrozumienia.

Aż przychodziły ulga i spokój.

Do następnego razu.

ROZDZIAŁ 6

Prokuratorka Maria Przyzwan nie odbierała, co znaczyło, że jest naprawdę zajęta. To o niej Kosoń mówił Dwadzieścia Cztery, w sensie, że jest dostępna całą dobę. Zresztą między nią a Kosoniem było jakieś dziwne podobieństwo – dziwne, bo z jednej strony, tej fizycznej, mogliby uchodzić za rodzeństwo: chudzi, niezbyt wysocy, ciemni blondyni o falowanych włosach (Kosoń bardziej, bo miał krótkie) i niebieskich oczach. Oboje byli bystrzy i inteligentni. I tu się podobieństwa kończyły, bo jeśli idzie o zachowanie i temperament, to byli po dwóch przeciwnych stronach – Kosoń był powolnym introwertykiem, melancholijną jednostką aspołeczną, może zaburzoną socjalnie od urodzenia, a może dopiero od czasu wdowieństwa, choć raczej to pierwsze, bo żeby tak się odciąć od ogólnego nurtu zachowań, trzeba było więcej czasu. Przyzwan natomiast całą sobą zdradzała, co myśli. A kiedy do języka ciała dołączała wypowiedź... Siekła ironią, za nic miała konwenanse. W sumie to też można było uznać za jakieś zaburzenie, o przeciwstawnym biegunie.

Wiera wybrała numer do Remka, czyli Remigiusza Staronia. Młody chłopak, pracował w policji od dwóch miesięcy. Był miły i lekko przepłoszony. Wierze przypominał ją samą sprzed dwóch lat, dlatego miała wobec niego ambiwalentne uczucia: trochę mu współczuła, a trochę się na nim wyżywała. Pierwsze ją rozwalalo psychicznie, bo tak naprawdę współczując jemu, współczuła sobie. Drugie pokazywało, jak łatwo zboczyć na ścieżkę podłości, gdy ma się pod ręką kogoś słabszego, młodszego, niżej w hierarchii. Dziś postanowiła być dobra.

– Cześć, Remek, jest robota do zrobienia.

– Tak?

I, niestety, już ją zirytował, bo nie znosiła tych jego „tak”, wypowiedzianych w różnej intonacji na oznaczenie różnych stanów, jakby innych słów nie znał.

– Tak – powiedziała więc.

I zaległa cisza.

– Tak?...

„Jezu, kurde”.

– Zapisz.

– To poczekaj, wezmę kartkę. Dobra, dyktuj.

– Da...

– A nie, chwila, nie mam długopisu.

„Jezu, kurwa”.

– Już.

– Daniel Hryciuk, sprawdź wszystko, co dostępne na jego temat. I wydrukuj.

– Tak.

„Wdech, wydech, wdech, wydech...”

– Gdyby dzwoniła Przyzwan, powiedz, że skontaktuję się z nią później, bo tu mamy problem z zasięgiem.

– Tak.

– Dobra, to tyle. Będziemy pewnie za dwie, trzy godziny. Cześć.

Rozłączyła się od razu po ostatnim słowie, żeby nie usłyszeć kolejnego „tak”.

Odeszła kilka kroków od budynku dla pracowników, w okolicy którego nie było żadnego ruchu, co swoją drogą też ciekawe, bo przecież był dzień, a w ciągu dnia podobno były tu jakieś kobiety. Dwie to w sumie niedużo, zwłaszcza że za dwanaście koła można mieć spore oczekiwania.

Rozejrzała się dokoła. Było tu jednoznacznie ładnie. Dużo przyrody, mało człowieka. Cisza. W ręku trzymała folder o Szańcu. Kilkanaście stron na

błyszczącym papierze. Zaczęła je przewracać. Najpierw były zdjęcia czarno-białe, potem kolorowe, współczesne. „Miejsce, gdzie teraźniejszość spotyka się z przeszłością”. „Sztampa”, westchnęła. Przelatywała wzrokiem to, co już im powiedział Kowal. W kalendarium Szańca natknęła się na trzydziesty dziewiąty rok i dłuższy cytat: „Profesor Heinz Dembowski – «a, to ten od dobrych ludzi, właścicieli» – pisał: «6 marca 1939 roku na posiedzeniu zarządu ośrodka pojawili się przedstawiciele Gestapo i, nie podając żadnych powodów, oznajmili, że ośrodek jest rozwiązany. Powodów tej decyzji miały dostarczyć przeprowadzane w późniejszym czasie przesłuchania przedstawicieli zarządu ośrodka, rzekomo wrogo usposobionych do państwa niemieckiego. Mimo że przesłuchania nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, nasza interwencja w sprawie cofnięcia decyzji o likwidacji okazała się daremna. Zakład stał się własnością prowincji Prusy Wschodnie. Na początku drugiej wojny światowej większość dużych budynków zakładu została przejęta przez Wehrmacht. Urządzono w nich szpital wojskowy, który istniał do zakończenia wojny. Pacjenci zostali stłoczeni w pozostałych, mniejszych budynkach ośrodka, które sukcesywnie «opróżniano» w ciągu roku 1940. Część z nich została wywieziona do innych państwowych zakładów – ich los jest trudny do ustalenia. Pozostali, jak wykazało późniejsze śledztwo, zostali otruci. Po wojnie jeden z moich kolegów natrafił przypadkowo w Bonn na pewną służbową notatkę, z której wynikało, że pacjenci karolewskiego ośrodka zostali wywiezieni do Polski i rozstrzelani tego samego dnia na jakichś terenach bagiennych”.

Znowu się rozejrzała. Czy taki fragment mógłby ją zachęcić do przyjazdu tutaj? Pomijając już tę absurdalną cenę, to czy chciałaby się zastanawiać, w którym miejscu i kto został zabity? Jakie były motywacje tych, co teraz wsuwają obiad, zamknięci w jadalni?...

Zwinęła folder w rulon i wetknęła do tylnej kieszeni spodni.

W połowie drogi do głównego budynku zatrzymała się jednak. Postanowiła sprawdzić ten cytat z kartki. Brzmiał biblijnie, jak ze Starego Testamentu, gdzie krew, płacz, zgrzytanie zębów i łamanie kołem. Mogłaby zadzwonić do Anki, od

razu by jej odpowiedziała albo wyszukała źródło i przy okazji Wiera odfajkowałyby zaliczony kontakt z siostrą, bo już od kilku tygodni ze sobą nie rozmawiały, wymieniały się tylko esemesami na temat matki. Właściwie to było ważniejsze, bo przecież wszystko można wrzucić do Internetu i stamtąd się dowiadywać. Obsługa siostry była zdecydowanie trudniejsza. Zawahała się jednak tylko przez chwilę. Nie była teraz w dobrej formie, na pewno by się pokłóciły. Zresztą kłóciły się i wtedy, gdy była w dobrej formie. Najsensowniej, biorąc pod uwagę szarganie nerwów i utratę energii, byłoby wcale się nie kontaktować. W ich relacjach rodzinnych nie obowiązywały jednak żadne sensowne reguły.

Wpisała frazę: „Do mnie należy pomsta, ja wymierzę zapłatę”. I nic, bo brak sieci. Wróciła pod klockowaty budynek. Pojawiła się słaba kreska. Telefon miał zapytanie, aż w końcu wypłynął ciąg wyników. Okazało się, że to cytat z Nowego Testamentu, z Listu do Rzymian, „Obowiązki chrześcijan”. „No proszę”, zdziwiła się Wiera. „Czyli Nowy Testament, mniej krwiożerczy, a jednak...” Zaczęła czytać cały fragment: „Jeżeli to jest możliwe, o ile to od was zależy, żyjcie w zgodzie ze wszystkimi ludźmi! Umiłowani, nie wymierzajcie sami sobie sprawiedliwości, lecz pozostawcie to pomście [Bożej]! Napisano bowiem: Do Mnie należy pomsta. Ja wymierzę zapłatę – mówi Pan”*. „Do Mnie”. Wielkie M, bo to Bóg mówi. Na tej kartce też było wielkie, ale tam były same drukowane litery. Ktoś się poczuł Bogiem? Ktoś Boga wyręczył, bo już się nie mógł doczekać sprawiedliwości? „Żyjcie w zgodzie ze wszystkimi ludźmi...” Na szczęście było zastrzeżenie: „o ile to możliwe”. W tym przypadku najwyraźniej nie było możliwe. Wierze znów się przypomniała Klaudia Moroń z Biedaszek. Ona pewnie jeszcze poczeka na to, by Bóg wymierzył jej mężowi sprawiedliwość. Sprawniej zadziałałby tu inny czynnik, ale bez jej współpracy nic z tego nie będzie.

„A Daniel Hryciuk?... Bóg igieł nie wbija”, pomyślała Wiera.

Potarła kciuki i poszła do głównego budynku.

Pachniało jakimiś ziołami, chyba rozmarynem. Bardzo ładnie. Do tego dochodziła nuta dobrze wypieczonego mięsa, drobiowego, takiego, które jest kruche, ale ma przyrumienioną skórkę. Ziemniaki, może piure? Pasowałaby mizeria ze słodką śmietaną, ale tego nie poczuła, bo śmietana i ogórki nie są zbyt aromatyczne.

Ślinianki się spięły i nastąpił wyrzut śliny. Pieczywo z masłem było okej, ale teraz przydałoby się coś na ciepło, obiadowego. Nie z budki, tylko z prawdziwej kuchni. Dwanaście tysięcy to absurd, ale po korytarzu rozchodził się zapach kulinarnego luksusu.

Drzwi, takie same jak te do pokoju Hryciuka, tylko dwuskrzydłowe, były lekko uchylone – ktoś włożył między środkową belkę framugi a obudowę gumowy klin, żeby zamek się nie zatrzasnął; tu też był mechanizm na kartę. Wiera pomyślała, że to z myślą o niej, żeby nie musiała stukać w te pancerne wrota. Pociągnęła więc za skrzydło, delikatnie przesunęła stopą klin, weszła do środka i stanęła w progu.

Drzwi odemknęły się jedwabiście, pewnie za to też się buliło, żeby nie skrzypiało i nie zgrzytało, jak w komendzie, gdzie drzwi do jej pokoju były zwichrowane i wciąż szurały o wykładzinę, wyżłobiwszy w niej rowek. Zamknęły się równie cicho. Nie wykonała żadnego głośniejszego ruchu, a i tak wszystkie głowy obróciły się w jej stronę: siedmioro gości, Kosoń i Kowal wpatrywali się w nią w milczeniu. Zresztą to właśnie gęsta cisza spowodowała, że jej ciche wejście nie zostało niezauważone.

Zwykle w jadalni panuje lekki harmider, gwar, stukanie sztućców, odsuwanie krzeseł. Tu – nic. Może dlatego, że po posiłku został już tylko zapach, stoły były uprzątnięte.

Sala miała kształt prostokąta. Mieściło się w niej dziesięć stolików. Każdy czteroosobowy, nakryty białą serwetą. Osiem było zajętych – od lewej siedzieli Kowal i Kosoń – oddzielnie, potem był jeden wakat i kolejne siedem osób, w tym dwie – dwóch młodych mężczyzn – razem.

– O, jest i sierżant Wiera Jezierska. – Kosoń się podniósł i wyszedł naprzeciw niej. – Czekaliśmy na panią sierżant, teraz możemy zaczynać.

„Nic im nie powiedział”, pomyślała Wiera. „Potęguje napięcie, bo oni tu przecież tkwią od rana i widzą, że ubyło im jednego kompana. I jeśli to rzeczywiście zabójstwo, i jeśli rzeczywiście nikogo więcej w tym budynku w nocy nie było, to w tej sali jest morderca”. Znowu ten dreszczyk. „Jak wyposzczony palacz przed sztachnięciem się”, pomyślała. To było fajne i nieprofesjonalne.

Wyciągnęła notes. Zrobi notatki i spuści sobie trochę ciśnienia.

Kosoń był staromodny nie tylko w kwestii garderoby czy papierosów; także w przypadku śledztwa zatrzymał się na etapie przedtechnicznym; uważał, że umiejętna obserwacja i znajomość natury ludzkiej dają lepsze efekty niż tropienie śladów. „Szef jest analogowy”, Wiera pozwoliła sobie kiedyś na taki subtelny i miły żart. Kosoń się uprzejmie zgodził, a potem zapytał: „A wiesz, czym się różni sygnał analogowy od cyfrowego?”. No oczywiście, że nie wiedziała, bo skąd. „Sygnał analogowy jest złożony, a sygnał cyfrowy to nudny, monotony ciąg cyfr. Dwóch cyfr, uściślijmy. Dusza kontra technika. To dlatego człowiekowi tak trudno dogadać się z komputerem”. Było oczywiste, że miał na myśli siebie.

– Ja już zdążyłem poznać naszych gości, mogę przedstawić, w kolejności od osoby siedzącej najbliżej mnie. – Też wyciągnął notes.

Wiera nigdy go takiego nie widziała – żeby dawał odczuć, że coś go rajcuje. Teraz był jak konferansjer – może trochę wyciszony, może na emeryturze, może ze starej szkoły, ale otwarcie zainteresowany sprawą i wchodzący w interakcje społeczne. Ciekawe...

– Pan Marcin Zieliński.

Na oko czterdziestolatek, przystojny, zadbany, choć sprawiający wrażenie lekko przestraszonego, co nie szło w parze z jego wyglądem.

– Pani Magdalena Farnese.

Bardzo elegancka. Bardzo zadbana. Ładnie opalona blondynka w nieokreślonym wieku. Mogła mieć pięćdziesiąt lat, mogła – siedemdziesiąt. Wiera pomyślała, że gdyby podeszła bliżej, poczułaby od niej zapach pieniędzy.

– Panowie Krzysztof Madej i Łukasz Wolny.

Ci wyglądali przeciętnie, to znaczy normalnie. Mili, przyjemni dla oka, niczym się nie wyróżniający. „Jak ci, co mnie podrywali, mimo że gdzieś w Polsce czekała żona lub narzeczona. Pod przeciętnością wiele się może kryć – złego lub dobrego”.

– Pani Julia Ryłska.

Wiera pomyślała, że ta wygląda jak mieszkanka dużego miasta – pewna siebie, wyluzowana, ekscentryczna. Może nie wszystkie ubierają się tak dziwacznie i nie wszystkie są tak chude, ale poza tym była pewna, że dobrze obstawiła.

– Pani Agata Dereń.

Dziecko, znaczy nastolatka. Znaczą tak wyglądała, bo Kowal powiedział, że wszyscy są pełnoletni. Lat nie dodawał jej nawet dość koszmarny makijaż, to się chyba nazywało emo – potargane włosy, jakby powycinane żyłką pasma, mocne czarne kreski na oczach i kolorowe paznokcie. „Ale musi być nieszczęśliwa”, Wierę aż coś ścisnęło w środku. Znała ten motyw – przykrości życia zamieniało się na obsesyjną dbałość o powierzchowność – to była ona i jej zadbane ciuchy, które miały mówić, że ze wszystkim sobie radzi tak super jak z garderobą, lub ostentacyjne lumpostwo, które z kolei miało oznaczać, że się wszystko cznia.

– I ostatnia osoba, pan Tomasz Herman.

Typ schludnego i niepolskiego emeryta, który mógłby reklamować produkty w gazetce jakiegoś supermarketu. Wydawał się sympatyczny.

„Zbieranina dziwaków”, pomyślała Wiera. Jeśli tu rzeczywiście siedział morderca lub morderczyni, to zupełnie nie miała intuicji, które z nich mogło wymierzyć pomstę księdzu. Nagle wydało się jej to niedorzeczne. Takie zupełnie odrealnione. Owszem, miała nadzieję, że wreszcie trafi jej się prawdziwa sprawa, ale taka, gdzie będą realne problemy: dobro, zło, kara i pokuta. Tutaj się czuła jak na jakiejś maskaradzie.

– Choć właściwie nie ostatnia, bo przecież brakuje jednego z gości... – Kosoń spojrzął w swój kalendarz – Pana...

– Daniela – powiedział jeden z tych dwóch chłopaków.

– Właśnie. – Wielkowiejska w cudacznych ciuchach żuła gumę. – My tu kwitniemy od rana, rozplaszczając tyłki na stołkach, a inni mają fory. Jeśli to jakieś zadanie, to na co? Przygotowanie do godnego znoszenia nierówności społecznych? – Zaśmiała się gardłowo, zrobiła wielkiego balona i pyknęła w niego palcami, po czym zgrabnie wessała gumę do ust.

– To prawda. Trochę ruchu by się nam przydało. I dzień taki piękny, aż żal. Panie Maćku, może jednak jakaś zmiana planów?... – Schludny emeryt spojrział na Kowala.

Kowal chciał chyba coś powiedzieć, ale Kosoń powstrzymał go ruchem dłoni.

– Też bym się przeszedł – odezwał się pierwszy przedstawiony.

– Popieram wolę większości. – Elegantka miała ładny, spokojny głos.

Emo milczała.

– To, że są państwo teraz w tej sali, nie zostało przewidziane w scenariuszu wakacji, o których pan Maciek trochę już mnie i sierżant Jezierskiej opowiedział. Choć w pewnym sensie może i wolno to uznać za część planu... – Teatralnie zawiesił głos.

Tak, Wiera nigdy nie widziała szefa w lepszej formie. Jakby go wyciągnąć z bagna smutku i nudy, opłukać i powiedzieć: „No, stary, jeszcze coś fajnego ci się przed śmiercią trafiło”. Może on i Wiera byli jednak trochę do siebie podobni?

Janusz Kosoń spojrział na Wierę, a potem, już normalnym i normalnie obojętnym, jak to u niego, tonem powiedział:

– Daniel Hryciuk nie żyje.

Wiera starała się uchwycić reakcję każdego z gości.

Najpierw zapadła cisza. Klasyka. Jednych taka informacja szokuje, potrzebują chwili, by dać wyraz emocjom, niektórzy z natury są wsobni i się nie odezwą. Morderca albo milczy, podszywając się pod ten drugi typ, albo aktorsko reaguje, jak pierwszy.

– Och, Boże! – odezwał się w końcu pan Tomasz. – A cóż to się stało?

– Ale jazda! – To była chuda Julia.

– Nie o taki efekt mi chodziło. To znaczy, nie tak miały wyglądać te ekstremalne wakacje. – Przystojny Marcin był poruszony.

– W pewnym wieku każda noc może być ostatnia. – Bogata Magdalena rozprostowała nieistniejące zagięcia na spódnicy.

– Kurde, no. – To jeden z tych dwóch chłopaków.

Emo milczała.

– Ale zaraz, zaraz... może Maciuś nas wkręca, co? – Chuda Julia nagle się poderwała. Wyszła zza swojego stołu i ustawiła się przed Wierą, mniej więcej na środku sali. – Nie pomyśleliście, że to część zadania? Coś posranego na rozruszanie atmosfery?

– Panie Macieju? – Emeryt był zdezorientowany. – To jak to jest? Bo śmierć to poważna sprawa, to nie witz.

– Co to „wic”? – Emo wreszcie się odezwała.

– Żart, to z niemieckiego, przepraszam, czasem mi się słowa mylą. Więc nie można tak, prawda, państwo chyba też tak sądzicie? – Rozejrzał się po pozostałych.

Pani Magdalena pokiwała głową, pan Marcin także, młodzi faceci wymienili potwierdzające spojrzenia, Emo skuliła się na krześle.

– Ja nie... – zaczął Kowal, ale Julia mu przerwała:

– A ci dwoje – pokazała chudą dłońią na Wierę i Kosonia – to może też udawani policjanci, co?

Kosoń wyciągnął legitymację, Wiera również. Oboje podeszli bez słowa do Julii i pokazali jej dokumenty. Dziewczyna wzięła je do ręki, przez chwilę oglądała.

– Chyba prawdziwe. – W końcu wzruszyła ramionami. – Ale skąd mam wiedzieć?

– Prawdziwe. – Kowal wreszcie zabrał głos. – Komisarz i sierżant są policjantami z komendy powiatowej w Giżycku. A Daniel Hryciuk naprawdę nie żyje.

Znowu zapadła cisza.

– Co mu się stało? – zapytał Marcin, ten przedstawiony jako pierwszy.

Emo spojrzała na niego z wdzięcznością, sama nie miałaby pewnie odwagi się odezwać.

– To się porobiło. – Jeden z tej pary. – Miały być ekscesy, ale nie takie.

– No to ja nie wiem, czy my w tej sytuacji... – Pan Tomasz bezradnie rozglądał się po sali.

– Smutna sprawa. – Elegancka Magdalena przełożyła nogę.

– Ale w takim razie, skoro to prawdziwe gliny, to co się tu wydarzyło, co? – Julia już wróciła do formy.

Oczy wszystkich skierowały się na Kosonia i Wierę, którzy stali teraz obok siebie na środku jadalni.

– Na razie nic nie wskazuje na to, by śmierć księdza Hryciuka miała inne podłoże niż naturalne – powiedział Kosoń, bardzo zgrabnie mijając się z prawdą.

Znowu cisza.

– Jakiego księdza? – Emo wyglądała, jakby się miała rozpłakać.

– A, to taki numer! Ale jaja! – Julia się roześmiała.

– Czy to znaczy, że Daniel był księdzem? – Chłopak z pary wydawał się szczerze zdumiony.

– Cóż, wiele się w kraju zmieniło, ksiądz może wyglądać jak normalny mężczyzna. – Pani Magdalena wstała i podeszła do okna. – Fakt, trochę ruchu by się przydało. – Zaczęła masować łydkę.

– Ściągaj te obcasy, tu sami swoi. Niezdrowo tak zasuwać na szpilkach. – Zachęciła ją Julia. – Z tym księdzem to czad, serio.

Kosoń spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

– A skąd ksiądz miał pieniądze na taki urlop? To przecież drogie. – To była najdłuższa wypowiedź emo.

– Kościół toby należało rozwiązać, za różne rzeczy, na przykład za przepieprzanie kasy wiernych babuleniek na głupoty. – Julia była najaktywniejsza ze wszystkich. – I za wiele innych spraw. Czarna mafia.

– To jest generalizowanie, może niesprawiedliwe. – Pan Tomasz wydawał się pogubiony.

– Otwórzmy okno, duszno tu. – Pan Marcin popatrzył na Kowala.

– Ale co dalej właściwie? – Połowa teamu znowu zabrała głos.

– Widzę, że jesteście państwo zdziwieni, że pan Hryciuk był księdzem. – Kosoń usiadł. Wszyscy stali, a on się umościł na krześle. – To jest zdecydowanie wygodniejsze. – Poklepał siedzisko. – Skóra? – zapytał Kowala.

– Co? To znaczy przepraszam, ale nie rozumiem? – Chłopak patrzył to na Kosonia, to na gości.

– Pytałem, czy to obicie jest skórzane. – Kosoń przejechał dłonią po materiale.

– Nie, to znaczy tak. To znaczy taki materiał, że zmielona prawdziwa skóra z jakimś dodatkiem, więc w sumie to nie wiem, jak to nazwać. – Kosoń nieustannie go konsternował.

„Więc w sumie to nie wiem, jak to nazwać”, powtórzyła w myślach Wiera. Ona też się pogubiła. Nawet gdyby jej ktoś przystawił teraz pistolet do głowy, nie potrafiłaby wskazać, kto wydaje jej się najbardziej podejrzany. Ten, kto reaguje żywiołowo, czy ten, kto sprawia wrażenie niezainteresowanego? Ten, kto żałuje, czy ten, kto krytykuje Hryciuka? „Walić intuicję, trzeba będzie pogrzebać w faktach”, pomyślała.

Coś łupnęło w drzwi. Kosoń się odwrócił, a potem powoli przeszedł przez jadalnię. Nacisnął kłamkę, ale bez efektu.

– Nie puści, tylko z kartą można wyjść – odezwał się młody mężczyzna z pierwszego stolika.

– Ach, no tak, zapomniałem – powiedział Kosoń.

„Kurde, trzeba było zostawić ten klin”. Wierze zrobiło się głupio.

Chuda Julia prychnęła.

– To może i lepiej, że nie trzeba prowadzić śledztwa.

Kosoń nie zareagował.

Kował szybkim krokiem podszedł do drzwi i przejechał kartą przed czytnikiem. Kliknęło, błysnęło na zielono i Kosoń pociągnął za klamkę, po czym wyszedł na korytarz i stanął tak, że zablokował domknięcie się drzwi stopą, zostawiając je delikatnie uchylone.

Wiera stała w takim miejscu, że udało się jej zauważyć, kto stukał. Lekko przydeptane płóciennie spodnie, beczułkowate, ewidentne zaokrąglenie nad pasem, owłosione przedramię. Jóźwik.

Przez chwilę rozmawiał z Kosoniem, potem zniknął z pola widzenia Wiery.

Kosoń się odwrócił i wszedł do sali. Drzwi znowu się zamknęły.

– Na czym to zakończyliśmy?... Ach tak, więc wiedzą już państwo o tym przykrym fakcie, jakim jest śmierć państwa współtowarzysza wakacji, księdza Daniela Hryciuka. Trudno mieć nadzieję, że to nie wpłynie na dalszy pobyt, zgon zawsze zmusza do refleksji.

„Zgon”. Wiera chciała kiedyś sprawdzić, dlaczego malownicza miejscowość na Warmii nazywa się Zgon. I dowiedziała się, że to od zgonienia, spędzania bydła do wodopoju nad jeziorem. I to „zgon” musiało się ludziom skojarzyć ze „skon”, czyli skonanie, co dało takie, przykre, znaczenie.

– Nie przeszkadzamy w tej refleksji, być może będziemy jeszcze mieli do państwa jakieś pytania. – Kiwnął głową i odwrócił się w stronę wyjścia.

Wiera podeszła do niego. Gdy znaleźli się tuż przy czytniku, Kosoń raz jeszcze spojrzał na zebranych:

– Proszę, żeby wszyscy państwo zostali tu do końca pobytu i żeby nikt nie opuszczał terenu ośrodka. Tak na wszelki wypadek.

Wiera też spojrzała na zebraną grupę. Wyglądali teraz jak spędzone zwierzęta.

Skon, zgon.

Kto?

ROZDZIAŁ 7

– I jak wrażenia? – zapytał Kosoń. Stali przed budynkiem, komisarz znowu palił.

– Jak po spektaklu w teatrze alternatywnym. – Wiera raz poszła na takie przedstawienie, w Supraślu. Może nie była odpowiednio otrzaskana ze sztuką, ale to, co zobaczyła, było naprawdę dziwaczne; prawie nic nie zrozumiała. – Nie wiem, jestem skołowana. Jeśli Józwik potwierdzi, że ktoś pomógł księdzu opuścić ten świat, to nie będę potrafiła powiedzieć, kto wydaje mi się najbardziej podejrzany.

– To wcale nie tak źle. Tylko idioci nie mają żadnych wątpliwości. – Kosoń się zawahał, ale wyciągnął jeszcze jednego papierosa z paczki i odpalił go od tego, którego właśnie kończył. – Zapałki mi wyszły, przypomnij, żebym kupił, kiedy wrócimy do miasta.

Wiera kiwnęła głową. Zapałki. Cały Kosoń.

– Żadnych, czyli trochę można mieć. A ja mam same wątpliwości. Czy im ktoś normalniejszy się wydaje, tym lepiej, czy tym gorzej? Świry są bardziej czy mniej podejrzane? Gdy ktoś milczy, to dlatego, że coś ukrywa? A jak jest głośny, to niewinny czy stwarza pozory niewinności?

– Ty mnie pytasz czy tak głośno sobie myślisz? – Kosoń z lubością wydmuchiwał śmierdzący dym w balsamiczne leśne powietrze.

– No... A jakbym powiedziała, że szefa pytam? – Nagle zabrakło jej odwagi. Poczowała się tak, jakby dopiero zaczynała szkołę. Teoria to jedno, a praktyka – coś zupełnie innego.

– Tobym ci powiedział, że nie wiem. O, a mówiłaś, że nie udało ci się złapać Maryśki.

Wiera powędrowała spojrzeniem za wzrokiem Kosonia. Wzdłuż ściany budynku dla gości szła prokuratorka Maria Przyzwan. W czarnej, prostej, dopasowanej sukience, podkreślającej jej kościstość, z dużą torbą na ramieniu i z nonszalancko upiętymi włosami. Z tej odległości można było ją ocenić na czterdzieści lat, może nawet mniej. Dopiero z bliska było widać, że jest o dekadę starsza. Szczupłość odejmuje lat z daleka, bo nadaje sylwetce lekkości, zgrabności, z bliska zaś – przeciwnie – nic nie wypełnia tracącej jędrność skóry.

– Gęstość zaludnienia jak na Grenlandii. – Machnęła rękę, zataczając koło. – Co to za miejscówka? Błądziłam po okolicy, w sumie przypadkiem tu trafiłam, bo myślałam, że pomyliłam drogę, a ja się nie lubię mylić. – Tę ostatnią kwestię Przyzwan powiedziała jakby do siebie. – Ale zawrócić nie było jak, tak wąsko. No i dojechałam do tej pancерnej bramy, na szczęście otwartej... – Doszła do nich, podała rękę Wierze, a potem Kosoniowi. – Daj, zapalę – zwróciła się do komisarza. – Fajkę spokoju i wyciszenia. – Mrugnęła łobuzersko do Wiery.

Kosoń wyciągnął z kieszeni pomięte papierowe pudełko.

– Zapalki mi się skończyły – uprzedził.

– Nie szkodzi. Wszystko się kiedyś kończy, ale na eschatologię jestem przygotowana. – Prokuratorka pogrzebała chwilę w torbie i wyjęła z niej zapalarkę.

– Oryginalnie – skomplementował Kosoń.

Wiera też była pod wrażeniem.

– Kupiłam na cmentarz, bo w tych zamiennych wkładach knot jest nisko i zapalniczką nie daje rady, palce sobie można poparzyć. Używać tylko kilka razy w roku, toby było marnotrawstwo, więc została w torebce. Poza tym fajny gadżet, nie? – Przyzwan nacisnęła spust, jak w pistolecie, i przystawiła lufę zapalarki do papierosa. Zaciągnęła się i uśmiech rozjaśnił jej twarz. – Smak młodości. Ostre, śmierdzące, jak bez filtra. Cegłą w płuca. Nie pytam, po której stronie granicy zostały zrobione. Dobra, to gdzie my jesteśmy? – Spojrzała na Wierę.

– Hotel Szaniec. Skąd pani wiedziała, gdzie nas szukać?

– Widziałam, że dzwoniłaś. Byłam w komendzie, bo miałam papiery do odebrania, więc przy okazji chciałam do ciebie wpaść, a tu pusto. U twojego szefa – spojrzała na Kosonia – też. Dzwonię do was obojga – poza zasięgiem. No to poszłam do tego waszego aniołka...

– Remka? – upewniła się Wiera.

– Taaa. I tam też pusto. Za to na biurku plik wydruków. W komendzie jest tylko jeden technologiczny analfabeta, Janusz K., więc to dla niego. – Uśmiechnęła się do Kosonia. – Odwracam te wydruki, bo do góry nogami je widziałam, a tu ksiądz na tapecie. Nos mnie zaswędziało, że może jakaś afera kościelna. To znaczy taka, która nie została od razu pod dywan zamieciona. Aniołek wraca, więc pytam, o co chodzi z tym Hryciukiem. No i humor mi skisł, bo się okazało, że ksiądz nie żyje, czyli on już pod inną prokuraturę podpada. Ale skoro jesteście tutaj ponad trzy godziny, to chyba jakaś sprawa jednak jest i ziemską prokuratora też się przyda.

– Jest. Chyba. Pani sierżant opowie. – Kosoń sięgnął do kieszeni spodni, ale jednak się rozmyślił. Nie wyciągnął kolejnego papierosa.

– Maciek Kowal, pracownik Szańca, hotelu coś jakby surwiwalowego, zgłosił śmierć jednego z gości, właśnie księdza Hryciuka. Niby wyglądał normalnie, bo leżał w łóżku, jakby spał, ale w pokoju, na stoliku, była kartka: „Do mnie należy pomsta, ja wymierzę zapłatę”. A, sprawdziłam to, zapomniałam powiedzieć – spojrzała na Kosonia – to z Nowego Testamentu i tam jest wielkie M, bo to mówi Bóg.

– Coś takiego? Bóg, powiadasz? A tu? – zapytała Przyzwan.

– A tu drukowanymi, prawie pismem technicznym to napisane. Więc ta kartka przestraszyła Kowala i zadzwonił na policję. On w ogóle jest lekko przestraszony. Dzwonił też do Banasiuka, który tutaj szefuje.

– Banasiuk? No, to widzę, że same lokalne elity. – Przyzwan zgmiotła szpicem czarnej szpilki niedopałek. – I co dalej?

– Banasiuk nie odebrał, my przyjechaliśmy, przyjechali także Józwik i Motyka. I okazało się, że coś jednak jest, bo ksiądz ma na udzie strup jak po wkłuciu igły. Poza tym żadnych śladów przemocy. Pokój był zamknięty, Kowal go otworzył swoją kartą, bo ksiądz nie zjawił się na śniadaniu. A, oni tu mają jakieś dziwaczne zasady, to znaczy dostają zadania, polecenia, nie znają swoich nazwisk, żadnej obsługi na widoku i inne świrstwa. Dwanaście tysięcy za dwa tygodnie. – To ostatnie znowu zbulwersowało Wierę. Liczyła na podobny odzew u prokuratorce.

– Może to jakaś pralnia albo inna chujnia, co? – Przyzwan też była zdziwiona tą sumą, choć nie tak jak Wiera.

– Wygląda, że oni tak na serio – powiedział Kosoń.

– Pieniądze zawsze są na serio, tylko w różnych dekoracjach. Rozmawialiście z resztą? Ile tu osób jest?

– Siedem. To znaczy siedmioro odpoczywających. Kowal, dwie kobiety z obsługi i jacyś dochodzący. Przepytały jeszcze dokładnie Kowala, ale się zarzeka, że tej nocy, gdy Hryciuk umarł, był włączony alarm i poza tą ósemką nikogo nie było w budynku. Sam Kowal mieszka w tym nowym pawilonie w głębi, jako jedyny z obsługi.

– A ci goście? Któryś ewidentnie przetrącony?

– Wiera nie potrafi ocenić – powiedział Kosoń.

– A ty?

– Skłaniam się ku tej ocenie.

Przyzwan się uśmiechnęła.

– Gdybyście mnie pytali, to rzuciłabym wam sugestię co do motywu morderstwa.

– Nie wszystkie sprawy są czarno-białe. – Kosoń objawił delikatny sceptycyzm.

– W tej czarny to akurat kolor firmowy. Chyba że chodzi o purpurata.

– Ty też lubisz czerni. – Kosoń się uśmiechnął.

– Kolor maskujący. Łatwiej podejść wroga.

„Przekomarzają się”, pomyślała Wiera.

– No dobra, to sobie pożartowaliśmy, a teraz na serio. Jak dodajesz przestępstwo do księdza, to co ci wychodzi? – Teraz Przyzwan patrzyła na Wierę.

– No, to różnie... Tu akurat śmierć – zaczęła Wiera.

– Może źle to ujęłam. Nie pytam o wynik, tylko o równanie z jedną niewiadomą. Obstawiam, że księżulo się komuś naraził. A co brzydkiego mógł zrobić?

Przyzwan wciąż patrzyła na Wierę, która czuła się pod tym wzrokiem jak wyrwana do odpowiedzi przy tablicy.

– No, to pytanie jest proste. Dziecinnie proste.

„Dziecinnie”, powtórzył w myślach Wiera. Czyli że powinna wiedzieć, bo inaczej się skompromituje. Chyba że... nagle ją olśniło. „Dziecinnie”. Poczowała przykry ścisk w żołądku.

– Tu są sami dorośli, chyba raczej nie to... – Zamilkła. „I co z tego, że dorośli, przecież kiedyś nie byli dorośli”.

– Nie szliśmy na razie w tę stronę. – Kosoń wreszcie się odezwał.

– Poza kasą jest najbardziej oczywista, ale fakt, nie wyczerpuje katalogu klerykalnych przestępstw. Papiery chcecie?

– Tak. – Kosoń kiwnął głową.

– Dobra, robimy sekcję. O której on mniej więcej umarł?

– O północy.

– Taaa, ci to nawet po śmierci długo się na lekarza nie wyczekają... *À propos* – kuria wie?

– Jeszcze nie – powiedział Kosoń. – Wrócimy na komendę i ich zawiadomimy.

– Okej. Ja sobie zerknę na okolicę. Gdzie jest ten Kowal, żeby mnie zaprowadzić?

– Mówisz i masz. – Kosoń spojrział w tym samym kierunku, z którego przyszła Przyzwan.

Zza rogu wyłonił się Maciej Kowal, ale nie szedł w ich stronę, tylko do budynków w części prywatnej. Zauważył ich, przystanął i jakby się zawahał. Kosoń wykonał ręką zapraszający gest. Nawet z tej odległości było widać, że chłopak lekko się spał.

– Fakt, przepłoszony – stwierdziła Przyzwan.

Kowal szedł w ich stronę, a im bliżej był, tym gorzej mu napęd działał.

– Dzień dobry – powiedział, patrząc na prokuratorkę.

– Dzień dobry. – Kiwnęła głową. – Maria Przyzwan, prokuratura rejonowa w Giżycku. Przyjechałam obejrzyć miejsce zgo... – lekko się rozpędziła – gdzie ksiądz Daniel Hryciuk zasnął w Panu.

Wiera zauważyła, że Kosoń kaszlnął, ale to chyba było maskowane parsknięcie. Tak, tych dwoje pasowałoby do siebie. Ile można nosić żałobę? A Dwadzieścia Cztery była rozwiedziona, więc w sumie... W sumie to chyba robiła kilka podchodów do życia w związku, tak słyszała od chłopaków. „Kawał zołzy”, podsumowali. Jak na lokalne standardy, to nawet cała zołza. Przyzwan nie dbała o konwenanse i miała niewyparzony język. Ponoć nie wchodziła w żadne układy. Aż dziw, że wciąż pracowała, zwłaszcza teraz, gdy działy się takie rzeczy, które nawet policjantom będącym wcześniej milicjantami nie mieściły się w głowie. Rejon to jednak najniżej, spadać można z okręgowej lub regionalnej. Wiera nie wiedziała, czy Przyzwan nigdy tam nie doszła, czy ją strącono.

Kowal najwyraźniej nie zrozumiał, czy to żart, czy przejaw religijności, więc asekuracyjnie nie skomentował. Powiedział tylko:

– Oczywiście.

Już prawie się odwrócił, gdy coś sobie przypomniał.

– Zapomniałem panu powiedzieć – zwrócił się do Kosonia, ale popatrywał i na Wierę. – W tych kartach zgłoszeniowych jest rubryka, kogo powiadomić na wypadek śmierci. Nigdy nie korzystaliśmy, więc w pierwszej chwili... ale...

– Ale co? – zapytał Kosoń.

– Ale sobie przypomniałem i sprawdziłem. Więc tam jest napisane, że jeśli ksiądz umarł, to trzeba dzwonić do... – wyciągnął z kieszeni lekko pomiętą kartkę, gdzie coś było nagryzmołone – do Pałacu Archi... Archiprezbitera.

– Fiu, fiu. Złote i nieskromne – mruknęła Przyzwan. – Niech pan poczeka przy wejściu – zwróciła się do Kowala głośniej – zaraz przyjdę. I niech się pan tak nie boi, bo to podejrzone.

Chłopak wzruszył ramionami i chyba z ulgą odszedł w kierunku bramy.

– Ta miejscówka to jak lepianka przy Pałacu Biskupim. Zgniłe jajko nam się trafiło. Śmierzące jajeczko Fabergé. – Ostatnią kwestię wypowiedziała prawie śpiewająco. Nietrudno było ocenić, że cała sytuacja sprawia jej perwersyjną frajdę.

W oddali grzmotnęło, aż Wiera podskoczyła.

– Chyba burza się zbliża – powiedziała, lekko zmieszana swoją nerwową reakcją.

– Chyba – zgodziła się Przyzwan. – A takie ładne niebo było.

ROZDZIAŁ 8

Byli podobni do siebie, jak to chłopcy w tym wieku: jednakowo obcięci, ubrani na jedną modłę. Młody człowiek chce być jak inni, bo to go łączy z grupą. Ci byli grupą z konieczności i pewnie ten spójny wygląd został im narzucony. W takich miejscach jak to nie ma mowy o indywidualności, tu wszystko kolektywnie, odgórnie sterowane. Ale jeden z tych chłopców był trochę inny, miał coś w sobie. To coś. Był posągowy, jak greckie rzeźby. Ładnie opalony, a kiedy szedł, to takim sprężystym krokiem, który się spotyka tylko u młodych, jakby kolejne lata skutecznie odbierały ten przejaw witalności.

Niedobrze, że chłopcy są razem.

A może właśnie dobrze? Tak łatwiej zacząć znajomość, niż gdyby musiał podejść tylko do niego. Ma już pewną wprawę, nie jest nieopierzony, ale to jednak nie rutyna. No i trzeba się pilnować. Pobędą wspólnie, porozmawiają, przyzwyczają się do siebie. Trochę ich pozna, im będzie schlebiało jego zainteresowanie. Wiadomo – jak się nie ma ojca, to każdy dorosły facet, który się pojawia w pobliżu, jest traktowany jak potencjalny zamiennik rodzica. Potem zacznie się rywalizacja, którego z nich on najmocniej wyróżnia. Tak to działa, młodzi chłopcy potrzebują autorytetu, przewodnika, a ci są go szczególnie złaźnieni, bo wyposzczeni. Zabieganie o jego względy rozbija ich wspólnotę, zrobi się szczelina, przez którą on wejdzie między nich. I wtedy będzie go miał. Powoli, krok po kroku, owinie go jak w kokon.

ROZDZIAŁ 9

– Daniel Hryciuk, ksiądz dziekan, od kilku miesięcy na emeryturze, siedemdziesiąt lat. Nie mieszkał w Domu Księdza Emeryta, tylko w Pałacu Archiprezbitera. Żadnej bliskiej żyjącej rodziny. – Kosoń przeglądał wydruki przygotowane przez Remka. – Dobra, no to dzwonimy. – Spojrzał na Wierę i jasne się stało, że w tym przypadku „my” znaczy „ty”.

Wiera westchnęła. Jeszcze nigdy nikogo nie powiadamiała o śmierci bliskiej osoby. „W sumie dobrze mi się trafiło na debiut”, pomyślała. Księża powinni spokojniej podchodzić do tematu śmierci, bo perspektywę mieli przecież zupełnie inną. Wyjęła z kieszeni karteczkę od Kowala i wpisała podany numer. Po serii przełączeń czekała na finalne połączenie z kanclerzem kurii. Trwało to tyle, jakby się ubiegała o audiencję u papieża.

– Ksiądz Mariusz Zwoleński, słucham. – Zabrzmiało wreszcie w słuchawce.

– Wiera Jezierska, komenda powiatowa policji w Giżycku – przedstawiła się, mimo że ksiądz na pewno został poinformowany, kto do niego dzwoni.

– Szczęść Boże!

– Szczęść Boże – odpowiedziała, choć na kilometr zabrzmiało to sztucznością. Uznała jednak, że przed przekazaniem przykrej informacji powinna być miła. – Dzwonię do księdza ze smutną wiadomością. Ksiądz Daniel Hryciuk nie żyje.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Jest tam ksiądz? – zapytała niepewnie.

- Jestem. To po prostu... zupełnie nieoczekiwane.
- Rozumiem, w hotelu też się nikt nie spodziewał...

To nie była do końca prawda, jeśli Hryciuk rzeczywiście doprowadził kogoś do ostateczności. A potem ten ktoś księdza – do innej ostateczności.

– W hotelu? A cóż się stało, proszę powiedzieć – sondował ostrożnie Zwoleński.

„Dziwnie ostrożnie”, pomyślała Wiera.

– Wydaje się, że to były... – zawahała się minimalnie – ...problemy z sercem.

To była sugestia Przyzwan – żeby na razie nie zdradzać zbyt wiele. „Powiedźcie, że to problemy z sercem. W końcu każdy, kto umiera, miał problemy z sercem, bo biło, a teraz nie bije”.

– To tym bardziej nieoczekiwane, bo ksiądz Daniel był pod opieką najlepszego olsztyńskiego kardiologa.

– Tak? Poproszę od razu o imię i nazwisko.

– Tylko proszę mnie nie zrozumieć opacznie, ja w żaden sposób nie sugerowałem, że pan profesor mógłby coś zrobić źle. – Ksiądz Zwoleński momentalnie się usztywnił.

– Nie, oczywiście, to sprawa formalna, proszę się nie obawiać.

– Skoro tak... Profesor Tadeusz Szuba, kiedyś ordynator, teraz na emeryturze, ma prywatną praktykę w Olsztynie. Jeśli potrzebny adres lub telefon...

– Nie, dziękuję, znajdę.

– No tak... Och, proszę wybaczyć, ale to taki szok. Ksiądz Daniel jest... był wybitną osobowością. Tak pięknie się zapisał swoją posługą w historii warmińsko-mazurskiego Kościoła. Nie stąd, a wrósł w tę ziemię najmocniej.

– Tak? A skąd ksiądz pochodził? – zapytała Wiera, bo nigdy nie wiadomo, co się przyda.

– Ze Lwowa. Jego rodzice byli ze Lwowa, akcja „Wisła” ich tu przyniosła. Do Olsztyna, tam ksiądz dorastał, tam do liceum chodził i wreszcie do seminarium. I, co ciekawe, a zarazem budujące, bo pani pewnie nie wie – ksiądz Daniel to

pierwszy katolik w rodzinie... A w którym zakładzie znalazły się jego doczesne szczątki?

Wiera pomyślała, że nomenklatura kościelna jest bardzo specyficzna.

– Ciało jest w kostnicy...

– Kiedy moglibyśmy je zabrać?

– ...zakładu medycyny sądowej – dokończyła. – To zależy od wyników sekcji.

– Sekcji? – Ksiądz Zwoleński zareagował bez zwłoki.

– Tak. – Krótkie pytanie, krótka odpowiedź.

– Ale przecież mówiła pani... przepraszam, ale zapomniałem, jaki ma pani stopień?...

„Oho, zaczyna się”, pomyślała Wiera.

– Sierżant. Sierżant Wiera Jezierska.

– Więc mówiła pani, pani sierżant, że to zawał...

– Powiedziałam, że problemy z sercem.

– Tak czy owak, zrozumiałem, że to przyczyna naturalna. – Głos księdza Zwoleńskiego wchodził w mniej przyjazne rejestry.

– Cóż, ponieważ ksiądz Hryciuk był w dobrej formie i pod dobrą opieką, co sam ksiądz podkreślał, dopełnimy formalności i sprawdzimy, dlaczego jego serce przestało bić.

Wiera poczuła na sobie wzrok Kosonia. Delikatnie wzruszyła ramionami. Kłamstwo w wersji soft wcale nie było takie łatwe.

– Oczywiście.

To było „oczywiście” bogate w treści: trudno, przyjmuję do wiadomości ten stan, ale go nie akceptuję i postaram się go zmienić.

– Pani sierżant ma teraz pewnie dużo pracy, to może, żeby nie kłopotać, ja już się będę dowiadywał o przebieg spraw u nas, w wojewódzkiej?

Zabrzmiało bardzo uprzejmie, ale sens był jasny. Wiera właśnie po raz pierwszy w karierze zawodowej została szturchnięta palcem, a potem tym samym palcem jej pogroźono.

ROZDZIAŁ 10

Znowu te czarne myśli. Wróciły, osiadły go, dusiły.

Wtedy były tylko przeczuciem tego, co mogłoby się wydarzyć, ale teraz to się dokonało.

Brakowało mu tchu. Chciał się rzucić na zimną posadzkę i leżeć na niej krzyżem.

Chciał w tym geście poddania się najszczerzej żałować za występki, bo tak robią grzesznicy, którzy pojęli swoje przewiny.

Chciał tego, i trochę tak było, na pewno, przecież jest dobrym człowiekiem, bo był dobrym dzieckiem, a z dobrych dzieci nie wyrastają źli ludzie.

Zrozumiał jednak straszną prawdę – lęk przed karą był silniejszy niż żal za to, co się stało, mimo że stało się coś strasznego, najgorszego, nieodwracalnego.

Najważniejsze jednak było to, żeby się nie wydało. Jeśli się nie wyda, to on już nigdy, przenigdy...

ROZDZIAŁ 11

„Tłuczone ziemniaki z omastą, jajko sadzone i sałata ze śmietaną, do tego kompot. Sześć osiemdziesiąt. Dobra, to wariant tańszy, bo bezmięsny. Niech będzie osiem złotych, uśrednione”. Wiera wytarła palce chusteczką i odblokowała ekran. Znalazła kalkulator, wpisała dwanaście tysięcy, potem podzieliła na osiem, a potem na trzysta sześćdziesiąt pięć. Z trudem przełknęła kawałek kartofla. Ponad cztery lata obiadów w Świteziance, przez cały rok, na okrągło, wliczając święta i weekendy. Co w jej życiu poszło nie tak? To znaczy wiedziała, co poszło nie tak – urodziła się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwej rodzinie. Dość już miała tych durnych artykułów w gazetach dla kobiet albo na Facebooku, że każdy może sobie wykuć swój los, jak chce. Co ona by miała zrobić? Kasy znikąd, wsparcia w rodzinie żadnego. To znaczy takiego wymiernego wsparcia. Ojciec wsparł ją najlepiej, jak mógł, bo umarł, Anka się za nią modli, pewnie razem z siostrami, na tych swoich jutrzniach, nieszpórach i czym tam jeszcze, matka... Ech. Jedyna szansa na wyfrunięcie stąd to awans. Wczoraj rozmawiali z komendantem. Kosoń zdawał mu raport. „Co myślisz?”, zapytał Zbigniew Król. „Seksja wykaże”, odparł spokojnie Kosoń. Wiera się nie odzywała, już przywykła, że ważne sprawy są rozgrywane przez facetów. „Oby wykazała dobrze”, powiedział Król. Nic więcej nie dodał. Nie musiał. Komendant był ministrantem, uczestnikiem pielgrzymek, stałym bywalcem niedzielnych mszy na jedenastą. Nikt by się wtedy nie odważył do niego zadzwonić. Było jasne, że w tej sprawie woli mieć spokój. Święty spokój.

– Dzień dobry, pani prokurator! – Wiera specjalnie chwilę zaczekała z wejściem do budynku, gdy zobaczyła samochód Przyzwan wjeżdżający na policyjny parking.

– Już nie. – Przyzwan miała dziś na sobie niebieską lnianą sukienkę, pomiętą bardziej, niż by to mogło wynikać z właściwości materiału. Cała była jakby bardziej pomięta, ale wciąż wyglądała dobrze.

– Przepraszam, ale co już nie?... – Wiera nie rozumiała.

– Już nie dobry. Był, ale się skończyło. Kosoń u siebie? – Na początku Wiera myślała, że Przyzwan jest wyniosła i mało empatyczna. Z czasem zmieniała zdanie – prokuratorka była po prostu bardzo konkretna. W pracy całkowicie pomijała czynnik towarzyski. A życia prywatnego, zdaje się, nie miała, więc być może już całkiem zapomniała, czym jest konwenans.

Wiera kiwnęła głową. Przyzwan wyminęła ją i energicznym krokiem poszła w stronę wejścia.

Wiera domyślała się, że zarówno zważony humor pani prokurator, jak i pytanie o Kosonia są związane ze sprawą Hryciuka. Coś się musiało wydarzyć, ale co – tego się dowie od szefa. Albo i nie. Zakłuła ją zraniona ambicja. Jasne, policja, stopnie, hierarchia. Ale z jakiegoś powodu od Przyzwan – kobiety – oczekiwała innego traktowania. Zaczęła coś na niby sprawdzać w komórce, żeby nie wyglądało na to, że ją śledzi.

– Sierżant Jezierska! – Usłyszała. Podniosła głowę. Przyzwan stała w drzwiach.
– Potrzebujesz zaproszenia na piśmie? Chodź – powiedziała po prostu.

– Dostałam telefon z góry. – Przyzwan opierała się o parapet. Założyła nogę na nogę i kiwała jedną stopą, rytmicznie wysuwając ją ze swoich czarnych szpilek.

– Król? – zapytał Kosoń.

– Wyżej. Król królów. – Przyzwan uniosła brodę.

– Wojewódzka?

Pokręciła głową.

– Nie ten uniform. I nie ta góra. – Złożyła ręce jak do modlitwy. – Jezusie Najmilejszy, jak oni mnie wkurwiają. Skąd się u nich bierze takie poczucie samozajebistości?

– No to jesteś trzecia. Najpierw Wiera usłyszała, że kuria nie będzie nas kłopotać, bo do wojewódzkiej jej bliżej, potem Król wyraził zaniepokojenie przyszłym wynikiem sekcji, a teraz dołączasz ty. A co konkretnie? Cisnęli?

– A, nie. Na razie było bardzo miło i lukrowato. „Telefon nieoficjalny”, troska i prośba, by się udało sprawnie zamknąć „ziemski bieg spraw”, bo przecież trzeba zaplanować pogrzeb, uroczystości, ble, ble. Do porzygania. – Przyzwan miała zacięty wyraz twarzy.

– Szybko poszło. – Wiera postanowiła nie być niemyym świadkiem tej rozmowy.

– Wieczność wiecznością, ale w sprintach Kościół też daje radę... Młyny Boże wyraźnie przyspieszyły – skwitowała Przyzwan, jakby oderwana od swoich myśli.

– Jak tam sekcja? Józwik się odzywał?

– Tylko tyle, że przed południem miał zacząć. – Kosoń bawił się pudełkiem z zapalnikami, obracając je w dłoni. Wczoraj kupił dziesięciopak.

– A u ciebie coś nowego? – Tym razem Przyzwan spojrzała na Wierę.

– Sprawdziliśmy bagaż i zawartość pokoju Hryciuka w Szańcu. Nic szczególnego. Biblia, którą już widzieliśmy, trochę ciuchów, dobre kosmetyki, książka o jezuitach.

– Telefon? – zapytała Przyzwan.

– Nie. W pokoju nie było. W depozycie u Kowala też nie. Chyba przyjechał bez. Kowal powiedział, że ktoś go przywiózł, więc to możliwe.

Przyzwan pokiwała głową.

– Znaleźliśmy też leki: jedno nasercowe, takie, jakie mówił Józwik, te ACE, nazwę handlową mam zapisaną, a drugie to koenzym Q10. Na pudełku było, że to „witamina młodości”. – Wiera kartkowała swój notes.

– No i widzicie – chcieć to móc – powiedziała Przyzwan. – Nie chciał się zestarzeć i się nie zestarzał.

– „W surowicy krwi denata stwierdzono obecność potasu w stężeniu 10,1 mmol/L (przy normie 4,5 mmol/L). Stwierdzono także obrzęk płuc, a w żołądku rozmiękłą szarobiaławą masę – częściowo strawione tabletki wolno wchłaniającego się potasu chloru. Błona śluzowa żołądka makroskopowo licie wiśniowobrunatno podbarwiona i z wybroczynami, w oglądzie mikroskopowym znaczne przekrwienie z wylewami krwawymi, które stwierdzono również w warstwie mięśniowej ściany żołądka. W mięśniu sercowym pomnożenie tkanki łącznej okołonaczyniowej i pogrubienie ścian naczyń, a w nerce obraz przewlekłego śródmiąższowego zapalenia. Oprócz tego znaleziono ślad po wkłuciu na udzie denata”. – Maria Przyzwan odłożyła komputerowy wydruk.

Stali we czwórkę: Józwik, Kosoń, Przyzwan i Wiera, nad stołem prosektoryjnym, na którym leżał Daniel Hryciuk.

– Ponaddwukrotnie przekroczona norma – zauważyła Przyzwan. – Bardzo był ubogacony tym potasem.

Józwik parsknął.

– Nie lubisz czarnych – powiedział.

– Marysia w ogóle ostrożnie obdarza sympatią – stwierdził Kosoń.

– I dlatego się z niej nie wypstrykałam. Trzymam zapas. To co z tym potasem? Dużo za dużo?

– Dużo. Tutaj dodatkowy pech, bo ta hiperkaliemia w połączeniu z inhibitorami konwertazy angiotensyny, czyli preparatami na serce, które on brał, mogła wywołać zawał. „Duet samobójców”, tak się mówi o połączeniu potasu i ACE. Nawet student pierwszego roku medycyny wam powie, że tych leków nie wolno brać razem. – Józwik popatrzył znacząco na zebranych.

– A on je brał? – Przyzwan przyglądała się ciału księdza.

– Tak mówi zawartość żołądka. I zawartość dozownika leków. Kto go leczył?

– Tadeusz Szuba – odpowiedziała Wiera.

– Stary, ale na chodzie. Kardiologiczny wyga. Mowy nie ma, żeby coś takiego zalecił. – Józwik pokręcił głową.

– Z tym potasem to coś dziwnego, bo w kosmetyczce księdza nie było żadnego pudełka po potasie, tylko po koenzymie Q10, tej witaminie młodości. – Wiera zajrzała do swojego notesu.

– No to mamy częściowe rozwiązanie zagadki – powiedział Józwik. – Bo miałem dodać, że jedna tabletkę w tym pudełku nie była ani ACE, ani potasem. Jeszcze nie mamy wyników, ale pewnie się potwierdzi, że to ten suplement.

– Ale skąd reszta? Znaczący ten potas? – zapytała Przyzwan.

– Może brał go wcześniej i mu się skończył, więc wyrzucił opakowanie do kosza? – przypuściła Wiera. – Mógłby sobie sam wymyślić taką kurację? – Spojrzała na Józwicka.

– Wątpię. Pudełeczko na leki, najlepszy profesor od serca w mieście, kapciuszki równo ułożone przed łóżkiem... Wyglądał na zorganizowanego pacjenta. Ale co innego jest zdecydowanie ciekawsze. – Popatrzył na nich rozjaśnionym spojrzeniem. – Stężenie potasu we krwi jest wyższe, niżby wynikało z zażycia tych tabletek. – Miał minę, jakby wygrał w totka. Może nie szóstkę, ale mocną czwórkę.

– No to te tabletki były przyczyną śmierci czy nie? – Przyzwan najbardziej na świecie lubiła czyste, zerojedynkowe sytuacje. – Stężenie potasu ma związek z wkłuciem na udzie? – Spojrzała na nagą nogę Hryciuka.

– Bingo! – ucieszył się Józwik. – To najprawdopodobniej był zastrzyk z chlorku potasu.

– Takiego samego jak w tabletkach? – zapytała Przyzwan.

– Tak. I takiego samego, którego ksiądz nie mógł brać. Tabletki to jednak mimo wszystko pestka przy zastrzyku, który powaliłby każdego, bez względu na to, czy ma chore serce, czy nie.

– A jak działa taki zastrzyk? – zapytał Kosoń.

– Mięsień staje. Krótka piłka, błyskawiczna akcja, pyk i po wszystkim. Szybko się ulatnia. Trudny do wykrycia.

– „Przyczyną śmierci był blok serca skutkujący zatrzymaniem akcji serca”. – Przyzwan znowu zajrzała do papierów. – O której godzinie umarł?

– Mniej więcej o północy, tak jak przypuszczałem.

– Strzał w serce. Tak ginęli pacjenci podczas likwidacji zakładu w Karolewie przez Niemców – powiedziała Wiera.

Przyzwan, Kosoń i Józwik spojrzeli na nią.

– W folderze tego nie wyczytałem – stwierdził Kosoń.

– Jakim folderze? – zapytała Przyzwan.

– Reklamowym, hotelu Szaniec. Tym, który dostawali goście po przyjeździe.

– To byłoby oryginalne marketingowo zagranie – stwierdził Józwik.

– Nie, w Internecie. Szukałam wczoraj wieczorem jakichś dodatkowych informacji o Karolewie. Tak z ciekawości, bo jestem z tych terenów i nic wcześniej nie słyszałam. – Wiera poczuła się jak pilna uczennica, której mama kazała już iść spać, a potem przyłapała ją, jak pod kołdrą, z latarką, wkuwa dodatkowy materiał na szóstkę.

– Tutaj mamy nogę, ale sposób działania taki sam – powiedział Józwik.

– Trudno zdobyć taki chlorek potasu? – zapytała Przyzwan.

– Bez większego problemu. Pamiętacie łowców skór?

– Zabili zaufanie do ratowników medycznych. – Kiwnęła głową Przyzwan.

– Ale oni używali chyba czegoś innego. – Kosoń szukał w pamięci szczegółów tej głośnej sprawy.

Wiera pamiętała aferę, gdy pracownicy pogotowia uśmiercali pacjentów, żeby dostać kasę od zakładu pogrzebowego za kolejną „skórę”. Wyjątkowo parszywa sprawa, ratownicy zmieniali się w katów. Przyzwan miała rację, strach było wtedy wsiadać do karetki.

– Pavulonu – przytaknął Józwik. – Ale potem pojawiła się Doktor Potasik, która w tym samym celu używała chlorku potasu. Sposób prosty, tani i skuteczny.

– Jednego nie rozumiem – ten potas w tabletkach i potas w zastrzyku. To się jakoś łączy? – zapytał Kosoń. – Ten w zastrzyku ktoś mu podał, ale tamten w tabletkach?... Sam brał? To znaczy brał, bo miał w pudełku, ale czy świadomie?

– To sobie musisz sam wyjaśnić, komisarzu. – Józwik klepnął Kosonia w plecy.
– Szukacie mordercy.

– Proście, a będzie wam dane. – Kosoń mocno się zaciągnął papierosem.

– Kto prosił? I co dostanie? – zapytała Przyzwan.

– Wiera. Niedawno powiedziała, że chciałaby jakiejś poważnej sprawy, morderstwa.

– Jesteś żywym dowodem, że modlitwy bywają wysłuchane. Może mogłabyś poprosić o coś dla koleżanki? – Przyzwan odnalazła wreszcie w torbie swoją paczkę papierosów. Wyciągnęła jednego – smukłego i cienkiego, jakby robionego specjalnie dla niej, i lekko uśmiechnęła się do Wierę. – Widzisz – Przyzwan spojrzała na Wierę – takie czasy, że na marzenia też trzeba uważać.

– Powiedziałam, że chciałabym poważnej sprawy, ale takiej, która w efekcie przyniosłaby coś dobrego. – Wiera wciąż jeszcze miała przed oczami widok nagiego Hryciuka na metalowym stole. Nie miała problemu z fizycznością, nagością, śmiercią. Jako dziecko wychowane na wsi początki i koniec życia traktowała naturalnie. Ale martwy, nagi, zamordowany ksiądz... To się jakoś jej wymykało. Tego jeszcze nie czuła. – A tu... – nie potrafiła precyzyjnie tego ująć.

– Coś dobrego, powiadasz? Pani sierżant ma jeszcze złudzenia. A co to miałyby być? – Przyzwan uważnie popatrzyła na Wierę. – Staramy się łapać złych ludzi, ale co dobrego wynika z tego, że skazujemy za zabójstwo kobietę, która męczona latami przez męża w końcu nie wytrzyma i dźga go nożem, albo zamykamy za „posiadanie” jakiegoś gówniarza, a ten w pierdłu jest gwałcony i maltretowany.

Jest sprawiedliwość? Jest. A jest to dobre? Ni chuja. I trzeba z tym żyć. – Przyzwan ruchem ręki powstrzymała próbującego się wtrącić Kosonia. – Oby ci się, dziewczyno, nie trafiły takie dylematy. Może tam na stole leży drapieżnik, a my będziemy szukać jego ofiary.

ROZDZIAŁ 12

Kosoń rozpiął jeszcze jeden guzik pod kołnierzykiem. Dziś miał na sobie koszulę z krótkim rękawem. Za dużą, spraną, w dziwnym groszkowym kolorze, ale wyprasowaną. Wiera czasem się zastanawiała, czy jemu nie zależy na wyglądzie, czy lubi swoje stare ubrania, bo nosił je wtedy, gdy żyła jego żona, czy może z innego powodu jest abnegatem. Ona sama nie była mistrzynią stylizacji, zresztą nie w tym miejscu i nie za te pieniądze, ale żeby się tak nie przejmować, w czym się między ludzi idzie?... Za to lubiła patrzeć na Przyzwan – prokuratorka nawet pomięta wyglądała dobrze. „Bo ma styl”, pomyślała Wiera. Ale nie tylko o to chodziło, Maria Przyzwan była jakaś. Konkretna, do przodu, zaangażowana. Kosoń zaś wycofywał się z życia. Chyłkiem, małymi krokami, odpuszczając. Chociaż to dzisiejsze nieudolne odprasowanie... „Ile to wygląd może zdradzić o człowieku”, pomyślała. A co mówił o niej? Na nogach miała swoje czarne trampki z gwiazdką, wyżej – czarne dżinsy, jeszcze wyżej – czarny T-shirt. Ten monochrom kolorystyczny przełamowały tylko białe elementy butów, które, mimo że je myła, powoli traciły świeżość nowości. „Za dużo tu brudu. Ten, kto robi białe podeszwy, nie zna prawdziwego życia”, podsumowała jej ekskluzywne trampki Przyzwan.

Zauważyła, że Kosoń skończył rozmawiać, dla formalności zapukała we framugę otwartych drzwi i weszła do pokoju komisarza. Usiadła naprzeciwko niego, po drugiej stronie biurka.

– Nic, szefie, nie ma. Nikt nie był karany, nawet mandaty są u nich rzadkością. Wszyscy są czyści, cała siódemka. – Jakby na dowód położyła papiery na stół.

– A Kowal? – Kosoń sięgnął po kubek z kawą. Wyglądał na niewyspanego.

– Wydaje się, że też. On jest stąd, z Węgorzewa. Skończył technikum, pracował w jakimś zakładzie samochodowym, potem jako kierowca. Papiery bez wpisów.

– No i widzisz – sami czyści, a brudno. – Kosoń wstał zza biurka i zaczął sobie masować lewe ramię. – Jakoś krzywo spałem, bo mnie ciągnie od rana. Albo już stary jestem. Albo jedno i drugie. No dobra, trzeba się rozruszać, jedziemy do Karolewa, porozmawiamy sobie z tymi naszymi kryształami.

W tym momencie do pokoju wszedł Zbigniew Król. Mimo upału był w służbowym rynsztunku. Młodszy od Kosonia, wyglądał na kilka lat starszego. Naczynkowa cera, lekka nadwaga, duże zakola. Typ wójta z małej gminy.

Zamknął za sobą drzwi, minął Wierę i usiadł przy biurku, na miejscu komisarza.

Wiera nie ruszyła się z miejsca, a Kosoń wciąż stał tam, gdzie zastało go wejście szefa.

Król westchnął. Przeciągle i znacząco.

– Czytałem wyniki sekcji – powiedział i zamilkł.

Wierze ciążyła ta cisza. Kosoń sprawiał wrażenie, że on się nią nie przejmuje.

– Śledztwo idzie w stronę morderstwa – ni to stwierdził, ni zapytał komendant.

– Zgodna opinia policji i prokuratury. – Kosoń wreszcie przemówił.

– Twoja i Przyzwan – powiedział Król.

– Sierżant Jezierska też w ten sposób interpretuje fakty.

Wiera się spięła. Król spojrzał na nią. Kiwnęła głową na potwierdzenie słów Kosonia.

– Jeśli te przypuszczenia – „przypuszczenia” zostały zaakcentowane – się utrzymają, to trzeba postępować rozważnie. Tu chodzi o śmierć księdza. Księdza dziekana. – Otarł dłonią kilka kropel potu z nosa.

– W przypadku każdej śmierci postępujemy rozważnie. Każdego obywatela traktujemy równo. – Kosoń wciąż stał przy odsuniętym od biurka krześle.

– Janusz, kurwa! – Król uderzył kantem dłoni w biurko. – Nie pogrywaj sobie tak ze mną. Przecież wiesz, o co chodzi.

– O co? – Głos Kosonia był spokojny, ale Wiera zauważyła, że komisarz zacisnął dłonie w pięści.

– Możesz być sobie dziwakiem, twoja sprawa. Zresztą nie mówię, że nie miałeś powodu, bo miałeś. Dobra, tamto przeszło, a ty dalej w jakiejś bańce, odcięty od świata – twój wybór, mnie nic do tego, póki wszystko w robocie działa, jak należy.

– Król miał już pot na czole i skroniach. – Ale to, że ty żyjesz jak pustelnik, to twoja broszka. Inni żyją wśród ludzi. Są hierarchie, są zależności, jakiś porządek. I ty go uszanuj, ja ci dobrze radzę.

– Szanuję – zapewnił go Kosoń. Trzeba by sporo naiwności, by nie wyczuć ironii w tym stwierdzeniu. – Na przykład opinię prokuratury szanuję.

– Przyzwan! – parsknął Król. – Też mi przykład. Swoje lata już ma i w prokuraturze rejonowej zasuwa. Zapowiadała się nieźle, naprawdę nieźle. I co? I nic. Mogłaby zajść daleko, jak jej mąż, ale nie, zawsze była rogata. No to ma. Ty także się możesz doigrać. I jeszcze wciągacie w to sierżant Jezierską. A ona jest młoda, żal się tak wyłożyć na początku kariery. – Wstał, popatrzył przez chwilę na Kosonia, potem na Wierę i wyszedł.

Wiera chciała zapytać o męża Przyzwan, ale się powstrzymała. Kosoń, jeśli będzie chciał, sam jej powie. Zresztą teraz pewnie zadrżałby jej głos.

– O czym to rozmawialiśmy, zanim komendant wszedł? A, o brudzie i kryształach. No to jedziemy. – Kosoń dosunął odstawione przez Króla krzesło do biurka i wyszedł z pokoju.

– Ja się wciąż zastanawiam, dlaczego oni wybrali to miejsce. – Wiera patrzyła na zmieniającą się zielenią za oknem. – Dwanaście tysięcy. – Miała jakąś masochistyczną przyjemność w wymawianiu tej kwoty.

– Widzę, że cię wzięło. – Kosoń łagodnie pokonał kolejny zakręt.

– A szefa nie? – Wolą odbić pytanie, niż przyznać się, że rzeczywiście, żółć ją zalewała.

– Czy ja wiem... Ale widzisz, mimo takich pieniędzy to wciąż zwykli ludzie. Denerwują się, smucą, kłamią, mordują. Nie ma im czego zazdrościć. Zaraz będziemy. Wydzwoń Kowala, niech opuszcza ten most zwodzony.

Wiera wybrała numer, połączyła się z Kowalem i poprosiła o otwarcie bramy. Gdy dojechali, oba skrzydła były rozsunięte, a przy nich stał Maciej Kowal.

– Dzień dobry! – przywitał go Kosoń.

– Dzień dobry. – Po minie chłopaka było widać, że wcale nie jest pewien tego dobrostanu.

– Poprosił pan gości, żeby się zebrali w jadalni? – zapytała Wiera.

– Tak, czekają tam wszyscy. A czy coś wiadomo o... – I zamilkł.

– Sprawa jest w toku. – Kosoń wyciągnął papierosa i zapalił. – Za jakiś kwadrans przyjedzie ekipa techników, jeszcze sobie pooglądają teren. Niech nikt im nie przeszkadza, proszę ich wpuścić tam, gdzie będą chcieli wejść. Przygotował pan nagrania z monitoringu?

– Tak. Mamy kamerę nad bramą, nad wejściem do głównego budynku, jedną przy naszych pawilonach.

– Trzy? – zdziwiła się Wiera. – Więcej widać. Dużo więcej. – Rozejrzała się dokoła.

– Nie działają. To znaczy atrapy – wyjaśnił Kowal, jakby zawstydzony. – Te są dla bezpieczeństwa, a tamte żeby... no, wprowadzić gości w odpowiedni klimat.

– To nam sprawy nie ułatwi – westchnął Kosoń. – Rzeczywiście – spojrzał na Wierę – za tyle kasy to mogliście się bardziej postarać. A, właśnie, jak tam szef?

– Banasiuk? – Kowal spłoszył się jeszcze bardziej.

Kosoń kiwnął głową.

– No, dobrze. To znaczy niedobrze. Nikt by nie chciał, żeby u niego ksiądz umarł.

– Ja bym nie chciał – zgodził się Kosoń. – A ty? – zapytał Wierę.

Wiera pomyślała, że mimo wyglądu w Kosoniu jednak tłucze się wola życia – zawodowego także. On też potrzebował jakiegoś bodźca, żeby się rozbudzić. I nawet się okazuje, że ma poczucie humoru. I to wszystko mimo niedawnej sceny z Królem. Wiera wiele razy słyszała w szkole o posłuszeństwie, hierarchii. „Struktura dziobania”, mówili starsi koledzy. Dziś dostała zakulisową lekcję. W sumie to drugą, bo zaczęło się od księdza z Pałacu Archiprezbitera. W żadnej z tych rozmów nie było nic na ostro, nic, co można by podciągnąć pod nielegal, a jednak ich wydźwięk był oczywisty.

– Nie.

Kosoń wciąż na nią patrzył. Tak jakby zachęcająco.

– Ani tym bardziej bym nie chciała, żeby ktoś zabił u mnie księdza.

Kowal zbladł, choć przy jego karnacji wydawało się to niemożliwe.

– Ale jako to? To znaczy, czy?... To przecież... Jezu... kurwa, no. – Patrzył to na Wierę, to na Kosonia.

Był naprawdę zdziwiony. I przejęty, i – pewnie – trochę przestraszony. Ale czego się bał? Kogo? Banasiuka? Tego, że wśród gości jest morderca? Tego, że on też jest w gronie podejrzanych?

– Właśnie – powiedział Kosoń. – Nikt się nie spodziewał. No dobrze, nie przedłużajmy. Idziemy teraz do jadalni, razem. Poinformujemy gości, że będziemy chcieli ich przesłuchać. Jest inne, ogólnodostępne pomieszczenie?

– Tak. Sala konferencyjna.

– Bardzo dobrze. Plan jest taki, że zapraszamy po jednej osobie do tej sali konferencyjnej. Po rozmowie ma wrócić do jadalni, ale niech nie rozmawiają ze sobą, dopóki nie przesłuchamy wszystkich. Żeby był z panem kontakt, gdyby technicy czegoś potrzebowali, drzwi do jadalni niech będą otwarte, ale niech pan z niej nie wychodzi. Proszę to potraktować jako jeszcze jedno zadanie do wykonania dla grupy. Będziemy też chcieli jeszcze raz porozmawiać z panem i z osobami z obsługi. No i wreszcie z szefem Banasiukiem. Terminy ustalimy po przesłuchaniu gości.

Kowal kiwnął głową. Wiera zauważyła, że się spocił – pod pachami jasnego podkoszulka ciemniały dwie plamy. Jej również było gorąco, ale czarny skutecznie maskował ewentualne przepocenia. „W takiej sukience jak Przyzwan też by było okej – bez rękawów, lniana, to może się pomic...” Nie, to nie była próżność. Wiera się po prostu denerwowała – pierwsza poważna sprawa. Pierwsza nieoczywista sprawa. Pierwsze duże przesłuchanie. Czuła, że takimi myślami odpędza od siebie stres i nerwy. Ale nie tylko. Czuła też, że ta sprawa może ją zmienić, zrobić jakąś. Jak Przyzwan. Może nawet te głupie myśli o sukience nie były takie głupie. Potrzebowała odmiany. Zostawić za sobą całą przeszłość, zrzucić ją jak wąż wylinkę. „Morderstwo z morałem. Przewrotne czynienie dobra”, przypomniały się jej słowa Kosonia, gdy wracali z Biedaszek.

Co złego zrobił ksiądz Hryciuk, co można teraz w dobro przemienić?

ROZDZIAŁ 13

Ależ te buty były wygodne! Zupełnie jakby chodził w kapciach, a to przecież solidny kawał materiału, bo na zimę przygotowane. Wydawało mu się, że sofiksy są super, bo dość ciepłe i odporne nawet na mokry śnieg, ale to dopiero było cudo sztuki szewskiej. Na zgrabnym kopycie zrobione, z miękkiej skóry, a w środku owcza wełna. Dobrze się Niemcom powodzi, skoro mogą sobie pójść do sklepu i po prostu takie kupić. Jemu jednak też nie było najgorzej. Są wdzięczni parafianie, którzy potrafią docenić jego starania. I którzy czasem jeżdżą do RFN-u.

Wsunął stopy w te miękkie buty, zawiązał sznurówki. Idealnie. Sięgnął po grubą, pikowaną kurtkę, obwiązał szyję szalikiem, sprawdził, czy ma w kieszeniach rękawiczki. Zawahał się, ale wybrał kaszkiet. Czapka cieplejsza, jednak nie wyglądał w niej dobrze. Zresztą do sali katechetycznej ma niedaleko, tyle to mu głowa wytrzyma, nawet mimo dużego mrozu.

Chodniczek był ostatni raz odśnieżony przed obiadem, a teraz tak go zasypało, że zostawiał w śniegu głębokie ślady. Dobrze, że cholewki ściśle przylegały do łydek, to mu śniegu nie nawpada.

Na korytarzu topniejąca szara breja, na wieszaku kolorowe kurtki, na ławce obok porozrzucone czapki i rękawiczki.

W sali gwar.

Wszedł, dzieci ucichły.

Zapisał na tablicy temat, otrzepał ręce z kredy i usiadł za biurkiem.

Uczniowie czytali zadany fragment katechizmu, a on patrzył przez okno.

W tym roku mieli wyjątkowo śnieżną zimę. Padało i padało, ponoć u nich najbardziej. Pięknie wyglądał ten biały puch na polach, na drzewach, na domach. Cała ziemia się zabieliła. Jednak jeśli tak dalej pójdzie, to ich całkiem zasypie, a wtedy lekcje zostaną odwołane, religia też.

Poczuł nieprzyjemny dreszcz. Odwrócił wzrok od okna, spojrzał w głąb sali.

Siedział tam, pochylony, skupiony, czytający.

Piękny.

Uspokoił się. Wszystko było dobrze, po co zakładać złe scenariusze. Czarne scenariusze, tak się mówi. Lekko się uśmiechnął. Przypomniawszy sobie, jak nim miotało na początku. Biedny, roztrzęsiony, niepewny kleryk. Wtedy mu się wydawało, że świat go przygniata, pętla mu się na szyi zaciska. Że nie da rady – ani tego robić, ani z tego zrezygnować. A potem ta historia... Znowu nieprzyjemny dreszcz.

Minęło kilkanaście lat. Gładkich lat. Czas mu sprzyjał.

Usłyszał gwar. Dzieci zaczęły się wiercić w ławkach, gadać ze sobą.

Wstał, przeszedł na środek sali.

Dzieci umilkły – sutanna budzi respekt.

– Nasz dzisiejszy temat to „Przykład daru męstwa u Dawida ze Starego Testamentu”.

Ile razy już to omawiał. Najpierw Dawid i Goliat, potem matka z Drugiej Księgi Machabejskiej. Dawid zwyciężył Goliata, choć zupełnie nie miał ku temu warunków. Jeden mały kamień i wiara, że da radę. Matka straciła siedmiu synów, bo wybrała wiarę. Gdyby się jej wyrzekła, oni zostaliby przy życiu.

Opowiadał płynnie i z emfazą. Raz mówił łagodnie, raz głos zawieszał, potem uderzał w dramatyczne tony. Dzieci słuchały. Chłoneły jego słowa, poruszone przekazem, jakby były w teatrze na przedstawieniu.

– Chciałbym, żebyście wyniosły z tej katechezy ważną myśl. – Powiódł wzrokiem po sali i zatrzymał spojrzenie na nim. Chłopiec też na niego patrzył. –

Dar męstwa uzdalnia do wielkich czynów, nawet do przyjęcia męczeństwa. Męstwo to pokorne uznanie swojej niemocy, słabości, przewyciężenie lęku.

 Nie spuścił z niego wzroku. Chłopiec też nie odwrócił głowy.

 Zdążyło się już ściemnić. Dziwne są te zimowe widoki – niebo szare, a pod nim biel śniegu, która się broni przed zmrokiem.

 Słabe światło lampy na ścianie plebanii, niczym wyczerpana latarka, oświetlało drogę powrotną.

 Tym razem w białym puchu odcisnęły się dwie pary butów.

ROZDZIAŁ 14

Wyglądał jak na starych kliszach – lekko prześwietlony, trochę zamglony. Stał przy parapecie, przed sobą miał salę jadalni, za sobą – okno, a za nim wysoko stojące słońce, które padało na niego, dając taki właśnie efekt. Wiera stała kawalek dalej, też blisko okna, ale przy ścianie, w półcieniu. Goście zgrupowali się przy trzech stolikach, dobrze widoczni, podani jak – pozostając w klimacie miejsca – na widelcu.

– Dzień dobry. – Kosoń przejechał wzrokiem po wszystkich twarzach. – Przyjechaliśmy jeszcze raz, ponieważ wszystko wskazuje na to, że śmierć Daniela Hryciuka nie nastąpiła z przyczyn naturalnych.

– Ej, no to są jakieś jaja. – Chuda Julia wyglądała na zaskoczoną, ale niespecjalnie zmartwioną. – Dwa dni temu mówiliście, że nie ma powodów, żeby myśleć, że fajnął nienaturalnie. A teraz co?

– A teraz się zmieniło – powiedział beznamiętnie Kosoń.

– Przepraszam, bo nie wiem, czy ja dobrze zrozumiałem – starszy pan lekko się wysunął przed grupę – ale czy to znaczy, że Daniel, ksiądz Daniel został... – przełknął ślinę – ...zabity?

Kosoń nic nie odpowiedział, tylko minimalnie kiwnął głową. Wiera wykonała podobny ruch.

Ten ładny, z pierwszego stolika, zbladł.

– Ale tylko my tu jesteśmy, a to znaczy, że to ktoś... no ktoś stąd, ktoś z nas go... – nie dokończył.

– To absurdalne oskarżenie. Absolutnie absurdalne. – Ta para chłopaków, obydwaj, jeden po drugim.

– Intuicja mnie nie zawiodła, to jest miejsce dla świrów. – Julia, pod wrażeniem.

„Czy ona coś bierze?”, pomyślała Wiera. „Są granice temperamentu”. W tym samym momencie przypomniało się jej, jak sama o mało nie uderzyła Klaudii Moroń. Więc... „Zresztą jeśli coś bierze, to chłopcy pewnie to znajdą”. Od tej strony nie widzieli wjazdu i miejsc postojowych, ale ekipa powinna już być na miejscu.

– Przepraszam, ale czy to pewne, tak ostatecznie pewne, że to było morderstwo? – Elegancka Magdalena dziś też była elegancka. I na obcasach.

– W tym kierunku toczy się sprawa. – Kosoń wciąż się opierał o parapet.

– Człowiek nigdy nie może być pewien, co go spotka, nawet na wakacjach. – Emo dla odmiany nie była dziś emo. Bez makijażu wyglądała na nastolatkę. Przestraszoną i nieszczęśliwą nastolatkę. Wiera znowu poczuła ukłucie w sercu.

– Mój Boże, mój Boże... – Tomasz Herman usiadł.

„Śmierć spowszedniała, zbrodnia jeszcze nie”, pomyślała Wiera.

Tak, był przystojny, zadbany, pewnie wykształcony i przy kasie. Zresztą to ostatnie było konieczne, żeby tu przyjechać, choć niekoniecznie musiało znaleźć odzwierciedlenie w wyglądzie, i nie u każdego z gości znajdowało.

– Przedstawialiście się państwo, ale teraz zbieramy informacje raz jeszcze. W innych warunkach. – Kosoń siedział naprzeciwko tego ładnego mężczyzny. Wyglądali jak z dwóch różnych światów: elegancja i pieniądze *versus* schludna abnegacja i brak pieniędzy. Może Kosoń zdawał sobie sprawę z tego braku symetrii i dlatego był uprzedzająco miły, a może czerpał z tego jakąś ożywczą przyjemność.

– Marcin Zieliński, czterdzieści lat. – Mężczyzna miał lekko zgięte plecy i był pochylony w stronę stołu. Co chwilę splatał i rozplatał dłonie.

– Jest pan z...? – Kosoń, dla odmiany, wygodnie się rozparł. Nogi miał wyciągnięte, plecy dociśnięte do oparcia. Wiera siedziała u szczytu stołu, mając ich po swoich obu stronach.

– Z Krakowa.

– To daleko, panie Marcinie – zauważył Kosoń.

– Ludzie jeżdżą i w dalsze trasy. To chyba nie jest karalne? – Zieliński patrzył to na Wierę, to na Kosonia. Nie potrafił ukryć zdenerwowania.

– Nie, oczywiście, że nie. Tak się po prostu zastanawiam, co tu pana przywiodło – daleko od domu, w głąszę, nie najtaniej...

– Bycie majątnym też nie jest karalne. – Zieliński jakby nagle się w sobie zebrał. Wyprostował się, odchrząknął i dodał: – Skończyłem Akademię Rolniczą w Krakowie. Mam prężnie działającą firmę produkującą zdrową żywność. Ekosmak, pewnie państwo widzieliście nasze produkty, jesteśmy w całej Polsce.

Kosoń zaprzeczył ruchem głowy, co wypadło naturalnie, ponieważ nie wyglądał na fana zdrowego, ekologicznego jedzenia.

– Tak, chyba tak – powiedziała Wiera.

Niepotrzebnie wstawiła to „chyba”, bo kojarzyła nazwę. Raz nawet kupiła jakiś batonik i był całkiem smaczny, a pewnie i zdrowy, ale w cenie dużej zapiekanki, więc rachunek ekonomiczny słaby.

– Prowadzę firmę, wciąż mam kontakt z ludźmi, presja jest duża, zmęczenie też. Potrzebowałem odpoczynku, a te tereny są takie piękne.

– Bywał pan już tutaj? – Kosoń przyglądał mu się tak otwarcie, że nieustannie go peszył.

– Tutaj? W Szańcu? Nie, na Mazurach, kiedyś, dawno temu, jako dziecko.

– To rzeczywiście dawno temu. I od tego czasu nie odwiedzał pan naszego pięknego regionu? W sezonie wydaje mi się, że zjeżdża do nas cała Polska.

Zieliński drgnął i uciekł wzrokiem.

– Nie, wolę góry – odpowiedział niepewnie.

Wiera zauważyła, że już któryś raz podczas rozmowy Zieliński pociera lewy nadgarstek, więc zapytała:

– Boli pana ręka?

– Co? – Zieliński wydawał się rozkojarzony. – A – zorientował się, o co chodzi.

– Nie, to taki odruch. To znaczy tu mi się wyrobił. Bo tu nie noszę zegarka, a właściwie nigdy go nie zdejmuję. To jak ból fantomowy.

– A dlaczego pan nie ma zegarka? Zgubił się? Ktoś ukradł? – dociekała Wiera.

– Nie, no jak ukradł, nie wolno nosić, taki punkt w regulaminie. Mało nie kosztował, fakt, ale jak ktoś ma tyle kasy, żeby tu przyjechać, to raczej nie kradnie.

– Zieliński się obruszył. Była w tym oburzeniu nuta wyższości.

Wiera poczuła irytację.

– Raczej... A morduje? – zapytała uprzejmie.

Zieliński spojrzał na nią zdumiony, jakby dopiero co się dowiedział, że Hryciuk nie żyje i że nie umarł naturalnie.

– Ale to... to... Chodziło mi o proste przełożenie, że jak ktoś ma pieniądze, to nie zabiera innym ich rzeczy. Nie musi, bo go stać. Tylko tyle. Ale morderstwo? Czy pani sugeruje, że ja... – mówił coraz szybciej. – Jak możecie?

Zieliński nie wytrzymał. Poderwał się z krzesła, zrobił krok w stronę Kosonia, zawahał się, jakby nie wiedząc, co robić. Oparł się dłońmi o blat i spojrzał na Wierę:

– O co wam chodzi? To jest po prostu robienie z człowieka wariata. Ja nie po to tu przyjechałem, żeby... żeby mnie dręczono. Potrzebuję odpoczynku. Odpoczynku! – wyskandował. – Rozumiecie? – dodał już trochę ciszej.

Pochylił się, pokiwał głową, potem się wyprostował i spojrzał na nich, ale już nic nie mówił.

– Panie Marcinie – zaczął łagodnie Koson – Proszę się uspokoić, usiąść. Sierżant Jezierska nie miała na myśli nic złego. A, właśnie, *à propos* dobra i zła – pan jest wierzący?

„Po co mu to pytanie?”, zdziwiła się Wiera. „Zresztą chyba nieregulaminowe”.

Zieliński jakby wrócił z podróży międzygalaktycznej. Ocknął się, wyraz twarzy mu się zmienił. Odpowiedział jednak.

– Rodzice są wierzący, ochrztili mnie, chodziłem na religię, jak większość Polaków.

– Bardzo dobra definicja większości Polaków. – Kosoń znowu się uśmiechał. – Jest pan samotny, ma pan rodzinę?

– Mam rodziców, nie jestem samotny.

– A jakaś partnerka? – Kosoń uprzejmie drążył.

– Neeee... Nie.

– A może partner? – Uprzejmość Kosonia się wzmogła.

Ale bez efektu.

– Ja sobie wypraszam! – Zieliński znów się poderwał. – Co to ma być? Te pytania o wiarę, o Kościół, o mordowanie i teraz jeszcze to na dodatek! Policja może wchodzić obywatelom do łóżek? Jeśli już nie macie żadnych poważnych pytań, to rozumiem, że ta rozmowa jest skończona.

– Sierżant Jezierska?... – Kosoń spojrzał na Wierę. Wydawało się, że wybuch Zielińskiego nie zrobił na nim specjalnego wrażenia.

Wiera pomyślała, że żadna kasa nie jest w stanie zamaskować niepewności siebie czy kompleksów.

– Kiedy dowiedział się pan o śmierci Daniela Hryciuka, powiedział pan – spojrzała do notesu – „Nie o taki efekt mi chodziło. To znaczy nie tak miały wyglądać te ekstremalne wakacje”. Jaki efekt miał pan na myśli?

Tym razem też było widać, że Zieliński przeżywa pytanie, ale w inny sposób.

– Tak powiedziałem? Nie wiem, nie pamiętam.

– Tak, zapisałam. – Wiera postukała palcem w notes.

– Może... Może źle się wyraziłem, to był jednak szok, że jeden z gości umarł. Chodziło mi po prostu o to, że chciałem doświadczyć czegoś nowego, innego, taki

odpowiednik skoku na bungee czy innych sportów ekstremalnych, których nie lubię, jakiejś odmiany szukałem. Ale nie takiej, no po prostu nie takiej.

– Co mógłby nam pan powiedzieć o Danielu Hryciuku?

– O nim? Nic, przecież go nie znałem. Nikt go nie znał.

– Ale po kilku dniach intensywnego bycia razem coś się chyba da powiedzieć o drugim człowieku?...

– Zwyczajny był. Zwyczajnie miły, kulturalny. – Zieliński wzruszył ramionami.

– A, to jeszcze ja dołączę, bo o tym nie mówiliśmy – skąd się pan dowiedział o wakacjach w Szańcu? – zapytał Kosoń.

– Z Internetu – odpowiedział Zieliński.

– Aha, no tak, teraz cały świat jest w Internecie. I ostatnie pytanie: co pan robił dwa dni temu, a dokładniej od kolacji w noc poprzedzającą śmierć Hryciuka do rana następnego dnia?

– Nic szczególnego. A, zaraz. Po kolacji mieliśmy jeszcze jedno spotkanie. Maciek przyniósł kwestionariusze do wypełnienia.

– Jakie? Bo jedne podobno goście wypełniali podczas meldowania się – powiedziała Wiera.

– Nie, tamte to takie czysto informacyjne, adresy, wiek, choroby, nuda. Te były elementem jakiegoś zadania. Sami się ocenialiśmy, a potem mieliśmy się oceniać nawzajem i porównać odpowiedzi.

– Ciekawe. – Kosoń kiwnął głową. – Dziękujemy, na razie to tyle. Niech pan zaprosi panią Magdalенę.

– Co myślisz? – Kosoń spojrzał na Wierę, gdy za Zielińskim zamknęły się drzwi.

– Czy ja wiem?... – Wiera nie była pewna swoich odczuć. – On ma jakiś problem. Taki jest nerwowy. To znaczy pilnuje się, do czasu, a potem wybucha. Kasę ma, firmę ma, a szczęśliwy nie jest. Chyba.

– Chyba nie – zgodził się Kosoń.

– Nieszczęśliwi może i mordują częściej niż szczęśliwi, ale jego nastrój sprawy nie przesądza. Szef myśli, że to w związku z tą samotnością on jest taki przetrącony? – zapytała Wiera.

– Myślę, że on wie, z kim by chciał spędzać życie, ale to ukrywa. Przed innymi na pewno, przed sobą może jeszcze też.

– Ale... Tak? On mi nie wygląda. Nie tak bardzo znaczy. To już prędzej ci dwaj. Może – zawahała się.

– A tu bym nie powiedział...

Usłyszeli pukanie.

– Proszę – powiedział Kosoń.

Kobieta weszła, delikatnie kołysząc biodrami.

„Szpilki to dla niej codzienność”, pomyślała Wiera. Zresztą nie tylko to: ładna opalenizna, nie za mocna, ten karmel długo i naturalnie się utrwał. Blondynka, na pewno farbowana, ale z pewnością w świetnym salonie, żadna drogeryjna farba i worek foliowy w domowej łazience. Ubrania też miała drogie. „Jak to widać”, pomyślała Wiera z pewnym żalem. „Niby żadnych krzykliwych metek, logo, ale splot materiału inny, miękkość wyczuwalna na odległość, szwy staranne, krój profesjonalny...” Bizuteria już bez żadnych wątpliwości biła w oczy złotym blaskiem.

– Proszę usiąść. – Wiera wskazała na krzesło zwolnione przez Zielińskiego. – Pani Magdalena...?

– Farnese. Czyta się Farneze, pisze się przez s: Farnese.

– To nazwisko?... – zapytała Wiera.

– Po mężu.

– No tak, ale mi chodziło o pochodzenie.

– Męża?

– Nazwiska. Czyli męża też.

Wierze dziwnie się z tą kobietą rozmawiało. Nie była niemiła, raczej zdystansowana. „Nie utrudniać, ale i nie ułatwiać. Jak Anka”.

– Włoskie. Do ojczyzny wróciłam, ale nazwisko zostawiłam.

– Nazwisko pani zostawiła, a męża?... – Wiera spojrzała pytająco. Po wybuchu Zielińskiego wolała sama nie dopowiadać wariantów.

– Pochowałam. Nie żyje – zdziwiła się Farnese.

– Mogłaby być pani rozwiedziona – zauważyła Wiera.

– Ach, no tak, słusznie, przepraszam. Do głowy mi nie przyszedł ten wariant. – Uśmiechnęła się – po raz pierwszy i chyba szczerze.

– Czyli byliście państwo szczęśliwym małżeństwem. – Kosoń włączył się do rozmowy.

– I takie się zdarzają, panie komisarzu. – On też został obdarzony uśmiechem.

– Wiem.

„I tak powinny wyglądać sztuki w teatrze”, pomyślała Wiera, przypominając sobie Supraśl. „Tu też nie wszystko jest jak na tacy podane, ale wiadomo, o co chodzi. I emocje są”.

W tym „wiem” Kosonia była siłą miłości do zmarłej żony. A Magdalena Farnese kokietowała komisarza. Subtelnie, z wdziękiem, ale ewidentnie. „Ja bym tak nie potrafiła”.

– Przyjechała tu pani bezpośrednio z Włoch? – Wiera oderwała się od tych rozważań.

– Nie, z Gdańska. Wcześniej mieszkałam w Rimini. Mieliśmy razem z Franco duży dom. Sprzedałam go, teraz mam niewielkie mieszkanie we Włoszech, ale moje stałe miejsce jest w Polsce. W pewnym wieku człowieka ciągnie do kraju, do wczesnych lat.

– A co ciągnie do takich miejsc jak Szaniec?

– Trochę kaprys bogatej kobiety, która wiele już widziała, a tego akurat nie.

– A co pani widziała, w ramach tego wiele? – Teraz pytał Kosoń.

– Nie pochodzę z bogatej rodziny. Ani z dużego miasta. Droga do Rimini była długa. I czasami wyboista.

W Farnese, mimo spokoju i zewnętrznych oznak dobrobytu, było jednak coś smutnego, może raczej: nostalgicznego.

– Pani jest wierząca? – Tym razem to Wiera zadała osobiste pytanie. I tym razem nie napotkali oporu.

– Odpowiem tak: nie jestem niewierząca.

– Czy zauważyła pani jakieś dziwne zachowania u księdza Hryciuka? Coś, co by wskazywało, że czegoś się boi na przykład?

– Nie.

– A jaki on był?

– Trudno powiedzieć. Czasami całego życia nie wystarczy, żeby kogoś dobrze poznać.

„Ją znam od kilku godzin, a już wiem, że nie lubi niczego nikomu ułatwiać”, pomyślała Wiera.

– Co pani robiła tego wieczoru i tej nocy, gdy zginął ksiądz Hryciuk?

– Nic szczególnego. Trochę poczytałam...

– Co pani czyta? – zainteresował się Kosoń.

– Wspomnienia z Auschwitz, wstrząsająca lektura. Ale i niosąca otuchę. A jeśli pytanie dotyczyło tego, czy wychodziłam z pokoju w nocy i zabiłam księdza Hryciuka, to odpowiedź brzmi: nie.

– Pan Zieliński wspominał, że tego wieczoru wypełnialiście państwo jakieś kwestionariusze?... – Wiera znowu przejęła przesłuchanie.

– Tak, pytania do nas samych o nas samych. Potem się mieliśmy oceniać w grupie i sprawdzić, jak nas widzą inni. To nawet było zabawne.

– Nie wydaje się pani zbyt zdziwiona śmiercią księdza Hryciuka.

– W pewnym wieku każda noc może być ostatnia, tak sobie pomyślałam, gdy przysłała wiadomość o jego śmierci.

– Ale to był wariant śmierci naturalnej. A teraz co pani myśli?

Magdalena Farnese przez chwilę się zastanawiała.

– Właściwie to samo.

– Przedziwna kobieta. Miła i jakby niemiła. Wrażliwa i jakby niewrażliwa. – Wiera miała mieszane uczucia po rozmowie z Farnese.

– Opanowana. Co niczego nie przesądza, tak jak brak opanowania u Zielińskiego. Ludzie... O, już panowie jesteście. – Kosoń podniósł głowę znad swojego notesu. – Ale dlaczego w parze?

– No, Magda powiedziała: „kolejny stolik”, a my wtedy, kiedy pan przyszedł pierwszy raz, siedzieliśmy razem, to...

– W sumie... – Kosoń się zawahał, ale tylko przez chwilę. – To najpierw pan Madej. Krzysztof Madej, tak?

Ten trochę wyższy i trochę szczuplejszy kiwnął głową.

– Tak, Krzysztof Madej. Obaj jesteśmy z Poznania, pracujemy z Łukaszem w tej samej firmie IT.

– Widzę, że jesteście panowie życzliwi? – bardziej stwierdził, niż zapytał Kosoń.

– Ale nie tak, jak pan myśli. – Madej się roześmiał. – Łukasz...

– Czasem sam bym chciał wiedzieć, co dokładnie myślę, prawda, pani sierżant?

– Kosoń spojrzał na Wierę.

Pokiwała głową.

– Nie, no to znaczy ja nie... po prostu wydawało mi się, że pan zasugerował...

– Madej się pogubił.

– Na razie nie sugerujemy, choć fakt: myślimy. Czyli panowie Krzysztof Madej i Łukasz Wolny. – Kosoń spojrzał na drugiego mężczyznę. Obaj byli w pewien sposób podobni: w dzinsach, T-shirtach, adidasach tej samej firmy. Podobnie obcięci, pachnący podobnymi wodami kolońskimi. Obaj byli z tej samej półki społecznej.

– Tak, Łukasz Wolny – potwierdził kompan Madeja. – Przyjaźnimy się od liceum, potem razem byliśmy na politechnice, a teraz, od czterech lat, razem pracujemy. Przyjechaliśmy tu na taki, powiedzmy, wieczór kawalerski, bo ja się we wrześnie żenię.

– Wieczór kawalerski? – zdziwiła się Wiera. – To się przedłużyło.

– Trochę. To był pomysł Krzyśka, bo ja, on zresztą też, interesuje się historią, w szczególności drugą wojną światową. Najpierw go zaintrygowała nazwa hotelu, potem zobaczył, że to ma związek z Wilczym Szańcem, no i już nie musiał mnie namawiać. To miejsce jest bardzo ciekawe, a niedostępne w inny sposób.

– A cena? – Wiera nie byłaby sobą, gdyby nie zapytała. Czy naprawdę tylko w niej się kotłowało zdziwienie pomieszane z oburzeniem?

– Trochę dużo. Ale gdyby pani wiedziała, ile kosztuje suknia ślubna, fotograf, filmowiec i inne pierdoły... – Madej włączył się do rozmowy.

„Przynajmniej jest coś, na co mnie stać. Na samotność”, pomyślała Wiera.

– I jak, pobyt spełnił panów oczekiwania? – zainteresował się Kosoń.

– Tak, super! – ucieszył się Madej. – Był wykrywacz metalu i zasuwanie po okolicznych terenach, były stare mapy, był orienteling. Nawet te testy psychologiczne czy jakieś inne zadania na psychikę też były okej. Oczywiście śmierć Daniela to wszystko popsuła.

– Oczywiście – zgodził się Kosoń. – Panu także się podobało? – Spojrzał na Wolnego.

– Tak, to, o czym mówił Krzysiek, było fajne. Może za dużo takiej otoczki, robienia klimatu, te wszystkie tajemnice, pojedyncze pokoje, znamy tylko imiona... To znaczy akurat nie my, tylko inni. Ale pomysł w porządku. Tylko ta śmierć... Nie wierzę w przesady, jestem informatykiem, ale śmierć tak przed ślubem... Pomyślałem, że Kasi, to znaczy mojej narzeczonej, nie powiem. Bo ona akurat jest wrażliwa na takie sprawy. Rozumiem, że to nie wyjdzie poza to miejsce?

– Nie wiem, co wyjdzie poza to miejsce, ale na razie nie ma potrzeby, żeby informować pańską narzeczoną. Czy Daniel Hryciuk zachowywał się zwyczajnie?

– Tak, chyba tak. – Wolny obejrzał się na Madeja. – W każdym razie nie robił niczego, co można by uznać za nietypowe czy dziwne. Niczego spektakularnego.

– A coś niespektakularnie dziwnego?

Wolny poprawił się na krześle.

– Też nie, jakoś tak mi się powiedziało. Zachowywał się jak inni. Był miły, uprzejmy, może trochę spokojniejszy, ale młody przecież nie był.

Kosoń pokiwał głową.

– Ostatnie, na razie, pytanie: co robiliście panowie tego wieczoru i nocy, gdy ktoś zabił Daniela Hryciuka?

Wiera zauważyła, że Wolny się wzdrygnął. Był chyba delikatniejszy od swojego kumpla.

– Nic specjalnego. Po kolacji, a nie, przepraszam, jeszcze były te ankiety z pytaniami do samooceny, więc po nich poszedłem do pokoju. Coś poprzeglądałem, mam ze sobą książki historyczne, o Szańcu, to znaczy o Wilczym Szańcu, i poszedłem spać.

– Ja tak samo, z wyjątkiem książek. Ja mam komiksy. Dla dorosłych. – Madej złapał spojrzenie Wiery. – I też do rana nie wychodziłem.

– Pan Łukasz nie powiedział, że nie wychodził do rana, tylko że poszedł spać – zauważyła Wiera.

– Nie, no nie wychodziłem, po prostu uznałem, że to oczywiste, że poszedłem spać i... i nie wychodziłem – zaprzeczył szybko Wolny.

– Niby tak, a jednak nie, bo ktoś musiał tej nocy wyjść od siebie z pokoju. I może wcześniej spał – powiedział Kosoń. – Choć nie sugeruję, że to któryś z panów. A, przepraszam, jeszcze jedno – ślub będzie kościelny?

– Tak – odpowiedział błyskawicznie Wolny. – Kasia jest wierząca, to znaczy oboje jesteśmy. Krzysiek będzie świadkiem, bo też jest wierzący, może trochę... – zawahał się i jakby skrępował – ...mniej.

– Mniej – przytaknął Madej, niedotknięty tym wyznaniem. – Średnia krajowa, tak bym to określił.

– Ta to nie jest średnia krajowa – powiedziała Wiera, gdy Madej i Wolny wyszli, a oni czekali na chudą Julię. – Oni się wydają w porządku. To znaczy nie odstają od normy. A, zapisałam, żeby te ankiety od Kowala wziąć. Wszyscy o nich mówią, może tam będzie coś, co nas naprowadzi na jakiś trop. Bo na razie to niewiele mamy, znaczy nic ewidentnego.

Kosoń kiwnął głową.

– Nie wszystkie morderstwa mają konstrukcję cepa. To wydaje się subtelniejsze, ale nawet tu można już co nieco wyłuskać.

Wierze przypomniało się łuskanie grochu w dzieciństwie. Żmudne, nudne, palce od tego bolały. Robiły to z Anką, bo matka im kazała. „Nie możemy zawieść mamy”, powtarzała jej młodsza siostra, mocząc dłonie w zimnej wodzie. Już wtedy Wierze wydawało się, że znajduje w tym jakąś pokrętną przyjemność. Znój i umartwianie się; no i tak jej zostało. Kiedy Wiera, już w dorosłym życiu, z lenistwa i na przekór, ugotowała młody groszek bez łuskania, okazało się, że strąki same pękają. Popłakała się wtedy nad tym garnkiem, a potem ze złością wywaliła jego zawartość przez okno. Od tamtej pory nie tknęła groszku.

– A co do norm, to przecież wiesz, że bywają różne. To, co teraz zobaczymy, nie powinno w nas wzbudzać natychmiastowych uprzedzeń. – Widać chuda Julia także na Kosoniu zrobiła wrażenie.

– Jasne – przytaknęła Wiera. – Na przykład chudzielec wydawał się taki energiczny, a teraz jakoś nie może do nas dojść.

Kosoń poruszył się na krześle, jakby chciał się podnieść.

I wtedy usłyszeli pukanie.

Drzwi się otworzyły.

Zamiast Julii stał w nich jednak Maciej Kowal.

Zrobił kilka kroków i zatrzymał się, niepewnie się rozglądając.

– Nie ma go tu?

– Kogo? – zdziwił się Kosoń.

– No Marcina. Marcina Zielińskiego znaczy.

– Był. Jako pierwszy – wyjaśnił Kosoń jak dziecku.

– Był – zgodził się Kowal. – Ale przecież poszedł drugi raz. Po Łukaszu i Krzyśku. Tak było umówione.

– Z kim było umówione? – Kosoń machinalnie dotknął kieszeni, w której trzymał papierosy.

– No z wami. Znaczy z panem i z panią sierżant. – Teraz to Kowal był zdumiony. – Że po nich, na moment. A moment minął, Julia się wkur... znaczy się denerwuje, to przyszedłem zapytać. – Znowu się bezradnie rozejrzał. – Ale jego tu nie ma – dokończył.

„Szkoda”, pomyślała Wiera. To było pierwsze, co przyszło jej do głowy. Szkoda, bo poczuła do tego faceta coś w rodzaju sympatii czy raczej rozumiejącego współczucia. I szkoda, bo sprawa się rozwiązała, nim się zaczęła.

– Czyli może jednak cep – zadumał się Kosoń.

ROZDZIAŁ 15

– SzeF myśli, że oni mu uwierzą? – Wiera powątpiewająco spojrzała na Kosonia.

– Trudno powiedzieć – westchnął Kosoń. – Kowal ma niezbyt złożoną naturę, ale sporą dozę naturalnego cwaniactwa. Może ich przekonać.

Po wymianie zdań z Wierą i telefonie na komendę z prośbą o wsparcie Kosoń poprosił Kowala, żeby wrócił do sali i przekazał pozostałym gościom, że Zieliński poszedł do swojego pokoju, bo źle się poczuł.

– A czy jest sens, żeby ich teraz przesłuchiwać, skoro Zieliński zwiął? SzeF sam powiedział, że wychodzi na to, że jednak cep.

– Że może jednak cep – uściślił Kosoń. – Pierwsza myśl jest taka, że zwiął, bo jest winny. A może z jakiegoś innego powodu go poniosło? A może to był współdział? A może coś jeszcze innego, na przykład podpucha, by odwrócić uwagę od kogoś innego? Zanim pójdziesz za pierwszym najszybszym odruchem, na chwilę się zatrzymaj.

„Przez całe życie się zatrzymywałam”, pomyślała Wiera.

– Do tej pory nie był oficjalnie podejrzany. Patrol jest w drodze, może go gdzieś wyhaczyć. Auta nie zabrał, daleko nie mógł zwiąć. Złapać zawsze go zdążymy. Trzeba się uzbroić w cierpliwość.

– Cierpliwość to robienie niczego. – Wiera wzruszyła ramionami.

– Pozornie. Może tak wygląda, ale jakiego wydatku energii wymaga, prawda? – Kosoń znacząco spuścił wzrok na dół.

„Prawda”. Wiera przestała rytmicznie stukać piętą.

– No dobra, to co teraz będzie? – Julia patrzyła na nich na poły z zaciekawieniem, a na poły z impertynencją.

– A o co pani pyta? – zagadnął uprzejmie Kosoń.

– No jak o co? Czego ode mnie oczekujecie?

– Zadamy kilka pytań. My pani – oznajmiła Wiera. Ona też była w połowie zafascynowana tą kobietą i zirytowana, że traktuje się ją z góry.

– No to proszę – powiedziała Julia, a potem energicznie zaczęła żuć gumę.

– Julia Rylska. Czym się pani zajmuje? – Wiera nachyliła się nad notesem. Nie musiała niczego sprawdzać, musiała za to trzymać nerwy na wodzy. Tak, cierpliwość całkowicie wyzuwała człowieka z sił.

– Jestem dziennikarką, z Warszawy.

„Bingo, wyczułaś ją”, pomyślała Wiera.

– Przyjechałam tu na research. Piszę artykuł o ekstremalnych wakacjach. Trudno coś nowego wyczuć. Klasyczne surwiwale, noce przetrwania w buszu, jedzenie owadów, wakacje w stylu PRL – wszystko już się oklepało, szukałam czegoś świeżego. Nawet nie było tak tragicznie, do czasu. Choć w sumie – mówię to z pozycji zawodowej – morderstwo nie robi tekstowi źle.

– Zdecydowanie byśmy woleli, żeby o tym nie pisać – powiedział Kosoń twardo.

– Jest wolność słowa. – Rylska zaczęła energiczniej żuć gumę.

– W granicach prawa. Na przeszkadzanie w śledztwie są paragrafy.

– To groźba? – Szczęki przyspieszyły.

Rylska była chuda także na twarzy, więc Wiera miała wrażenie, że kości żuchwy zaraz przebiją jej skórę.

– Nie, to porada prawna. – Kosoń powiedział to już zwyczajowym tonem, ale wciąż był lekko napięty. – Czy zauważyła pani coś dziwnego w zachowaniu

Daniela Hryciuka?

– Nie. Ale żeby była jasność – faceci w wieku okołotrumiennym nie przyciągają mojej uwagi.

– Co pani robiła tego wieczoru, w nocy, aż do rana, gdy Daniel Hryciuk nie zszedł na śniadanie?

– A co tu można robić? Przejrzałam swoje notatki, coś dopisałam, coś skreśliłam, obrobiłam kawałek tekstu. Żadnego telefonu ani tabletu, nie wiadomo, co się na świecie dzieje. Nocna nuda.

– Można czytać... – podsunęła Wiera.

– Na czytanie jestem za energiczna.

Kosoń uśmiechnął się pod nosem.

– A na Kościół też jest pani za energiczna? – Wciąż się uśmiechał.

Rylska prychnęła.

– Na Kościół to jestem za mądra. Zresztą pan glina też na głupiego nie wygląda, po pytaniach oceniając.

– Dobrze, to tyle, na razie. – Kosoń w żaden sposób tego nie skomentował. – Niech pani poprosi panią... – komisarz patrzył w notes – ...Agatę.

Julia zrobiła duży balon. Już w drzwiach się odwróciła i zapytała:

– A Marcinkowi co dolega? – I nie czekając na ich odpowiedź, wyszła z pokoju.

– Jezu, jaka ona jest skrecona. – Wiera patrzyła w zamknięte odrobinę za głośno drzwi.

– Skrety to ona chyba pali, co na bystrość jej nie szkodzi... Zobaczymy, co chłopcy znajdą, ale założyłbym się o dużo, że coś bierze. Ja bym też zapalił. Jeszcze ta dwójka i się przewietrzmy. To znaczy ty, a ja się potruję.

– To jest okropna sytuacja. Zupełnie niespodziewana. – Dziewczyna wyglądała, jakby nie spała od dwóch nocy.

– Pani Agata Dereń – zaczął Kosoń łagodnie, jak do dziecka. I rzeczywiście, Dereń bez makijażu emo wyglądała bardzo młodo.

– Tak.

– Z...?

– Z Łodzi. Jeszcze teraz w Łodzi mieszkam, od października zaczynam studia w Warszawie. Medycyna. Ten wyjazd to był prezent od taty, właśnie za zdane egzaminy. Miało być tak fajnie. – Głos się jej załamał.

Wiera milczała, Kosoń także.

– A dlaczego właśnie tu?

– Tata znalazł, gdzieś w necie. Był zafascynowany, że coś innego, że fajny pomysł, ładne tereny. „Oderwij się, odpocznij, zaszalej”, tak powiedział. Mnie też się spodobało.

– Pamięta pani, co pani robiła tego wieczoru i nocy, gdy... – Wiera się zawahała – ...gdy to się stało?

„To się stało. Jak nastolatka o ciąży gadam”.

– Po kolacji mieliśmy jeszcze testy do wypełnienia. Takie pytania, jak się oceniamy. Potem, pewnie około dziewiątej, rozeszliśmy się do swoich pokoi. Ja sobie popisałam trochę...

– A co pani pisała? – zapytał Kosoń.

Dereń się nachyliła nad stołem i poprawiła pierścionek na palcu. Kiedy podniosła głowę, miała zaróżowione policzki.

– Nic. To znaczy takie zapiski. Osobiste.

– I od tego powrotu po ankietach aż do rana nie wychodziła pani z pokoju? – zapytała Wiera.

– Nie. To znaczy tak. To znaczy wyszłam. Na chwilę.

Wiera się spięła, kątem oka zauważyła, że Kosoń też.

– Po co? – Odchrząknęła.

– Zobaczyłam, że nie mam pierścionka na palcu. – Wyciągnęła w ich stronę szczupłą dłoń. Na środkowym palcu widniał pierścionek – złoty, z jakimś

kamieniem, może cyrkonią, a może brylantem, choć raczej to drugie, okazały.

„Zupełnie nie pasuje do tej dziewczyny”, pomyślała Wiera.

– Kiedy poszłam myć zęby i wzięłam szczoteczkę do ręki, to się zorientowałam, że go nie mam. Od razu przeszukałam łazienkę, pokój – ale nic. I wtedy mi się przypomniało, że gdy szłam do siebie po tym wieczornym spotkaniu, to kiedy wyciągałam kartę z kieszeni, usłyszałam delikatny odgłos, taki metaliczny. To znaczy wtedy musiałam to słyszeć, ale jakoś nie zarejestrowałam, bo myślałam o ankietach. Dopiero potem, gdy się zastanawiałam, gdzie pierścionek mógł mi spaść z palca, to ten dźwięk mi się przypomniał.

– A gdzie pani spadł? – zapytał Kosoń.

– Na korytarzu, tak mniej więcej w połowie długości.

– Pani ma pokój numer dziewięć... – Kosoń patrzył w notes.

– Tak. To było przy szóstce. Tak właściwie między siódmką a szóstką.

– O której to było?

– Nie pamiętam dobrze, ale chyba trochę po jedenastej.

– Czy poza panią na korytarzu był ktoś inny?

– Nie, tylko ja.

– I potem wróciła pani do pokoju?

– Tak. Włożyłam pierścionek na palec i wróciłam. Umyłam się, położyłam spać i zasnęłam.

– Ten pierścionek jest chyba trochę za duży – zauważył Kosoń, patrząc na szczupłe dłonie dziewczyny. – Może lepiej by go było zmniejszyć? Może się znowu zgubić.

– Nie, jest okej. To znaczy daję radę. – Dereń pokręciła pierścionkiem na palcu.

– Jak pani ocenia zachowanie Hryciuka? Był zdenerwowany, zaniepokojony? – zapytała Wiera.

„Kogo ja pytam?”, pomyślała. Dereń była kłębkim nerwów.

– Nie, zupełnie nie. Miły, spokojny starszy pan. To wszystko, mogę już iść? – Dziewczyna znowu kręciła pierścionek na palcu.

– Prawie – odpowiedział Kosoń. – Jeszcze jedno pytanie, informacyjne – pani jest wierząca?

– Kiedyś. Teraz już nie. – Nie wydawała się zdziwiona tym pytaniem. – Mogę iść?

– Tak... – powiedział Kosoń. – I znowu jakby coś.

– Ona się wydaje szefowi podejrzana? Bardziej niż Zieliński? – Wiera wolała spytać, niż skomentować.

– Odnotowuję tylko, że to jak na razie jedyna osoba, która przyznała, że opuszczała swój pokój w czasie, gdy nasz denat umierał – odparł spokojnie Kosoń.

– Druga się nie przyznała, ale sama opuściła obiekt. Teraz. A po co ona miałaby się przyznawać, sama z siebie?

– A po co miałaby kłamać? Nie wie, że kamery to atrapy.

– A mnie się wydaje, że ten, kto zabił Hryciuka, dobrze wie, które kamery działają, a które nie. Ona nie wygląda na szczególnie lotną. – Wiera poczuła, że się nakręca.

– Na medycynę się dostała.

– O taką życiową lotność mi chodzi, nie o naukę.

– Mogę? – Usłyszeli lekko schrypnięty głos.

– Pan Tomasz. – Kosoń wykonał ręką gest zapraszający do zajęcia miejsca. – Tomasz Herman.

Mężczyzna usiadł i kiwnął głową.

– Przyjechał pan tu z...

– Z Płocka.

– A co pana zachęciło do wakacji w takim miejscu? – Kosoń kontynuował przesłuchanie, Wiera przetrawiała to, co do tej pory udało im się ustalić. „Jak w kiepskim kryminale, gdzie ci, co na logikę i doświadczenie powinni mieć coś za

uszami, są czyści. I na odwrót – ci, co nie pasują, sami się obciążają. Jak ta emo. Albo jakby ten Herman, na przykład. No i Zieliński”.

– Specjalnie się tutaj wybrałem.

„Kurwa, no nie wierzę”, Wiera aż się lekko podniosła z krzesła. „On też?” Przyszło jej do głowy, że musi uważać nie tylko na to, o czym marzy, lecz także na to, co myśli.

– A po co? – zapytał Kosoń.

– Bo ja jestem związany z tym terenem. Urodziłem się w Kandytach, przed wojną to się nazywało Kanditten, zresztą przed wojną to wszystko się tu inaczej nazywało. Rodzice mnie szybko odumarli, już w czterdziestym szóstym byłem sierotą, miałem wtedy rok. Trafiłem do sierocińca w Lidzbarku, tam byłem prawie dwa lata. Nie pamiętam tego, zresztą ja w ogóle nic nie pamiętam z tych wczesnych lat. Jakieś migawki może. W czterdziestym ósmym zabrała mnie ciotka, ale nie taka prawdziwa. To znaczy rodzina, ze strony mamy, ale dalsza. Mieszkałem z nią i jej mężem w Bonn, to byli dobrzy ludzie. Potem, gdy już byłem dorosły, przyjechałem do Polski. Wujostwo nie mogli zrozumieć, nikt nie mógł, a mnie coś tu ciągnęło. *Sehnsucht*, znaczy tęsknota. Bo ja nawet po polsku nie mówiłem. To był początek firm polonijnych, trafiła mi się praca w takiej. Osiadłem, nauczyłem się języka. I to, że tak mi łatwo szło, utwierdziło mnie w przekonaniu, że to mój dom, ten pierwszy.

– Długo pan mieszka w Polsce? – zapytał Kosoń.

– Na stałe to już będzie koło trzydziestu lat. Jeszcze jakiś czas tak jeździłem Polska–Niemcy, bo wujostwo się starzeli, a nie mieli dzieci, to znaczy swoich, takich biologicznych, tylko mnie. Jakoś to łączyłem. No a jak umarli, to już koniec, *Schluss*.

– No dobrze, ale co z tym powiązaniem z Szańcem? – zapytał Kosoń. – Kandyty to kawałek stąd, pod granicą.

– Właśnie. Bo ja się pewnych rzeczy dowiedziałem już po śmierci wujostwa, jak porządkowałem papiery. To wtedy znalazłem dokumenty z tego domu dziecka

w Lidzbarku. Wcześniej jakoś tak ciotka mówiła, jakby mnie zabrała zaraz po śmierci rodziców. Ja byłem tak mały, że nic nie pamiętałem.

– Okłamała pana? – zapytała Wiera.

– Nie wiem, czy bym tak powiedział. Przemilczała pewne fakty, to nie to samo. Może miała jakieś powody? Trudno teraz dojść. Na pewno było tak, jak mówiła, to znaczy, że szukała mnie w najbliższym od Kandyt domu dziecka, czyli w Górowie Ławeckim. Tam mnie nie było, nie wiadomo, dlaczego trafiłem do Lidzbarka. No ale to były takie czasy, że wszystko się mogło wydarzyć. Trochę się zbierałem w sobie, ale pojechałem do Lidzbarka. Nie było to łatwe psychicznie, a i też formalnie, bo kierowniczką placówki wciąż była czymś zajęta, zresztą, szczerze mówiąc, nie była również szczególnie miła, ale w końcu mi powiedziała, że w archiwum były jakieś dokumenty na mój temat, i dzięki temu poznałem swoją przeszłość, tę formalną.

– I czego się pan dowiedział? – zapytała Wiera. Z jednej strony wolałaby, żeby ten miły starszy pan nie miał zupełnie nic wspólnego z tymi stronami i z tą sprawą w ogóle, z drugiej – wciągnęła się. Lubiła takie historie rodzinne, w których jest jakaś tajemnica. Najlepiej taka, która pokazywała, że w życiowym grząskim bagnie bohaterów są jakieś jasne, suche wyspy.

– Ciotka mówiła: „rodzice umarli”. Było inaczej. To znaczy umarli, tak, czas też się zgadzał, ale ta kierowniczką sierocińca pokazała mi kopie dokumentów, z których wynikało, że ojciec zginął tragicznie, a matka odebrała sobie życie. Pomyślałem sobie, że ciotka nie chciała mówić, bo samobójstwo to grzech. No i może żebym nie myślał, że ja nie byłem tak ważny, skoro mimo tego, że mnie miała, mama się targnęła na swoje życie. Zresztą co tu dywagować, nigdy się nie dojdzie, co drugi człowiek ma w duszy...

– Wciąż nie rozumiem związków z Szańcem. – Kosoń nie włączał się do rozmowy, ale uważnie słuchał.

– Więc co się jeszcze okazało – zamiast adresu w Kandytach, gdzie się urodziłem i gdzie mieszkałem, to znaczy jak mi się wydawało, że gdzie

mieszkałem cały czas, w tych dokumentach, jako nasz adres rodzinny, było podane Karolewo. Budynek numer 7. Tyle tylko. Podczas poszukiwań w Internecie trafiłem na Szaniec. I okazało się, że to jest ten budynek numer siedem, z tego przedwojennego majątku, w którym kiedyś żyłem z rodzicami. I kiedy zobaczyłem, że teraz tu jest hotel, i tylko w taki sposób przyjmuje gości, na turnusach, to postanowiłem przyjechać. Takie godzenie się z losem i miejscem przed śmiercią.

Wiera pomyślała, że ona nigdy by nie przyjechała do Ornety na stare lata, żeby się z czymkolwiek godzić. „Chyba tylko po to, żeby mieć satysfakcję, że mentalnie i geograficznie zaszłam w życiu daleko stąd”.

– Wzruszająca historia – powiedział Kosoń, w żaden sposób nie przejawiając wzruszenia. – I jak się pan tutaj odnalazł?

Herman się zastanowił.

– Na samym początku było mi dziwnie, że to odnowione tak na współczesną modłę. Ale potem uznałem, że może nawet lepiej, bo gdyby to było prawdziwsze, gdyby tu było więcej śladów historii, tobym to mocniej przeżywał. Zresztą czas się nie ogląda na takich starców jak ja. *Das Rad der Zeit hält niemand auf.*

– Nie da. – Kiwnął głową Kosoń. Spojrzał na Wierę. – Czasu nie da się zatrzymać.

Znowu zrobiło się jej głupio. Jest rozkojarzona, kieruje się emocjami, w szkole olewała niemiecki. „Bo musiałam się zajmować Anką”, sama się usprawiedliwiła. „No, dawaj, poużalaj się znowu nad sobą”.

– Opuszczał pan swój pokój tej nocy, kiedy umarł Daniel Hryciuk? – zapytała.

– Nie. Właściwie nie.

– No to tak czy nie? – Była poirytowana. Nie Hermanem, choć nim też, że musiał się uwikłać w tę brudną historię, ale sobą. I była głodna.

– Bo wiecie państwo – Herman spoglądał to na nią, to na Kosonia – ja coś usłyszałem. Jakby ktoś był na korytarzu. Trochę mnie to zaniepokoiło, bo tu jest taka ogólna zasada, żeby być w swoich pokojach w czasie po ostatnim zadaniu aż

do śniadania. Albo też do zadania, jeśli się zdarzy przed śniadaniem. Więc po postu wyjrzałem na korytarz, kawałeczek się przeszedłem.

– I coś pan zobaczył?

– Nie. Ale może się za długo namyślałem, czy sprawdzać, i ten ktoś już poszedł. Jeśli rzeczywiście ktoś w ogóle był.

– O której to miało miejsce?

– Nie wiem, nie spojrzałem na zegarek. Bo my nie nosimy swoich, tylko w pokojach są, takie elektroniczne. Ale jak wyszedłem z toalety, a byłem tam chwilę, to do północy zostało jeszcze dwadzieścia minut.

– Pan mieszka w pokoju...?

– Czwartym. W czwórce.

– A sam Hryciuk – co mógłby pan o nim powiedzieć?

– Niewiele, no cóż można po takim niedługim czasie znajomości. Uprzejmy, zwyczajny. Widać było, że lubi życie.

– Bo?... Po czym to było widać? – Wiera zawiesiła głos.

– Po oczach. Głód życia, tak bym to powiedział. Choć nie, głód to złe słowo. *Augenweide* raczej, to widziałem w jego oczach.

Wiera popatrzyła pytająco na Kosonia. Pokręcił głową.

– Chodzi mi o to, że ksiądz Hryciuk lubił ładne rzeczy, ładne otoczenie. Estetyka była dla niego ważna. Takie zwykłe radości życia, tak bym to ujął.

– To ostatnie pytanie, wszystkich o to pytamy: pan jest wierzący? – Koson podniósł na niego wzrok znad notesu.

– Jestem. Trochę to pomieszane, bo najpierw byłem w protestanckiej rodzinie, z sierocińca wyszedłem jako katolik, u wujostwa znowu protestantyzm, a jak wróciłem do Polski, to różnie. Ale w Boga wierzę.

– Muszę coś zjeść. Zostawiłam w aucie bułkę. – Wiera poczuła, że żołądek przykleja się jej do pleców. Było jej mdło. Od siedzenia tutaj, od tych rozmów, od

różnych myśli.

– Ja muszę zapalić. Z papierosami się nie rozstaję. – Kosoń klepnął się po kieszeni wyświechtanych dzinsów.

Przeszli industrialnym korytarzem do wyjścia z budynku.

– Wreszcie jakiś naturalny, miły dla oka krajobraz – powiedział Kosoń, kiedy pchnął ciężkie, drewniane drzwi. – Przejdźmy dalej. – Nie mógł zejść ze stopni, bo na nich wciąż stała Wiera.

Nie odezwała się, więc podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

I zobaczył Marcina Zielińskiego.

ROZDZIAŁ 16

- Znalazł się pan. – Trudno było ocenić intonację wypowiedzi Kosonia.
Nie tylko Wiera miała z tym problem – Zieliński także.
Starając się opanować głos, powiedział:
 - Nie zgubiłem się.
 - Wydaliśmy jasną dyspozycję, żeby na czas przesłuchań nie opuszczali państwo jadalni. – Głos Kosonia stwardniał.
 - Dyspozycja to nie rozkaz. – Zieliński odpowiedział podobnym tonem. Gdzieś się ulotniły jego niepewność i zagubienie. – Nie jestem o nic podejrzany.
 - To się może szybko zmienić. Gdzie pan był?
 - Na spacerze.
 - Na spacerze – powtórzył Koson. – Na terenie ośrodka?
 - Zgodnie z regulaminem Szańca. Ten akurat jest jasny. – Zieliński był w zdecydowanie lepszej formie, jeśli szło o butę, choć Wiera zauważyła, że jest zdenerwowany.
 - Wyszedł pan na spacer bezpośrednio z jadalni, wcześniej kłamiąc Kowalowi, że wraca pan na przesłuchanie?
 - Kłamstwo dla dobra śledztwa. Nie chciałem, żeby morale grupy siadło. – Teraz Zieliński ewidentnie sobie kpił.
 - Przed opuszczeniem budynku był pan w którymś pomieszczeniu? U siebie w pokoju na przykład? – Koson pominął tę ironię.

– Nie, przecież tam byli technicy.

– Jasne – zgodził się Kosoń nadspodziewanie pogodnie. – Ale już ich nie ma. Zrobili swoje, może pan wrócić do siebie.

Zieliński przez chwilę stał, jakby niepewny. Chyba spodziewał się innego przebiegu rozmowy.

– Potrzebowałem się przejść – powiedział już bardziej ugodowym tonem. – W jadalni panowało duże napięcie. Trudno wytrzymać.

Ponieważ ani Wiera, ani Kosoń się nie odezwali, kiwnął głową i wszedł do budynku.

– I co myślisz? – Kosoń z lubością wydmuchiwał dym.

Teraz stali niedaleko wejścia do budynku, blisko ściany, gdzie było trochę cienia. Komisarz odwołał patrol, a Wiera grzebała w kajzerce, wybierając z niej miękisz. Bułka, choć kupiona rano, już zdążyła się zestarzeć, zapewne wyjściowo nie była najlepsza – środek się kruszył, takie mączne trociny. Skórka była sucha i twarda. Gdyby nie cola, trudno by ją było przełykać.

– Nie wiem. – Popiła kolejny kęs. – Gubię się – przyznała. – Oni wszyscy są trochę dziwni... Zresztą każdy, kto wybiera taki wyjazd, już z powodu tego faktu jest dziwny. A co szef myśli o Zielińskim? I o tych jego wagarach?

Kosoń wzruszył ramionami.

– Jeśli chciał coś ukryć czy wyrzucić, to miał dostatecznie dużo czasu wcześniej, więc raczej nie o to chodziło. Zresztą nie jest przecież głupi, wiedział, że to się wyda.

– No to po co taka pokazówka? – Wiera próbowała zrozumieć tego faceta.

– Jeśli pokazówka, to mogła być po to, żeby zmanifestować, że się z niczym nie kryje, więc nie jest winny. Albo że ma, jak to wy młodzi mówicie, wywalone na wszystko. Tyle że psychologicznie to do niego nie pasuje. Raczej bym stawiał na

jakieś odreagowanie, potrzebę pobycia w samotności, nie wiem. Wrócił w lepszej formie, może on też coś bierze?...

– Ale chyba trzeba przeszukać teren? – Wiera patrzyła teraz na rozciągające się przed nimi leśne ostępy.

– Trzeba. Do zimy może się chłopaki uporają. – Kosoń spojrzał na niekończącą się działkę.

Wiera, niezrażona obiektywnymi trudnościami, ciągnęła:

– Trzeba też zaraz pogadać z technikami, co znaleźli w ich pokojach, sprawdzić ślady w budynku, przepytac sprzątaczkę, one dużo wiedzą...

To, co do tej pory rozkładało ją na łopatki, czyli rozmycie głównego podejrzanego i ewentualna wielowątkowość śledztwa, teraz zmieniło się w skuteczną motywację.

– Ze złej strony zaczynasz. – Kosoń rozgniół niedopałek, a potem przyklepał go butem. – Nie myśl o nich, pomyśl o nim.

– O Hryciuku? – Cola w puszcze zaczynała się odgazowywać, tracąc swój najmocniejszy atut.

– Tak. – Kiwnął głową Kosoń. – W każdym człowieku znajdziesz coś dziwnego, a nie każdy dziwny jest mordercą.

– W Hryciuku też na pewno było coś dziwnego. A nie każdy dziwny zostaje zamordowany.

Kosoń się uśmiechnął. Tak, ta sprawa i jemu dobrze robiła.

– Gdyby podejść do tego naukowo, to statystyki mówią, że najczęściej mordują młodzi nieżonaci faceci. Kobiety zabijają ponad dziesięć razy rzadziej. Ofiara zwykle jest w wieku mordercy, a ponad połowa zabójstw, w przypadku których udało się ustalić motyw, była wynikiem nieporozumień rodzinnych.

W szkole różnie bywało z nauką, ale w Szczytnie Wiera się spięła. To miała być jej odskocznia, sposób na lepsze życie. Dzięki byciu policjantką – dobrą policjantką – chciała odmienić swój los. I trochę poprawić rzeczywistość. Uczyła się, teorię miała obcykaną. Praktyka, jak w całym jej życiu, nie nadążała.

– Trzy czwarte zabójstw jest wynikiem poczucia zagrożenia i lęku u sprawcy. Ludzie najczęściej mordują z powodu poczucia krzywdy, potem jest zemsta, powód rabunkowy i motyw seksualny. W ponad siedemdziesięciu pięciu procentach przypadków ofiara i morderca się znają.

– Tak... – Kosoń wyciągnął kolejnego papierosa. – I jak to przełożysz na nasz grajdołek?

– Wszyscy mówią, że nie znali wcześniej Hryciuka.

– Może trafił nam się przypadek z tej jednej czwartej puli, gdy spotkanie podczas zabójstwa jest dla obu stron pierwsze. I ostatnie zarazem. – Kosoń strzepnął ręką popiół, który spadł mu na koszulę. – W takim przypadku motyw byłby rabunkowy lub seksualny. A u nas schludna powściągliwość. To ładnie przeprowadzone morderstwo. I z podanym motywem, jak na tacy. Oczywiście, to mogłaby być zmyłka, ale tak czy owak, świadcząca o tym, że prawdopodobnie zabójca wiedział, że Hryciuk jest księdzem.

Do tej pory Wiera brała udział w dwóch sprawach, gdzie zginęli ludzie. Jedna to była popijawa, podczas której doszło do rękoczynów, a potem na scenie pojawił się nóż, a druga to uduszenie – zazdrosny i pijany facet zabił żonę. W porównaniu z tym Karolewo to był Wersal.

– Jeśli się znali, to statystyki mówią, że najczęściej ofiara i sprawca są spokrewnieni. Hryciuk nie ma żadnej rodziny, był księdzem...

Kosoń patrzył na nią zachęcająco.

– No chyba że jednak miał rodzinę, to znaczy związek z jakąś kobietą, może dziecko? Ale siedemdziesiąt lat, to chyba nic aktualnego, może jakaś sprawa z przeszłości?... – Poszła tym tropem.

– Mógłby też być w związku z mężczyzną. Miłość nie wybiera, a niespełniona może być gorsza niż najgorszy kataklizm. Wieku bym nie demonizował, choć rozumiem twoją perspektywę. – Kosoń zaczął sobie masować bark. – Wciąż boli, a jeszcze nie jestem emerytem.

– Z tych wszystkich danych to najbardziej pasuje Herman. Podobny wiek, facet, jeśli zemsta lub poczucie krzywdy, to wszystko starannie sobie zaplanował. No i jako jedyny podał, że przyjechał tu celowo. A, i był na korytarzu tej nocy – powiedziała Wiera.

– Tak, jeśli przyjmiemy, że to facet, to prawie połowa urlopowiczów może jechać do domu. Choć Herman tylko wyjrzał na korytarz, a nocne spacery skuteczniała studentka. – Teraz Kosoń bawił się pudełkiem zapalek, przesuwając jego dolną część, tak że co chwilę wysuwało się z prawej lub lewej strony tekturowej osłonki.

– No ale są osoby, które, teoretycznie, w ogóle nie pasują. Na przykład ta chuda dziennikarka... Chociaż – Wiera się zawahała – może chciała podkreślić temat? Może była pod wpływem narkotyków? Wygląda tak, że prawdopodobnie miała w swoim życiu z nimi do czynienia.

Kosoń nie zaprzeczył, ale i nie skomentował.

– A bogata pani Farnese? Po co ona miałyby go mordować? Stateczna wdowa, racjonalnie myśląca...

– Czy ja wiem? Zamieniłabyś słoneczną Italię na Polskę?

Wiera nie była pewna, czy Kosoń żartuje.

– Sentyment ją tu ciągnął. Chyba że coś innego. A może ona była kiedyś kochanką Hryciuka?... No dobra, a emo, znaczy studentka? Ona się wszystkiego boi.

– Lękowi są najbardziej nieobliczalni. – Kiwnął głową Kosoń. – Polityka wciąż to potwierdza.

– Para na długim wieczorze kawalerskim?

– Nie wiem, ale przyjechali razem. Pociąga ich Wilczy Szaniec. Sama mówiłaś o tych zastrzykach w serce... Kto wie, czym się inspirowała.

– Ekosmak jest znerwicowany. I mówił, że zna te tereny. No to wychodzi na to, że nikogo nie możemy z góry skreślić z listy podejrzanych. Jest jeszcze oczywiście Kowal, który porusza się tu najsprawniej. I... – Znowu wróciło do niej to jedno

zdanie: „Dziecinnie proste”. To też był powód, dobry jak każdy inny. – I sugestia pani prokurator – dokończyła.

Kosoń pokiwał głową, pomilczał, zamknął pudełko, podrzucił je do góry, a potem schował do kieszeni.

– Na końcu i tak dochodzimy do początku. Hryciuk. To on tu rozdał karty. Co takiego zrobił, że ktoś go zabił? „Do mnie należy pomsta, ja wymierzę zapłatę”. Waluta zapłaty już znana, teraz trzeba znaleźć powód pomsty.

ROZDZIAŁ 17

– Ludzie mówią.

Siedział nieporuszony. Biały muślinowy obrus, świeże kwiaty w wazonie, miękki dywan pod stopami. Krzesła wygodne – szerokie siedziska, wysokie oparcia z wyściełanymi zagłówkami. Mógłby tak żyć. Chciałby tak żyć. Przypomniały mu się wnętrza domu rodzinnego, ich mieszkania na parterze domu. Może nie było tak źle, matka opowiadała, że zanim się tam sprowadzili, mieszkali w drewnianej chałupie, więc powinien doceniać, co ma, ale wszystko było po kimś, używane, obce. No i ta wilgoć. Zawsze wilgoć, bez względu na porę roku. W gabinecie ordynariusza było sucho, ciepło i elegancko. On też nie miał źle na plebanii, ale to był inny świat, kilka oczek niżej. To zwyczajne życie parafialne miało swoje zalety, nie do przecenienia, ale miało też wady – no właśnie. „Ludzie mówią”.

Czuł się bezpieczny, bo do tej pory za każdym razem się udawało. Pominąwszy tamten wypadek, ale nawet wtedy nikt nie wyciągnął w jego stronę oskarżycielskiego palca. To uspiło jego czujność. Do tego stopnia, że teraz, wezwany na dywanik, był trochę zdziwiony. Przez chwilę myślał nawet, że ta rozmowa pójdzie w innym kierunku. Bo ludzie na pewno mówili też, że jest dobrym ojcem parafii, sprawnym, skutecznym, zorganizowanym. Zresztą wystarczyło popatrzeć na ich kościół – z lichoty zrobił coś solidnego. Dostawał sygnały poparcia, widział oznaki uwielbienia. Kto by mógł?... I ile wie wikariusz biskupi?

– Ludzie mówią... – powtórzył więc.

Nie będzie się podkładał. Nie przyzna się. Starał się zachować spokój, ale poczuł zimną strużkę na plecach. Chciał więcej, a teraz istniało ryzyko, że może stracić to, co ma.

Wikariusz jakby czytał w jego myślach.

– Biskup docenia posługę księdza. Oddanie, ciężką pracę, skuteczność w mobilizowaniu wiernych do różnych działań na rzecz Kościoła, mimo że czasy niesprzyjające. Ksiądz jest sprawny zarówno w sprawie ewangelizacji, jak i zarządzania. Kościół dba o takie sługi szczególnie, bo Kościół musi się umacniać.

Pokraśniał. Tam na górze wiedzą, ile jest wart.

– Im bardziej jednak się kogoś wynosi, tym lepiej go widać. Ci na dole są przezroczyści, gubią się w tłumie. Ci wyżej – jak na świeczniku. – Wikariusz mówił powoli, a teraz przerwał. Przyglądał mu się.

W którą stronę to zmierza? Do zimnego paska na kręgosłupie dołączyły wilgotne pachy. Denerwował się. Już dawno tak się nie czuł. Już dawno... Przypomniało mu się, jak się wtedy modlił – że jeśli po tamtym wszystko się ułoży, jeśli nikt go z tą sprawą nie będzie łączył, to on już nigdy do tego nie wróci. Został wysłuchany, wszystko rozeszło się po kościach. Źle mu było z niedotrzymaniem obietnicy złożonej Jemu, w końcu jest księdzem, to obliguje jeszcze mocniej, ale skoro taką miał naturę... Natura przecież od Boga.

– Cieszę się, że biskup docenia moją posługę. – Wyprostował się. Wstąpiły w niego nowe siły. Pokorni zostają z tyłu, pewni siebie idą do przodu. On chciał iść. – Pracuję nad tym, by być coraz lepszym księdzem i coraz sprawniej służyć wspólnocie.

Wikariusz się mu przyglądał. Widać było, że zastanawia się, co powiedzieć. W końcu oznajmił:

– W rozwoju ważna jest zmiana. Biskup proponuje objęcie nowej parafii.

ROZDZIAŁ 18

– Co ja mogę powiedzieć, jak mnie nie wolno się z gośćmi widzieć? Jestem na stołówce, bo wiadomo, że trzeba posprzątać, jak zjedzą. Ile by kto kasy nie miał, to i tak naświni. Zresztą bywa całkiem na wykopyrtkę – te biedne często schludniejsze są. Pracowałam w różnych miejscach, jeszcze za pegeerów, to wiem. No, więc na tej stołówce to po porach posiłków sprzątam, a pokoje to według grafiku. Maciuś mi daje, kiedy oni mają te swoje „zadania”, to ja wtedy idę ogarniać ich klitki. Wiele do sprzątania to nie ma, bo metraż malutki, jak pokoje przyzakładowe, zresztą ten budynek to był ponoć dla zwykłych ludzi, nie tych bogatych ze dwora, no to i warunki pospolite. Ale też pojąć trudno, że to może tyle kosztować, no bo co tu specjalnego? Maciuś mi kiedyś powiedział, że cisza i emocje. No może, bo teraz coraz więcej hałasu, ale by przyjechał jeden z drugim do mojego męża, do Pajtun, toby ciszę dostał za dziesiątą część tej ceny. A emocje by się też znalazły, bo tam się ludzie co miesiąc emocjonują, jak do pierwszego dotrzeć. – Krystyna Świtoń dopiero się rozkręcała. Była solidnie zbudowaną, ogorzałą od słońca sześćdziesięciolatką. Po przesłuchaniu gości nie udało się im z nią porozmawiać, więc chcieli, żeby przyjechała do komendy. „Tu pekaesy jeżdżą jak dawniej dylizansy – możliwe opóźnienia do pół dnia, to jak ja się dowiozę do miasta?” Kosoń wysłał po nią Remka, żeby ją przywiózł. „Nawet moja mama tyle nie mówi”, Remek był po tej podróży jak wyżęty.

– Pani Krystyno. – Kosoń wstrzelił się w przerwę na zaczerpnięcie głębszego oddechu. – Dziękujemy za ten wstęp, a teraz byśmy prosili o konkret. Czy podczas

sprzątania zauważyła pani w pokojach gości coś dziwnego? Niepokojącego? Niespotykanego?

Świtoń parsknęła i splotła dłonie na brzuchu.

– Panie komisarzu, ja przez dwadzieścia lat w zakładzie wypoczynkowym robiłam, a potem byłam salową. To ja już nie wiem, co może być dziwnego albo niepokojącego. Ja chyba wszystko widziałam. Zresztą, żeby była jasność – ja nikomu w rzeczach nie grzebię. Szanuję prywatność, tę robotę, choć dziwaczna, lubię, bo się nie narobię, a zapłacone na czas. Maciuś też dobry dzieciak.

– Oczywiście, że nie mam na myśli żadnego myszkowania – zastrzegł Kosoń. – Chodzi mi o spostrzegawczość. Pani jest bystrą osobą, dokładną, a tacy ludzie są dobrymi obserwatorami.

– No, gdyby tak na to spojrzeć. – Świtoń niby się jeszcze wahała, ale widać było, że decyzja została podjęta. Przez chwilę jeszcze posiedziała w milczeniu, kręcąc kciukami splecionych dłoni kółka, a potem nachyliła się nad stołem w kierunku Kosonia. – Oglądałam kiedyś taki program w telewizji. Za dużo to ja nie oglądam, bo czasu żal i nie ma specjalnie czego, ale tego dnia jakoś tak... Więc to było o archeologach i o tych ich wykopkach.

– Wykopaliskach – poprawiła machinalnie Wiera.

– O, tak, właśnie. O wykopaliskach. I oni tam jakieś starodawne miasto badali. Same cegły w ziemi, jakby fundamenty. A w ziemi to stłuczony garnek, to jakiś pieniądz, nóż i śmieci. I w tym programie powiedzieli, że ze śmieci można się dużo dowiedzieć o dawnych czasach i naszych przodkach.

– I pani się czegoś dowiedziała ze śmieci w pokojach gości – podsunął Kosoń.

– Ze śmieci, z tego, co i jak trzymają w łazienkach, co na szafkach nocnych... W pokoju pana, musi być starszy i schludny, bo bardzo wszystko czyste i ładnie utrzymane, to znalazłam papierowe opakowanie z tabletkami. Za łóżkiem, musiało mu spaść, może zrzucił? To był potas, nie trzeba było zaglądać, bo to na pudełku pisze. Mnie też kiedyś lekarz dawał, bo mnie skurcze łąpały. I nawet pomogło. No, więc podniosłam, położyłam na szafeczce. W innym pokoju, odmiennym

całkowicie, jakby tam piorun strzelił, u jakiejś kobitki, ale flei, że nie wiem co, bo wszędzie dziwaczne kolorowe ubrania rozrzucone, też były tabletki, ale w woreczku foliowym. Najpierw myślałam, że to jakiś pusty woreczek, chciałam wyrzucić, ale biorę do ręki, a tam w środku coś chrzęści. Kto tak lekarstwo trzyma? W foliówce, obok perfum. Perfumy powąchałam, bo to człowieka ciekawi, czym pachną bogaci, ale zapach nie do wytrzymania. Żadne kwiatki czy coś ładnego, no po prostu smród. No, to tych dwoje. A skoro widzę, że pana komisarza leki interesują – Kosoń rzeczywiście słuchał w skupieniu – to jeszcze był pokój męski, taki chyba najnormalniejszy, bo czysto, porządek, ubrania też zwyczajne. I też w łazience, ale w kosmetyczce, listek leków. Wystawał z tej kosmetyczki, nie zaglądałam, nie było potrzeby. No to tyle. A w tych śmieciach, bo od tego się zaczęło, to w jednym pokoju w koszu porwane kartki. Jedne zapisane długopisem i podarte, jakby ktoś nie chciał, żeby inni mogli przeczytać, może to jakiś list? A część prawie czysta, tylko gdzieniegdzie ślad ołówka. Dziwne, nie?

– To w którymś z tych trzech pokoi?

– Nie, to inny pokój. Kobiocy, bo na szafce przy łóżku pierścionek leżał. Piękny, złoty, okazały, z przezroczystym kamieniem.

– Bardzo ważne informacje nam pani przekazała. – Kosoń ładnie się uśmiechnął. – Czy coś jeszcze wzbudziło pani niepokój, przykuło uwagę?

– Nie, chyba nie... – Świtoń namyślała się przez chwilę. Z ociąganiem wstała i w tym momencie coś się jej przypomniało: – Jeszcze jedno. Ani lek, ani nic w śmieciach, ale zapamiętałam, bo to taki wandalizm. Na stole na blacie takie wkłucia porobione, jakby kto igłą kłuł. Normalnie tam leży taka serwetka, na ozdobę. I teraz też była, ale ja porządnie sprzątam, jak kurze wycieram, to podnoszę, nie że tylko naokoło przeleczę. Więc wtedy też podniosłam, poleruję, a tam takie kropki pokłute, aż się odpryski porobiły w politurze. No jak tak można niszczyć?

– A to który pokój? Któryś z tych, co pani już mówiła?

– Nie, inny. Męski. Dużo książek na szafce do czytania. Same okropieństwa o wojnie. Jak kto się naczyta takich rzeczy, to może potem musi odreagować, czy bo ja wiem?...

– Natura ludzka skrywa wiele tajemnic.

– Święte słowa, panie komisarzu, święte słowa. – Kobieta pokiwała głową. – To jeśli to wszystko, to ja bym już do domu wróciła. Ten młody policjant mnie odwiezie?

– Staroń? Nie, on teraz nie może, ale drogówka się wybiera na połów, to mogą i w pani stronę pojechać. Ten młody policjant panią pokieruje. Jest na dole, tam za tym blatem, i o wszystkim wie. Proszę do niego podejść.

– A, to dobrze. No, nie taka zła ta policja, jak się mówi. Do widzenia, panie komisarzu. I pani sierżant.

– Na razie niewiele jeszcze wiemy o Hryciuku, ale już coraz więcej o naszych gościach. – Kosoń zaczął się bawić pudełkiem od zapalek. Wiera zauważyła, że im bardziej coś go pochłaniało, tym częściej sięgał po ten mały kartonik. – Potas schludnego pana... To na pewno Herman. Ciekawa zbieżność, prawda? I że tu go przywiodły wspomnienia.

– Starsi ludzie mają problemy z potasem, magnezem...

– ...I jest w wieku zbliżonym do ofiary – ciągnął Kosoń.

– A te dziwne tabletki chudej Julii? Bo to o niej mówiła Świtoniowa.

– O niej – zgodził się Kosoń. – Stawiam na jakieś ecstasy.

– Mogła nimi otumanić Hryciuka, żeby łatwiej go było potem dźgnąć tą igłą.

– Nie widzę specjalnych przeszkód, pytanie tylko: po co? Obstawiam, że otumania samą siebie.

– A ten zniszczony od igły stół? To też jest ciekawe. – Wiera patrzyła na swoje notatki w notesie.

– Dużo książek o wojnie. To jeden z tych dwóch. Madej?

– Nie, Wolny. – Wiera znowu przekartkowała notes. – Madej woli komiksy, to Wolny mówił, że go tematyka wojenna interesuje. Ale po co by kłuł blat? Próbował

techniki wkłucia? To coś bardziej zbliżonego do ciała by wybrał, ja wiem... może materac? Zresztą dlaczego on?

– Widzisz, nie uciekniemy od prawidłowej kolejności. – Kosoń suwał teraz pudełko zapalek po blacie, jak krążek po lodzie. – Jesteś jakoś konkretnie umówiona z tym Szubą?

– Nie. Przyjmuje pacjentów od dwunastej do czternastej, prosił, bym przysłała już po wizytach, żeby nie czekali.

– Wróć po tej rozmowie na komendę, powiesz, co masz. Ja czekam na Banasiuka, ma przyjechać po trzeciej. Teraz jeszcze porozmawiam z Remkiem, niech streści, czego się dowiedział od kucharki. Tak był spięty, kiedy mu powiedziałem, że ma z nią porozmawiać, że nie wiem, co z tego wyszło. Zobaczymy.

– Dobra, szefie, to idę.

W drzwiach Wiera zderzyła się z komendantem.

– I jak postępy w sprawie? – zapytał Król. Był podenerwowany.

– Zbieramy materiały – odpowiedział flegmatycznie Kosoń.

– Przesłuchaliście wszystkich?

– Z obecnych na miejscu – tak.

– I? – Komendant zaczynał się irytować.

– I trudno powiedzieć. To niekarani ludzie, zamożni, bez oczywistych powiązań z Hryciukiem.

Komendant przez chwilę milczał.

– A ten młody, to znaczy Kowal? Tak wygląda, że aż dziwne, że w papierach czysto.

– Twierdzi, że całą noc spędził w swoim pokoju, w pawilonie obok. Sprawdzamy nagrania z tych czynnych kamer i alarm. Jeśli nic tu nie znajdziemy, znaczy, że nie kłamie. A dziś po południu porozmawiam z Banasiukiem, jego szefem. – To ostatnie zdanie Kosoń wypowiedział, nie patrząc na Króla. Śledził teraz tor poślizgu pudełka zapalek.

Komendant się skrzywił, choć trudno było ocenić, czy z powodu usłyszanego nazwiska, czy czynności aktualnie pochłaniającej Kosonia.

– Lepiej by było, żeby akurat on nie był z tym łączony. Co prawda, teoretycznie czysty, ale... – Komendant znacząco zawiesił głos. – To, że ksiądz nie żyje, to już pech. Ale gdyby się okazało, że są w to zamieszane takie... specyficzne osoby, też by nie było dobrze. Na pewno nic na nikogo z tej siódemki nie znaleźliście? „Szukajcie, a znajdziecie”, takie było stare milicyjne powiedzenie. – Zaśmiał się, ale odrobinę nerwowo.

– Nie – odparł spokojnie Kosoń, podnosząc wzrok na komendanta. – Zresztą właśnie rozmawialiśmy z sierżant Jezierską, że podstawową sprawą jest ustalenie motywu, czyli szukanie punktu zapalnego. U księdza Hryciuka.

– Punktu zapalnego, mówisz – powiedział powoli Król.

Kosoń kiwnął głową.

– To chyba jasne. Była zbrodnia, ktoś wymierzył karę. I dobrze ją zaplanował. – Rytmicznie odbijał kartonik od dłoni.

– Czyli twierdzisz, że ksiądz dziekan sobie nagrabił, tak? – Król spojrzał teraz na Wierę, jakby czekał na jej reakcję.

Ona jednak milczała.

– Nie użyłbym takich słów w stosunku do księdza. – Mina Kosonia świadczyła o tym, że użyłby gorszych. – Ale sens się zgadza.

– No dobrze... – Mina Króla z kolei znaczyła, że jest zły. – Ale dam ci jedną radę. Wiem, że tobie z radami nie po drodze, ale tej posłuchaj: punkty zapalne potrafią doprowadzić do pożarów. Dużych pożarów.

– Tak – odpowiedział Kosoń. – Mama też mi mówiła, żebym się nie bawił zapalkami.

W tym momencie pudełko gładkim ślizgiem wyminęło lewą dłoń komisarza, przekroczyło krawędź biurka, przefrunęło w powietrzu i wylądowało u stóp Wiery.

ROZDZIAŁ 19

Willa robiła wrażenie. Stara, ładnie odnowiona i doskonale utrzymana. Pałac Archiprezbitera to nie był, ale klimaty spójne. „Przeciwieństwa się przyciągają tylko w powieściach dla młodzieży”, pomyślała Wiera. „Reszta świata działa na zasadzie podobieństwa”.

Daniel Hryciuk mieszkał elegancko, leczyl się elegancko. „I nawet elegancko umarł”, pomyślała Wiera.

Na słupku, do którego zamocowano zawiasy żelaznej kutej furtki, był domofon. „Prof. T. Szuba, kardiolog”. Nie było jednak potrzeby, by naciskać srebrny guzik – furtki ktoś nie domknął.

Wiera przeszła wąską brukowaną ścieżką przez zadbane trawnik i weszła do budynku. W holu widniała niebieska strzałka, kierująca w głąb korytarza, gdzie były ustawione dwie drewniane ławki i okrągły stolik z gazetami. Nikt nie czekał. Wiera nachyliła głowę do solidnych drewnianych drzwi, nasłuchując, czy toczy się za nimi życie. Niczego nie usłyszała, więc energicznie zapukała i weszła.

– Dzień dobry. – Mężczyzna siedzący za biurkiem miał około siedemdziesięciu lat, błękitną koszulę, bordową muszkę i nieskazitelnie biały fartuch, wyprasowany, a może i wykrochmalony tak, że gdyby go zdjął, to mógłby go postawić obok biurka. „Jak ten facet z reklamy preparatu na zdrowe serce dla staruszków”. – Przepraszam, ale nie mam już dziś nikogo wpisanego... – Spojrzał na nią zza szkieł okularów w złotych oprawkach.

„Pasowali do siebie z Hryciukiem”, pomyślała Wiera. Ona czuła się tu jak uboga krewna. „Ciekawe, ile on bierze za taką wizytę?”

– Ma pan, tylko pewnie w innym kalendarzu. Sierżant Wiera Jezierska, dzwoniłam i się zapowiadałam.

– No oczywiście! Nie zapomniałem, tylko spodziewałem się kogoś w mundurze. I chyba starszego. Proszę się nie obrazić, ale pani mi się wydaje taka młodziutka. – Uśmiechnął się do niej jak dziadek, który prosi wnuczkę, by wróciła do domu przed dwudziestą pierwszą.

– Bo jestem młoda – odpowiedziała. – A munduru nie muszę nosić.

Też mogłaby się uśmiechnąć, powiedzieć na przykład: „A gdzie tam, tak naprawdę to jestem po czterdziestce, ale mam dobre geny”, albo wymyślić jakiś inny żart, ale nagle się jej odechciało. „Młodziutka”. W tym niewinnym słowie Wiera usłyszała lekki protekcjonalizm, wskazanie jej odpowiedniego miejsca w szeregu. Otaczali ją prawie sami faceci, którzy sprawy – ważne sprawy – rozgrywali między sobą. Kobietom trafiała się drobniaczka. Wyjątkiem była Przyzwan, która rozbijała ten testosteronowy monolit. I przez większość mężczyzn była traktowana z rezerwą, jak odrębny gatunek – ni facet, ni kobieta, tylko coś pośrodku.

– No tak, oczywiście, to taki niewinny żarcik, żeby zagaić. – Szuba podniósł się z krzesła i wyszedł zza solidnego drewnianego biurka. Ucisnęła podaną jej dłoń. Ciepłą i lepkawą. – Proszę usiąść. – Wskazał jej solidne wyściełane krzesło.

„Grubawy jest, to trochę tak, jakby dentysta miał szczerbę”, pomyślała.

– To jak mogę pani pomóc? Taki smutek po śmierci księdza Daniela... – Wrócił na swój profesorski fotel. – Nie spodziewałem się, naprawdę – dodał, jakby asekuracyjnie.

– Ksiądz Hryciuk był w dobrej formie?

– O tak! – Szuba się ożywił. – Jak na swój wiek, tobym powiedział, że w bardzo dobrej nawet. Do tego zdyscyplinowany, słuchający rad, przychodzący na

kontrolę. Idealny pacjent, chorzy nie zawsze są tak posłuszni. Tak, on bardzo dbał o zdrowie, ta dbałość czasami mogła się wydawać nawet przesadna.

– Żadnych odstępstw? Zawsze taki higieniczny tryb życia? Ksiądz nigdy... sobie nie folgował? – „Nie folgujcie sobie!”, waliła dziennikiem w stół jej polonistka z liceum, która czytała chyba tylko przedwojenne lektury.

– Nie folgował sobie? – Doktor się rozpromienił. – No, wie pani sierżant, duchowny to też człowiek...

Wiera pomyślała, że Szuba wygląda jak pająk, który zobaczył tłustą muchę.

– Czasem coś się może potoczyło z mniejszą kontrolą... Życie miewa nieodparty urok.

– Kobiety? – wypaliła. Takie okrągłe zdania nic jej nie dawały, potrzebowała konkretnego.

Szuba zdębiał, aż otworzył usta. Już nic nie musiał mówić – nawet jeśli ksiądz miał jakieś romanse, to były one naprawdę sekretne.

– Nie, no skąd! – zaprzeczył żywiołowo. – W każdym razie ja nigdy o niczym takim nie słyszałem. Chodziło mi o pewną słabość do luksusu, tak bym to nazwał: dobre ubrania, perfumy, porządne restauracje, wyjazdy. Ale to oczywiście nie tak, że ksiądz cały czas tak robił, skądże! Zdarzało się, choć ostatnio to chyba rzadko. Wiek jednak ma swoje prawa...

– A pobyt w hotelu Szaniec? O tym pomyśle pan słyszał?

– Nazwę już znam, poznałem przy okazji tej smutnej informacji... Wcześniej to nie, ksiądz Daniel tylko poprosił o receptę na dodatkowe opakowanie, bo wyjeżdża. „Lokalnie”, powiedział. Zapytałem, czy na ryby, taki żart, bo wiem, że on nie z tych, co kije moczą i grzybów w lesie szukają. Powiedział tylko, że pewna odmiana czy jakoś tak. No i sobie odmienił... – westchnął.

– A ta słabość do luksusu... Mógłby pan powiedzieć coś więcej? Każdy szczegół jest ważny – dodała, żeby Szuba się w sobie nie zamknął.

Doktor jednak, po wstępnej fali szczerości, zrobił się czujny:

– Przepraszam, że zapytam, ale właściwie dlaczego to takie ważne? I dlaczego my rozmawiamy? To znaczy ja oczywiście chętnie, bo raz, że policja, no to wyboru nie ma, prawda, a dwa, że taka miła młoda kobieta...

„Cholerny dziad”.

– ...ale czy jest powód, żeby tak się zagłębiać w życie księdza, skoro on już umarł? Bo tego właśnie nie wiem, czy jest jakaś wątpliwość co do tej śmierci? To znaczy co do jej przyczyn? – Szuba był zaniepokojony.

– Rozumiem pana obawy, w końcu był pan jego lekarzem. – Wiera postanowiła być trochę wredna. Nie wiedziała, na ile zorientowany jest Szuba, ale trochę pewnie tak – żyli w grajdole, tu niczego się nie dawało utrzymać w tajemnicy. – Tak, są pewne wątpliwości w sprawie, zbieramy informacje. Żmudna robota, może nie zawsze przyjemna, ale zwykle daje efekty, tyle że trudno określić, co może mieć znaczenie. Więc... – zawiesiła głos.

Szuba pokiwał głową. Wyglądał na trochę uspokojonego.

– Ja tak powiedziałem o tej słabości do luksusu, ale trzeba to brać razem z przeszłością księdza Daniela. Mnie się wydaje, że to była chęć ucieczki, zapomnienia o biedzie z dzieciństwa. Ja oczywiście nie znałem księdza bardzo dobrze, ot tak, środowiskowo, ale trochę wiem i tak mi się to dodaje, jak dwa do dwóch. Oni, to znaczy jego rodzice, przyjechali tu ze Wschodu, zaraz po wojnie. Nic nadzwyczajnego, cała ta kraina jest z takich jak oni. Wiem, że w ich domu się nie przelewało, a ojciec miał twardą rękę. To też tradycja, choć w tym przypadku chyba była zbyt mocna... – Szuba się zamyślił. – Więc to może było tak, bo psychologicznie i po ludzku to całkiem zrozumiałe, że ksiądz Daniel wetował sobie trudne lata, ale nie był egoistą, dbał o wiernych, kiedy jeszcze służył jako szeregowy kaznodzieja, a pochylał się zwłaszcza nad biedą dzieci. To na pewno potwierdzą w parafii w Ełku, gdzie ksiądz był, zanim się przeniósł na emeryturę do Olsztyna.

– W Ełku... – Wiera wpisała to sobie do notesu. – Dobrze, dziękuję. A co do leczenia...

Jeszcze go nie zapytała o ten potas. Nie sądziła, że doktor mógłby się pomylić, ale pytanie musi paść. Na początku mogłoby go wystraszyć, ale teraz, kiedy coś już powiedział, był dobry moment.

Szuba znów się usztywnił.

– Czy przepisywał pan księdzu potas?

– Ja? – zdumiał się Szuba. – Nie, no skąd. Nigdy. Inhibitory...

– Tak, wiem, inhibitory coś tam, coś tam, na serce. Ten lek na receptę. Ale czy coś oprócz tego? Jakies suplementy, witaminy?

– No, mówiliśmy, że koniecznym może być. Wie pani, to na takiej zasadzie, że nie zaszkodzi, a kto wie, czy nie będzie z tego jakiegoś efektu, przynajmniej takiego psychologicznego. Ale potas – nigdy, zaręczam.

– A sam by sobie ksiądz mógł to wymyślić?

– Nie, nie wydaje mi się. Ksiądz Daniel naprawdę był zdyscyplinowany i uważny. Zresztą o dietę też dbał, bo i na to go uczuliłem. I mówiłem mu, żeby ostrożnie z sokiem pomidorowym, bo on go bardzo lubił pić, a tam dużo potasu. Więc tabletki?... Nie, no naprawdę nie.

– Dobrze, dziękuję. Często bywa tak, że coś się jeszcze potem przypomni. Gdyby i panu się przypomniało, to proszę zadzwonić. – Wiera zapisała numer swojej komórki na karteczce z reklamą jakiegoś leku, których bloczek leżał na biurku profesora. – Naprawdę ładny gabinet i ładny dom. – Rozejrzała się po stylowym wnętrzu, zupełnie nieprzypominającym gabinetów z jej rejonowej przychodni.

– A, dziękuję. Efekt zbiorowy – spadek po rodzicach i moja ciężka praca.

„Nie uda mi się go polubić”, pomyślała Wiera, zamykając za sobą drzwi. „Żadnych podobieństw”.

– Czyli nic konkretnego... – Kosoń siedział przy biurku. Przed nim leżała wypchana plastikowa teczka. – Ale Ełk to może nie taki zły pomysł. Kiedy stamtąd

wyjechał?

– Pięć lat temu.

– Dawno i niedawno. Trzeba tam pojechać, popytać, rozejrzeć się. Bo jak na razie to same luźno puszczone nitki, nie wiadomo, za którą łapać.

– A ten Banasiuk? Rozmawiał szef z nim?

– Powiedzmy, bo przez telefon. Miał się zjawić w komendzie, ale zadzwonił i powiedział, że coś bardzo pilnego mu wypadło i właśnie jedzie do Michała Lubienia.

Wiera знаła to nazwisko, już je gdzieś słyszała.

– To jakiś polityk?

– Poseł. Wiceminister rolnictwa za prawicowych rządów, w dwa tysiące szóstym lub siódmym roku. Teraz też pod tym sztandarem. To jest właściciel Karolewa. – Kosoń otworzył teczkę i wyciągnął z niej jakieś papiery. – Wtedy, za ministrowania, kupił budynki dawnego majątku w Karolewie, te, gdzie teraz jest Szaniec, to znaczy ten główny hotel, i jakiś gospodarczy, chyba już rozebrany. To mam z naszych informacji. Zapytałem Banasiuka o ten zakup. „Taka była ruina, wyceniona na gorsze, a on ją doprowadził do świetności”. Zdziwiłem się, że taki majątny, nawet jak na polityka, bo w ten hotel wpompowano naprawdę dużo pieniędzy. Bez głębszej refleksji przyznał, że Ministerstwo Rolnictwa dofinansowało remont. „A może to z tej agencji, jak to?... strukturalnej? Nie, restrukturyzacji”. Nie był pewny nazwy, ale faktu – tak. W każdym razie państwo hojnie dosypało Lubieniowi kasę.

– Czy ja kiedyś usłyszę coś o politykach, co mnie jeszcze zdziwi? – zapytała Wiera.

– Sytuacja jest rozwojowa. I ta nasza, i ta ogólnokrajowa, więc kto wie...

– Z Lubieniem nie będzie można porozmawiać?...

– Skąd, immunitet. Spuści nas na drzewo. Banasiuk powiedział jeszcze, że Lubieniowi jest szczególnie przykro, bo znał Hryciuka od wielu lat. Ciekawa ta znajomość.

– Dlaczego? – zdziwiła się Wiera. – Przecież oni oboje z tych terenów.

– Tak, Michał Lubień to człowiek tej ziemi, od zawsze tutaj. Ale w PRL-u był po drugiej stronie barykady. Dopiero potem, wiele lat po osiemdziesiątym dziewiątym, się przeflancował na prawo. Więc ciekawe, że reżimowiec bratał się z księdzem. No, ale Lubień ma wyczucie – zawsze był z tymi, co u władzy. Wtedy i teraz. A, z rzeczy konkretnych. – Odsunął teczkę i wyciągnął spod niej inne papiery. – Mamy wyniki pracy chłopaków w Szańcu. Co do śladów, to nędzka. W pokoju Hryciuka są odciski jego, tej samej osoby, co we wszystkich innych, czyli sprzątaczkach, i tyle. Ani śladu igły czy strzykawki, nic. Ciekawe też, że nigdzie nie ma jego telefonu. W pokoju nie, i to jasne, w świetle tych dziwacznych zasad. Wszyscy inni zostawili telefony u Kowala, w depozycie. Telefonu Hryciuka tam nie ma. Kowal się zarzeka, że mu nie dawał, że przyjechał bez.

– Na początku mówił, że ktoś go przywiózł – przypomniała sobie Wiera.

– Pewnie ktoś z kurii. Trzeba to będzie wyjaśnić, bo byłoby więcej niż rozsądne przejrzeć, z kim rozmawiał...

– A nagrania z kamer? Uchwyciły coś?

– Nie. Czysto. Jeśli opierać się tylko na tych obrazach, to Kowal rzeczywiście nie wchodził w nocy do głównego budynku. Za to pojawiły się inne rzeczy. U Zielińskiego antydepresanty. To one wystawały z kosmetyczki.

– No, to jeszcze nic takiego, teraz dużo osób ma depresję.

– Ma. Ale czy w depresji wybiera się takie wakacje? Terapeuta to chyba raczej by zalecił Lazurowe Wybrzeże. Dobra, zostawmy Zielińskiego. U Hermana – co wiemy także od Świtoń – potas. Też niejednoznacznie, bo to starszy człowiek. Poprosiłem o sprawdzenie, czy to ten sam potas, co ten w pudełku u Hryciuka. No i nasza kolorowa ptaka, czyli Ryłska. Właśnie mi Józwik powiedział, że ma woreczek z mefedronem.

– To dlatego jest taka pobudzona... Ale nie wiem, szefie, czy coś z tego ma znaczenie.

– Może ma, a może nie. – Kosoń zabawił się w filozofa. – To też może ma, a może nie – sięgnął po kolejny plik kartek – ale przynajmniej jest ciekawsze.

– A co to? – zapytała Wiera.

– Te ankiety, o które prosiłaś Kowala. Dał Remkowi, gdy pojechał rozmawiać z kucharką. A, Jadwiga Kokorycz, bo tak się kucharka nazywa, nie powiedziała nic ciekawego, tak przynajmniej wynika z jego relacji. Interesujące jest tylko to, że jeden z gości miał wyłączone z posiłków pomidory i pomidoropochodne produkty, na własne życzenie.

– Hryciuk – powiedziała Wiera.

– Hryciuk. – Kiwnął głową Kosoń. – On się naprawdę przykładał do życia.

ROZDZIAŁ 20

– Kiedyś po dwóch stronach barykady, a jednak można się spotkać.

Siedzieli na plebanii. Było już po sumie, kościół opustoszał.

– Zawsze można się spotkać z drugim człowiekiem – powiedział sentencjonalnie.

Tamten na niego spojrział, przez chwilę poważnie, jakby chciał odpowiedzieć podobnym frazesem, a potem wybuchnął śmiechem.

– Daj spokój, pogadajmy normalnie.

Wyciągnął ze skórzanej teczki butelkę.

– Francuski. To znaczy prawdziwy, z Francji, nie te podrabiane zlewki. Nie, nie wstawaj, obsłużę nas. Bywało się na różnych plebaniach, rozmieszczenie strategicznych akcesoriów zawsze takie samo.

Podszedł do kredensu, otworzył lekko skrzypiące drzwiczki, przestawił kilka szklanek i wyciągnął zza nich dwa pękate kieliszki. Postawił je na biurku, uderzył dłonią w spód butelki, odkręcił ją i nalał im obu bursztynowego płynu.

– Za nowe, dobre czasy! – wzniósł toast.

Wypili obaj, do dna. Ponownie sięgnął po butelkę. Kieliszki znowu się zapełniły.

– Gratuluję. To naprawdę duża sprawa.

– Dziękuję. Lata starań.

– I nawet tamta przeszłość nie przeszkodziła... – zaczął. Chciał powiedzieć, że podziwia skuteczność, ale gość inaczej odebrał ten wstęp.

– Tę przeszłość to akurat mamy wspólną – przerwał mu tonem, którego temperatura znacząco się obniżyła.

– Jasne, nie taką miałem intencję. Chodzi mi o to, że to duża sztuka, żeby złapać ducha czasów, w jakich się żyje. Duża sztuka. Kto to potrafi, ten daleko zajdzie.

Gość znowu się uśmiechnął i wziął łyk koniaku.

– O, to, to. Z ust mi to wyjąłeś.

Zamyślił się. Postukał palcami w drewniany blat stołu.

Nie zamierzał go wyrwać z tego zawieszenia. Skoro przyjechał, i to po tej nominacji, to jakąś sprawę ma. Łasy na gratulacje zawsze był, ale teraz chodzi o coś więcej, po uścisk dłoni by się nie tłukł tyle kilometrów. I jeszcze ten koniak. Dobrym koniakiem się ubija dobre interesy.

– My to podobni jesteśmy, choć, jak zażartowałem, z dwóch stron barykady. Zresztą barykady to sprawa umowna, nie? Obaj mamy ambicje, chcemy czegoś więcej, niż los nam dał. To nas łączy. Ale jest coś jeszcze... – urwał, znowu nalał koniaku do obu kieliszków. Podniósł swój, kiwnął głową i wypił.

On zrobił to samo. „Do czego zmierza ta rozmowa?”, pomyślał. Było mu przyjemnie, ciepło rozchodziło się promieniście od przetyku w dół ciała. Rozluźnił się, nawet wyciągnął nogi.

– Mamy też inne wspólne... Różnie to można nazwać... Zainteresowanie, słabostkę, upodobanie.

– Alkohol lubię, ale bez przesady – zastrzegł się z uśmiechem. – Kiedyś może mi się umiar wymykał, ale organizm ma swoje prawa. Młodszy się nie robię.

– A, ty o tym. No, ja też stopuję. Teraz jestem za wysoko, żeby się nie pilnować. Chociaż nie takie rzeczy na Wiejskiej się zdarzają... – Puścił do niego oko.

Wyprostował się, lekko odsunął od stołu i patrzył na niego. Z uśmiechem, ale nieustępliwie.

„Podpucha? Powiedział, że to wspólne... Potem się może wypiąć i zaprzeczyć. Ale po co mu to? Czego chce? Co chce ugrać? Szantaż?” Żałował, że nie pił wolniej. Brakowało mu jasności umysłu.

– No, co nic nie mówisz? Nie bój się, nie wkręcę cię. To na serio. Widzisz – teraz nachylił się przez stół w jego stronę – jest nas więcej. Razem bezpieczniej. „Kto ma księdza i lekarza w rodzinie, ten nie zginie”. Polityk też sroce spod ogona nie wypadł. Można by się... skonsolidować. Rozumiesz? Taka grupa wzajemnego wsparcia.

Wzajemnego wsparcia. Rozumiał. Pokiwał głową. Teraz on sięgnął po butelkę i rozlał koniak.

Stuknęli się kieliszkami.

ROZDZIAŁ 21

– „Jestem zajebiście zdrowa”.

– Kwestia wieku, poczekaj chwilę i ci minie.

Wiera podniosła głowę znad kartki. Przy stole stała Maria Przyzwan.

– O, Marysia. Cześć. – Kosoń też na nią spojrział. – Czemu zawdzięczamy tę wizytę?

– Komu raczej. Byłam u naszego starego. A on był wcześniej u swojego starego. Mam się zapoznać ze wszystkimi zebranymi materiałami i zdecydować, czy i kto z tej siódemki nadaje się na podejrzanego. Albo czy możemy wskazać kogoś innego, jeśli nie ich. „Albo cokolwiek zróbcie, do chuja pana”. Cytuję Króla, żeby nie było. Jest parcie, by sprawę „odpowiednio” prowadzić. – Popatrzyła najpierw na Wierę, potem na Janusza. – Pogrzeb w piątek po południu. To będzie niezła impreza, w katedrze. Kościelna wierchuszka, rozmodlony lud. Nie chcą być zaskoczeni. Niemile zaskoczeni. Co robicie? – Nachyliła się nad Wierę i spojrzała na tabelę. – „Jestem zajebiście zdrowa” – przeczytała. – A, ty też cytowałaś. Zaczynam lubić tę Rylską. – Stuknęła chudym palcem w nazwisko.

– Chyba w innych okolicznościach – powiedziała Wiera. – Na razie nie możemy jej wykluczyć.

– W tych też. – Przyzwan miała w oczach stal.

Kosoń podszedł do drzwi i je zamknął.

– Bezpieczeństwo i higiena pracy. – Spojrział na prokuratorkę.

Machnęła ręką.

– No, to co tu macie? – spytała.

– Ankiety – wyjaśniła Wiera. – Dwa rodzaje. Pierwsze to karty informacyjne, które goście wypełniali, meldując się w Szańcu. A drugie były pomyślane jako jedno z zadań. Robili je w wieczór poprzedzający śmierć Hryciuka. W tych kartach osobowych Zieliński nie podał żadnych leków, a wiemy, że bierze antydepresanty. Rylska, no właśnie, „jest zajebiście zdrowa”, a mefedronu miała zapas na pół roku. Farnese wpisała nitroglicerynę, Herman pominął potas.

– Ludzie są albo hipochondrykami, albo lekceważą sprawy zdrowia. Do tych odpowiedzi bym się nie przywiązywała. – Przyzwan przesunęła karty pobytu i sięgnęła po drugi plik. – „Jak chciałbym umrzeć?”, „Moja główna wada?”, „Co wzbudza we mnie obsesyjny lęk?”... To nawet jest dobre, nie spodziewałabym się. Taki zmodyfikowany kwestionariusz Prousta.

Wiera kojarzyła nazwisko. Ze słyszenia, niestety, tylko. Wiedziała, że to pisarz, i tyle. Było jej głupio, że ma te różne braki, których wykształcony człowiek nie powinien mieć, a Przyzwan wysoko ustawiała

poprzeczkę.

– Zabawa towarzyska, modna sto lat temu na salonach. Tu okrojona wersja, bo wypadło prawie wszystko związane z kulturą, ale to rozsądnie, bo pytania trzeba dopasować do adresata... żeby go nie zawstydząć – ciągnęła Przyzwan. – Mniej więcej trzy czwarte ludzi to głąby.

„W ten weekend nie odpalę żadnego filmu”, pomyślała Wiera.

– Zostało samo mięso – powiedział Kosoń. – Niegłupio, bo wyszedł z tego test psychologiczny. Ciekawe, kto im to wymyślił?

– Pewnie jakaś kobieta. Bo ani Banasiuk, ani tym bardziej Kowal, to nie są tytani intelektu. Dobra, popatrzymy, co my tu mamy. – Przyzwan spojrzała na rozrzucone kartki.

– Remek przepisał odpowiedzi do wspólnej tabeli – powiedziała Wiera.

Wyłowila z kupki jedną kartkę.

Pochylili się nad nią. Ośmioro ankietowanych, siedem pytań.

– Taaa... – naprawdę niezłe... I co ci to o nich mówi? – Przyzwan się wyprostowała i spojrzała na Wierę.

Wiera wciąż wpatrywała się w okienka tabeli.

– Madej i Wolny chyba byli szczerzy. I są najmniej podejrzani, tak na podstawie tej tabeli i rozmów. Choć u Wolnego w pokoju jest dziwnie pokłuty stół, jakby się bawił czymś ostrym, może igłą... Zieliński jest skryty i znerwicowany, Dereń straciła matkę, mówi tylko o ojcu, no i ten jej lęk... Farnese jest spokojna, choć bezsilność mnie zastanawia, na pewno nie dotyczy kasy, bo ona nie wygląda na bezradną finansowo, zresztą w ogóle nie wygląda na bezradną. Herman jest nostalgiczny, Rylska niedługo wdepnie w jakieś gówno, zwłaszcza jak się do tego doda ten mefedron.

	Główna cecha mojego charakteru?	Cechy, których szukam u mężczyzny?	Cechy których szukam u kobiety?	Moja główna wada?	Co wzbudza we mnie obsesyjny lęk?	Jak chciałbym umrzeć?	Kiedy kłamię?
Marcin Zieliński	systematyczność	nie dotyczy	miła, ładna	że nie zostałem archeologiem	ciemność	we śnie	kiedy muszę
Krzysztof Madej	analityczny umysł	w przyjaźni?	wygląd, intelekt, ciepło	nieustatkowanie	nic mi nie przychodzi do głowy	nie chciałbym	w pracy
Łukasz Wolny	logika	dobry kumpel	za miesiąc się żenię, już nie szukam	żona mi niedługo powie	czy nasze dzieci będą zdrowe	zdecydowanie nie teraz	prywatnie – nie kłamię
Magdalena Farnese	cierpliwość	już nie szukam mężczyzn	opanowanie	nie skupiam się na swoich wadach	bezsilność	spełniona	rzadko
Agata Dereń	nie wiem	spokój	opiekuńczość	nie potrafię wybrać jednej	strata bliskich	wcześniej żegnając się z bliskimi	raczej nie kłamię
Tomasz Herman	cierpliwość	nie wiem, brak mi wzorców	troskliwość, ciepło	Bóg oceni	nic, już nic	pojednany z Bogiem i ludźmi	staram się nie kłamać
Julia Ryłska	lubię zmiany	luz	luz	nie mam wad	ustatkowanie	oryginalnie	kiedy nie kłamię?
Daniel Hryciuk	wiara	cechy dobrego ojca	cechy dobrej matki	staram się nie mieć wad	nie mam lęków, Pan jest ze mną	spokojnie	staram się nie kłamać

Przyzwan pokiwała głową.

– A Hryciuk?

– Hryciuk się starał – odpowiedziała powoli Wiera.

– Pytanie, jak mu wychodziło. – W rubrykach: „staram się nie mieć wad” i „staram się nie kłamać” Przyzwan postawiła dwa krzyże. – To morderstwo nie zostało przeprowadzone *ad hoc*, to nie była zbrodnia w afekcie, żadna nagła sprzeczką. To zaplanowane i dobrze zrealizowane zabójstwo z premedytacją. Żadnych śladów, żadnych odcisków palców. Ktoś się naprawdę przyłożył. – Zaczęła chodzić po pokoju. Jej szpilki zostawiały delikatne wgłębienia na porysowanym linoleum. – Powiedziałabym, że to morderstwo jest wynikiem hołubionej przez lata urazy.

– Hryciuk trochę się przemieszczał, ale generalnie przez całe życie był związany z tymi terenami, więc jego losy pewnie gdzieś tu się przecięły z losami mordercy. – Kosoń znowu trzymał w dłoni pudełko zapalek.

– Herman też na pewno jest związany z tym miejscem. Sam nam opowiedział o Lidzbarku, o Kandytach i Karolewie. Niczego nie ukrywał – przypomniała Wiera.

– Ale to, przynajmniej na razie, bez widocznego związku z Hryciukiem. – Przyzwan była sceptyczna. – W ogóle, przeglądając zebrane przez was informacje, doszłam do wniosku, że trzeba tę siódmkę przepytac jeszcze raz na okoliczność wcześniejszych pobytów na tych terenach, pochodzenia, rodziny, zahaczyć mocniej o stosunek do Kościoła. Niech sobie pogadają bez ograniczeń. Może coś wypłynie. A, właśnie, co z tą komórką Hryciuka?

– Nic. – Wiera wzruszyła ramionami. – Dzwoniłam do kurii z prośbą, żeby sprawdzili, czy Hryciuk zostawił ją u siebie, znaczy u nich. I podobno nie zostawił.

– A Kowal twierdzi, że nie dostał jej w depozyt – powiedział Kosoń.

– Ktoś nas w chuja robi... Wystąpiliście o billingi?

Wiera pokiwała głową.

– No dobra, to z lekkim poślizgiem, ale będziemy to mieć. Co jeszcze?

– Zieliński zwiął. To znaczy, podczas przesłuchania się oddalił. Był na terenie, choć miał siedzieć w jadalni. Nie wiadomo, po co poszedł, chłopcy wciąż przeczesują teren. Może to ma znaczenie, może nie. Mnie się wydaje, że nie ma, znaczy w tym sensie, że po prostu nie wytrzymał napięcia i tyle. Istotniejsze jest to, że Zieliński już tu był. To znaczy na Mazurach. W dzieciństwie. Poza tym on jest taki... nieszczęśliwy jakiś, jakby życie zrobiło mu krzywdę. – Wiera o poczuciu krzywdy wiedziała wszystko.

– Albo jakby ktoś mu zrobił krzywdę. – W oczach Przyzwan znowu zobaczyła stalowy błysk. – Krzywda się sama nie dzieje, pomijając oczywiście tsunami, trzęsienia ziemi i inne takie tam dopusty Boże. Panie, wybacz...

– Ale to by musiało być dawno temu, kiedy on był mały.

„Dziecinnie proste”, znowu to do niej wróciło.

– Nie ograniczałabym się czasowo. Pomsta, zwłaszcza biblijna, nie zna kalendarza, idzie przez pokolenia. – Przyzwan oparła się o biurko. – Wciąż mnie zastanawia ta zostawiona przez mordercę kartka.

– Czy to podany powód, czy zmylenie tropów – pomyślała głośno Wiera.

Przyzwan ponownie pokiwała głową.

– Kombinuj, dziewczyno, kombinuj.

– To był ksiądz, więc tematyka pasuje – kontynuowała niepewnie Wiera.

– To fakt, ale nieistotny. A gdybyś ty była morderczynią, to w jakiej sytuacji zostawiłabyś taką kartkę przy Hryciuku? – Przyzwan spojrzała na nią.

Wiera poczuła znajome mrowienie. Nie, wtedy nie, wtedy była za mała. Wtedy przede wszystkim się bała. Patrzyła, jak ojciec jedną ręką dociska matkę do ściany, trzymając ją za gardło i lekko unosząc, tak że matka musiała stawać na palcach. Albo jak szarpał ją za włosy i walił jej głową w kuchenny stół. Albo jak ją zamykał w przybudówce i mówił: „Nie drzyj mordy, bo się wkurwię, a jak się wkurwię, to...”, i patrzył wtedy na nią i na Ankę. Matka nie mogła tego widzieć, bo szlochała zza drewnianych drzwi z drugiej strony, ale musiała to czuć, bo natychmiast milkła. Więc wtedy nie, a potem to już było za późno, bo sam umarł. Ale w wyobraźni, zdarzało się. Wówczas role się zmieniały – ona była nim, on był matką. I tak jak on matce, ona

mówiła jemu: „Zajebię cię”. Nigdy by się z tego nikomu nie zwierzyła, na pewno nie teraz, kiedy była policjantką. Kiedyś, dawno temu, próbowała to jakoś na okrągło powiedzieć Ance, ale ona była już wtedy u sióstr. „Sąd Ostateczny nikogo nie ominie”, powiedziała. Nie było o czym gadać. Ani wtedy, ani potem. A wcześniej? Wcześniej też jej dobrze nie znała, nigdy jej dobrze nie znała. Różniły się, jak tylko może się różnić rodzeństwo, zresztą ich drogi zawodowe świetnie to pokazywały.

– Gdyby mnie naprawdę skrzywdził... – powiedziała Wiera.

Znowu znajomy skurcz.

– Albo kogoś, na kim mi bardzo zależało...

Zobaczyła twarz matki. Będzie musiała pojechać w najbliższy weekend do zakładu. Wiera naprzemiennie obarczała swoich rodziców za skopane dzieciństwo – raz ojca, za wszystkie potworności, raz matkę – że nic z tym nie zrobiła. Teraz była w fazie „antyojciec”.

– I gdybym uważała, że nie ma co liczyć na sprawiedliwość, czyli na policję. Albo na Pana Boga – dodała. – I gdybym chciała, żeby inni wiedzieli, że ten, którego zabiłam, zrobił coś złego i zasłużył sobie na taką karę. Ale tak w ogóle tobym nic nie zostawiała – Wiera wróciła ze swojego zamyślenia – bo po co, przecież to podawanie motywu na tacy. Tam musiały zagrać jakieś silne emocje.

– Szukałem informacji, czy przeciw Hryciukowi były prowadzone jakieś sprawy. Zero, nic. Kuria uprzejmie poprosiła o pisemne zadanie pytania. Odpowiedzi jeszcze brak, ale chyba nie trzeba na nią czekać. – Kosoń obracał w palcach tekturowe pudełko zapalek.

– Nawet jeśli się kiedyś potknął i były na to jakiegokolwiek papiery, to w Pałacu Archidiecezjalnym wszystko na pewno wypucowali. Duch Święty wieje, kędy chce, i zamiata takie sprawy pod ołtarz. „Jego odzienie stało się lśniaco białe”.

– Jak na wojującą antyklerykałkę dobrze znasz Biblię – powiedział Kosoń z uznaniem.

– Ty jak na agnostyka też, skoro rozpoznajesz, że to Biblia.

– Jeśli się nie jest przekonany, to trzeba wiedzieć do czego.

– Jeśli się coś krytykuje, to trzeba znać to jeszcze lepiej.

– Światłość wiekuista – powiedziała Wiera. To jej się kojarzyło z tym fragmentem. – Światłość wiekuistą Bóg stworzył jako pierwszą, na początku. Była przez trzy dni, czwartego dnia zastąpił ją blask słońca.

– No proszę. – W głosie Przyzwan brzmiał podziw. I lekkie zdziwienie. – Program nauki w Szczytnie się zmienił czy stary prowadzi was na rekolekcje? Do niego to podobne. Chciał zostać ministrem, a został ministrantem.

Wiera nigdy by się nie dowiedziała, czym jest światłość wiekuista, gdyby nie Anka. To ona jej powiedziała, skąd taka formuła wypowiediana podczas pogrzebów. Zupełnie niepotrzebnie, bo przecież pamiętała, że ich ojcu ksiądz też tak życzył, chlapiąc trumnę wodą święconą. Co za ironia – ojciec miał mieć coś fajniejszego niż słońce, i to przez całą wieczność, choć był takim pojebem.

– Mam siostrę w zakonie – powiedziała Wiera.

Mogłaby nie mówić. Kosoniowi kiedyś powiedziała, ale też tylko tyle, to jedno zdanie, a on o nie zapytał, chyba dlatego, że był bystry i rozumiał więcej niż sam słowny przekaz. Przyzwan też była bystra.

– Jedno z moich ulubionych przysłów: dobrze, gdy woda jest blisko, a rodzina daleko. I właśnie ta rodzina daleko mnie natchnęła. Sprawdzaliście, czy były podobne morderstwa?

– Ksiądz zabity zastrzykiem z potasu? To dość specyficzny przypadek – zauważył Kosoń.

– Odosobniony – potwierdziła z żalem w głosie Przyzwan. – Nie chodzi mi o takie podobieństwo jeden do jednego, tylko o zespół wspólnych cech: miejsce, *modus operandi*, status zabitego, niewykrycie sprawcy. Generalnie – morderstwa, co do których były wątpliwości podczas śledztwa, i ostatecznie sprawcy nie wykryto. Sprawy bardziej finezyjne niż rozplatanie czaszki na dzwonka siekierą.

– W skali kraju? – zapytał Kosoń.

– Nie, województwa.

Przez chwilę na siebie patrzyli.

– Sprawdzimy – powiedział Kosoń.

Wiera czuła, że w tej wymianie zdań kryło się coś, do czego ona nie miała dostępu. Coś z przeszłości Przyzwan. Coś z tą rodziną, co jest daleko.

– Dobra, wracając do Hryciuka – teraz prokuratorka patrzyła na nią – w Olsztynie niczego się nie dowiecie, to dobrze chroniona twierdza. Trzeba pójść śladem kościelnej kariery Hryciuka, sprawdzić, gdzie był na parafiach, bo przecież jakoś się dochrapał tego zaszczytu.

– W Ełku był. – Wiera przekartkowała notes. – Ten Szuba, lekarz, z którym rozmawiałam w Olsztynie, powiedział, że kiedy Hryciuk był szeregowym kaznodzieją, to posługiwał w parafii w Ełku, przez wiele lat. Wcześniej był w Olecku i Malborku, ale to dawne czasy, chyba zbyt dawne.

– Chyba tak. Pojeźdź do Ełku, wywiadź się, jak go pamiętają jego owieczki – polecił Kosoń.

– Jest szansa, że trafisz na czarną owcę, która coś nam beknie. – Przyzwan podeszła do niej i poklepała ją po ramieniu.

ROZDZIAŁ 22

– Jezus nas uczył: „Dobry pasterz daje życie swoje za owce”. Piękna postawa, godna naśladowania. A teraz wyobraźcie sobie, drodzy bracia i siostry, sytuację odwrotną – że to pasterz musi ratować własne życie, uciekając przed owcami. Powie ktoś – nie do wiary. Właśnie, o wiarę tu chodzi. Bo jakże wiara musi słabować, gdy dochodzi do takiej sytuacji... – zawiesił głos, podniósł wzrok znad kartki i powiódł nim po zebranych. Usłyszał lekki szum, adekwatny do miejsca, w którym się znajdowali. Metafora była jasna, chwyciła. – A więc bywa dziś i tak, że pasterz musi się bronić przed swymi owcami. Paradoksalnie, ale te role ulegają odwróceniu. Tak, pasterz broni się przed własnymi owcami. – Uderzył dłonią w ambonę. Teraz szum był wyraźniejszy. „Dobrze, jest reakcja”. – I bywa, że to pasterz jest sprowadzany do roli owcy. Czarnej owcy. I powiem jeszcze, że to jest występki nie tylko przeciw temu szeregowemu pasterzowi, lecz także, a może przede wszystkim, przeciw Najwyższemu Pasterzowi i jednocześnie sianie zamętu wśród niewinnych owieczek. Każda owca musi znać swoje miejsce w stadzie!

Znowu uderzył otwartą dłonią w pulpit, aż plasnęło.

Wyszedł zza ambony, uklęknął przed ołtarzem.

Wierni patrzyli na niego, patrzyli po sobie. Byli skonsternowani, czuła to. Usłyszał, że też zaczęli klękać.

– Módlmy się o roztropność i łaskę wiary, by oddzielać prawdę od fałszu. Ojczy nasz... – zaczął mocnym, czystym głosem.

– Któryś jest w niebie... – dopowiedzieli wierni. Przez chwilę jeszcze byli pogubieni, ale zaraz odnaleźli zwyczajowy ton.

Odetchnął z ulgą. Jednak sprawdzał się na tym miejscu, niezawodnie.

ROZDZIAŁ 23

Zapach był trochę ostry, trochę słodki, jak z orientalnych baśni lub ze sklepu indyjskiego. Kojarzył się jej jednak z kościołem, bo tam go po raz pierwszy poczuła. To było na procesji na Boże Ciało. Musiała go poznać już wcześniej, przecież podczas mszy okadza się ołtarz, a oni chodzili do kościoła regularnie, ale wtedy, w ten upalny, lepki czerwcowy dzień woń palonej żywicy i ziół była wyjątkowo silna. Procesja szła powoli, ksiądz coś mówił monotonnym głosem, ludzie śpiewali i sunęli od ołtarza do ołtarza. Z nieba lał się żar, kurz z gruntowej drogi drażnił nos, a ten zapach nią kołysał – od upojenia do mdłości.

Tak było i teraz. W pustym neogotyckim kościele, pachnącym kadzidlana nutą, odczuwała jednocześnie spokój i niepokój. Już dawno nie była na żadnej mszy. To, co się w niej kołatało, to były wspomnienia z dzieciństwa. Starannie odprasowana sukienka, bo w niedzielę inaczej nie wypada. Cukierek od księdza i jego duża dłoń głaszcząca ją po głowie. Szloch matki i uspokajająco-nakazujący głos: „Jesteście rodziną, macie dzieci, ślubowałaś mu i musisz nieść swój krzyż”. Ojciec wciśnięty w garnitur, z oczami prawie niewidocznymi zza pijackiej opuchlizny, siedzący sztywno w kościelnej ławce. Gdy była młodsza, każdej niedzieli miała nadzieję, że stanie się cud, że matka, połknąwszy ten przezroczysty opłatek, dostąpi jakiejś łaski, która spłynie na nich wszystkich. Nic z tego. Ojciec, kiedy zdjął wyjściowy, ślubny garnitur, nadal tłukł matkę, a ona nadal mu na to pozwalała. I tak żyli, od niedzieli do niedzieli. Potem Wiera zaczęła się buntować, bo coś naprawdę nie halo jest z Bogiem, który pozwala na taką niesprawiedliwość. I z księdzem też. Później

ojciec umarł, Anka poszła do zakonu, a matka się wycofała ze świata, osuwając się w demencję. Wiera jako jedyna została na placu boju prawdziwego życia. Choć czasem miała wątpliwości, czy rzeczywiście ma to wszystko za sobą.

Rozejrzała się. Nie była sama. W ławkach siedziało kilka osób: jeden staruszek, trzy emerytki i jakaś młoda kobieta. W bocznym ołtarzu dostrzegła zakonnice układającą kwiaty.

Wstała z ławki, poszła w głąb kościoła. Mijając ołtarz, przez chwilę się zawahała, ale nie podniosła ręki do czoła.

Podeszła do zakonnicy.

– Dzień dobry. Szukam księdza proboszcza. Albo innego księdza.

Siostra wcisnęła ostatniego mieczyka do wysokiego plastikowego wazonu.

– Szczęść Boże. Kancelaria będzie otwarta za godzinę, trzeba poczekać.

– Nie mogę czekać, mam dużo pracy. Z policji jestem, sierżant Wiera Jezierska.

– Miała już w ręku przygotowaną legitymację, teraz wyciągnęła ją przed siebie.

Zakonnica się przeżegnała. Wiera w pierwszej chwili pomyślała, że to ze strachu, coś jak odpędzanie sił nieczystych, ale to było pożegnanie z ołtarzem.

– Chodźmy, zaprowadzę panią.

Wyszły bocznym wejściem. Szły wzdłuż kościoła, w milczeniu. Wiera przyglądała się blokom stojącym w pobliżu. Kościół na pewno pojawił się tu pierwszy, te paskudne budynki dostawiono potem, szybko i bez troski o estetykę, zapewniając ludziom dach nad głową. Połączenie było paskudne.

Weszły do kancelarii. Wiera zdziwiła się, że drzwi są otwarte, a w środku nikogo nie ma. Przeszły przez puste pomieszczenie; poczuła jakiś dziwny zapach, już nie kadzidło, a raczej płyn odkażający. Siostra zapukała w kolejne drzwi, nacisnęła klamkę i wprowadziła ją do innego pokoju.

Przy biurku siedział starszawy ksiądz, który coś pisał na luźnej kartce. Liche włosy miał zaczesane dwoma szerokimi pasmami przez środek głowy, na krzyż. „Stary, nieatrakcyjny i ksiądz, a jednak próżny”, pomyślała. Podniósł głowę, ale nic nie powiedział.

– Księżę proboszczu, pani przyszła do księdza. Z policji.

Ksiądz kilka razy stuknął długopisem w blat, po czym odłożył go, podniósł się i wyszedł zza biurka.

– Dziękuję siostrze.

Siostra kiwnęła głową, wyminęła Wierę i bez słowa wyszła.

– Szczęść Boże. – Ksiądz popatrzył na Wierę, lekko zsuwając grube okulary z nosa.

– Szczęść Boże. – Wiera jednak spasowała, jak wtedy, gdy dzwoniła do Olsztyna. „Słaba jesteś”, wyrzuciła sobie. „Chcę coś załatwić”, także sobie zripostowała. „Szlag by to”, podsumowała.

– Pani z policji, tak? – Ksiądz wciąż się jej przyglądał.

Kiwnęła głową.

– Z Giżycka. Przyjechałam w sprawie księdza Hryciuka.

– Ach tak! – Ksiądz się ożywił.

„Trochę niezdrowo, skoro chodzi o nieboszczyka”, pomyślała.

– Oczywiście będziemy towarzyszyć księdzu w tej ostatniej drodze. Jeśli Pan da, to ja, jeżeli nie – ksiądz Tomasz. Ale pani chyba nie w sprawach informacyjnych. – Nagle zbystrzał i lekko wycofał uśmiech.

– Nie. Chciałam porozmawiać o księdzu Danielu.

– Przepraszam, ale czy to ma związek ze śmiercią księdza dziekana? – Proboszcz był już wyraźnie zaniepokojony.

– Tak, można tak powiedzieć. – I żeby nie przeciągać tego wątku, szybko zapytała: – Ksiądz Hryciuk dawno był na tej parafii?

– O tak. Lata dziewięćdziesiąte to był początek jego posługi w Ełku. Proboszczował długo, ze dwie dekady będzie. Pięknie za jego czasów parafia nam wyrosła. I remont kościoła, i rozbudowa budynków parafialnych... Sprawny organizator i dobry ksiądz.

– A człowiek? – zapytała Wiera.

– Jaki człowiek? – zdziwił się proboszcz.

– Jakim był człowiekiem, zapytałam.

– No, przede wszystkim to był księdzem i stąd jego wszystkie zalety. Jako człowiek zresztą podobnie – też obdarzony łaskami. Szanowany przez wiernych, oddany Kościołowi, zaangażowany w sprawy parafii i miasta, hojny, jeśli szło o cele charytatywne. Złego słowa nie mógłbym powiedzieć. Chodźmy do tamtego pokoju, coś pani pokażę.

Przeszli do pierwszego pomieszczenia. Wiera zauważyła, że drzwi wejściowe nadal są otwarte.

Ksiądz złapał jej spojrzenie.

– Wietrzymy, skoro ciepło. Fundamenty były osuszane i odwilgacane, dano do nich jakiś specjalny środek, ma zapobiegać erozji. Może i skuteczny, ale nie pachnie ładnie, więc staramy się go w ten sposób pozbyć. O, to chciałem pokazać.

– Wyciągnął z półki gruby album w twardych czarnych oprawach. – Księga pamiątkowa parafii. Ta jest specjalna, na pożegnanie księdza Daniela, gdy nas opuszczał.

Wiera pochyliła się nad księgą. „Z wyrazami szacunku i miłości”, „Niech Księdza dalej Bóg tak pięknie prowadzi”, „Najlepszemu Proboszczowi świata!”, „Księdzu Proboszczowi za to, że tak pięknie dbał o parafię i swoje owieczki”. Przypomniała się jej Przyzwan.

– No, widzę, że rzeczywiście ceniono tu księdza Hryciuka. – Podniosła wzrok na proboszcza. – A wszyscy tak księdza lubili? – zapytała.

– Wie pani, ksiądz to przede wszystkim sługa Pana, to jest jego szef, przed nim odpowiada. A Bóg, wiadomo – miłujący, lecz wymagający. Ludzie inaczej – nie zawsze miłują, często wymagają. A czasem wymagają od innych, a od siebie – nie. Może i komuś się nie podobało, że ksiądz dziekan taką pewną ręką prowadzi parafię, ale cóż to za zarzut? Przepraszam, trzeba chwilę jeszcze poczekać – powiedział to nad głową Wiery.

Obejrzała się. W progu stała jakaś kobieta. Na oko pięćdziesięcioletnia, może starsza. Szczupła, w dobrze dopasowanej sukience. Miała krótkie włosy i ładne

okulary.

– Szczęść Boże. Chciałam ofiarę dać na mszę.

– A, to możemy załatwić, skoro tylko formalność. Więc tak to wygląda. – Wrócił spojrzeniem do Wierę. – Proszę sobie jeszcze pooglądać, my załatwimy te opłaty.

Kobieta minęła Wierę i podeszła za księdzem do biurka pod oknem. Ksiądz usiadł, schylił się, wyciągnął jakiś zeszyt z szafki obok biurka.

– Nazwisko? – zapytał.

– Majtun Krystyna. Zofia Majtun to matka, dla niej, na wypominki.

Wiera wróciła do przeglądania albumu. „Laurka”, pomyślała. Zresztą gdyby nawet ktoś się odważył napisać coś niepoehlebnego, na pewno Hryciuk albo ktoś z kancelarii usunęliby tę stronę. Przyjrzała się szyciu – niczego nie wrywano. Może rzeczywiście ksiądz był dobrym pasterzem albo wierni bali się szczeroci.

– Co łaska, choć fundamenty znowu osuszane...

– Tak, oczywiście. – Kliknięcie zatrasku portfela.

– Dziękuję, w niedzielę na sumie będzie. Szczęść Boże.

– Szczęść Boże.

Kobieta obrzuciła Wierę szybkim spojrzeniem i wyszła.

– Dobrze, to co my tam?... A, album. No tak, proszę wybaczyć, pogoda nas nie oszczędza ostatnio, mnie taka duchota nie służy. Dobrze, że się można schronić za grubymi murami. Coś jeszcze panią interesuje?

– A czy były jakieś oficjalne skargi na księdza Hryciuka?

– Oficjalne skargi? – Proboszcz delikatnie wyjął jej album z rąk. – No nie, gdzieżby. Zresztą czy gdyby były, to ksiądz by do Olsztyna mógł trafić, do takiego zaszczytnego miejsca?

Odwrócił się od Wierę i schował album, a potem zaczął coś przekładać na półce, co było jasnym przekazem – koniec audiencji.

– Dziękuję księdzu – powiedziała Wiera. – Do widzenia.

Uśmiechnęła się, choć on nie mógł tego zobaczyć.

– Przepraszam. – Głos był cichy. – Przepraszam. – Teraz zostało powtórzone głośniej. – Pani jest z...?

To była ta kobieta z kancelarii.

Wiera przystanęła. Zdążyła dojść do bocznego wejścia, którym poprowadziła ją siostra. Chciała jeszcze zajrzeć do kościoła i sprawdzić, czy zakonnica wciąż tam jest. Niespecjalnie liczyła na jakieś przydatne wiadomości, ale nawet gdy ktoś milczy czy kłamie, to też jest cenna informacja.

– Z Giżycka – powiedziała, trochę zdziwiona.

– Nie, nie o to pytałam. Czy pani jest z policji?

Wiera przyjrzała się tej kobiecie. Nie wyglądała na nawiedzoną ani wariatkę. Mówiła normalnie, patrzyła normalnie, była ubrana normalnie. Żadnych oznak świra.

– Tak. A dlaczego to panią interesuje?

Kobieta się obejrzała za siebie, a potem jej wzrok szybko omiótł wejście do kancelarii.

– Słyszałam pani rozmowę z proboszczem, o księdzu Hryciuku.

– Tak? A co pani słyszała?

– Te peany na cześć dawnego proboszcza. Zachwyty, jaki był dobry. To nieprawda. – W głosie tej kobiety nie było nachalności czy roszczenia. Była za to jakaś determinacja.

– A co jest prawdą? – zapytała Wiera.

Kobieta raz jeszcze obejrzała się w stronę kancelarii.

– Chodźmy – powiedziała i delikatnie dotknęła łokcia Wiery.

Przeszły wzdłuż kościoła i skręciły na chodnik prowadzący do budynków okalających kościół. Obeszły jeden z bloków i dopiero tu, na podwórku, kobieta przystanęła.

– Hryciuk był tutaj proboszczem do dwa tysiące trzynastego. Długo, dwadzieścia jeden lat. To, co powiedział o nim pani obecny proboszcz, ksiądz

Sławomir, to akurat prawda – miał rękę do pieniędzy. Dużo załatwił, wyremontował, ale nie przebierał w środkach. Kiedy umarła moja mama, poszłam prosić o miejsce na cmentarzu. Cmentarz mamy parafialny, ksiądz ceny ustala. Podał taką, że omal nie zemdlalam z wrażenia. Wiedział, że mama chorowała, całe oszczędności na to chorowanie poszły. Nic go to nie obeszło. „Pożyczkę można wziąć”, powiedział. A gdzie mi kto by wtedy dał, jak tu była taka bieda i takie bezrobocie, a ja na lichej umowie? Tłumaczę, pytam, czy mógłby chociaż jakoś rozłożyć. Nie. „Chwilówki są”. Zagryzłam zęby, wzięłam. On wszystko tak załatwiał. Była w nim jakaś bezwzględność, taka... czy ja wiem, jakby pierwotna. Jak u kogoś, kto przez całe życie walczy, żeby utrzymać to, co ma, bo kiedyś miał mało. W Olsztynie trafił jeszcze lepiej, w tym pałacu to sam przepych. A ksiądz lubił przepych i pieniądze, oj, lubił. Jeździć lubił, a jak wracał, to zawsze coś nowego z tych podróży przywoził. Zresztą oni to jedna klika.

– Kto oni?

– Ci, co miastem trzęsą. Od lat. Poułaszczeni się, jedni na kościelnym, drudzy na państwowym. Proboszcz z nimi trzymał. Pan, wójt i pleban, i nic od lat się nie zmienia.

Kobieta mówiła spójnie, w miarę spokojnie. Tyle tylko, że w tej historii nie było niczego nadzwyczajnego. „Systemy naczyń połączonych w kręgach władzy – świeckiej i duchowej. Im mniejsze miasto, tym silniejsze te sieci. Gdzie tak nie jest?”

– Pani mi nie wierzy? – W tym pytaniu nie było złości, raczej rezygnacja.

– Wierzę. Tyle że to ogólne informacje. Tak można by powiedzieć o wielu ludziach, o wielu księżach.

Kobieta pokiwała głową.

– Na mszy podawano informację o jego śmierci, modlono się za duszę. Ale skoro policja tu przyjeżdża... W proboszczu Hryciuku było coś takiego... – nie dokończyła. Patrzyła wyczekująco, ale nienapastliwie.

Wiera nie skomentowała. Delikatnie kiwnęła głową. Tyle mogła jej pokazać.

– Nie jestem antykościelna. Wierzę, modłę się, teraz byłam dać na mszę za mamę. I nie potępiam wszystkich księży jak leci. Proboszcz, co pani z nim rozmawiała, ksiądz Sławomir, nie jest zły, tylko ma dość ograniczone horyzonty. To taka stara szkoła, za to przed nim był ksiądz Marek. Och, dobro i rozum w jednej osobie. To jego zmienił ksiądz Hryciuk. Nagle się pojawił na parafii, to było zdziwienie, nikt nie wiedział dlaczego. Nawet jakieś domysły krążyły, że może ksiądz Marek coś złego zrobił, i dlatego go zabrano. To wszystko było tak na opak... No, to tyle. Do widzenia. – Kobieta przez chwilę na nią popatrzyła, a potem się odwróciła i odeszła.

– „Na opak”. Ale co by to miało znaczyć? – Kosoń rytmicznie podnosił i opuszczał palce na blat biurka, jakby grał na pianinie. – Pewnie ma rację, ale to przecież nie ten trop, to jakaś poboczna drobnica. My się musimy skupić na tych, co bliżej. Jutro rano znowu ich przesłuchamy, pojawiły się nowe pytania. Może uda się z nich coś wycisnąć. A, bo nie wiesz, to był pomysł Maryśki – Remek pojechał do Szańca.

– Na co on tam? – zdziwiła się Wiera.

– Na turnus. Pół turnusu właściwie.

Wiera na chwilę zapomniała o Ełku.

– Ale po co? Ma ich infiltrować? Przecież już tam był, zresztą nawet gdyby nie, to i tak by się domyślili. To grubymi nićmi szyte. No i Remek... – przystopowała.

– Właśnie. Ale pani prokurator uważa, że ponieważ i tak wszyscy wiedzą, a Remek nie wygląda poważnie, to może nie będą się tak przy nim spinać. Zresztą sześcioro z nich nie ma powodu.

– Ale może ten trop z jakimś dawnym wydarzeniem, starą krzywdą nie jest zły. Przyzwan mówiła o hołubionej urazie. Ja to samo widziałam w tej kobiecie. Rozumie szef – tyle lat, a to w niej wciąż buzowało. Nie tak, żeby coś zrobić Hryciukowi, ale... – Wiera poczuła napływ adrenaliny. Coś się wreszcie zaczynało

klarować, na pomniku Hryciuka pojawiały się pierwsze rysy. – Ta kobieta mówiła, że on był w komitywie z lokalnymi władzami. To się zgadza z tym, co szefowi powiedział Kowal – że Lubień znał Hryciuka. Może...

– Zapomnij, przecież mówiliśmy o tym. – Kosoń przycisnął dwie dłonie do blatu, na płasko, podparł się i wstał. – To facet nie do ruszenia. Może jeśli przyjedzie na pogrzeb, to uda mi się z nim pogadać, ale to stary rep, więc...

– Rep? Taki przedstawiciel medyczny, co chodzi po gabinetach i wciska leki?

– Rozjeżdżamy się pokoleniowo. Rep, czyli wyga. Kiedy pojechałaś do Ełku, jeszcze sobie z Marysią pogadaliśmy. Te podobne sprawy... Ona uważa, że to może być część jakiejś większej całości.

– Ale w jakim sensie większej? Że zginęło więcej księży? Że zabił ich ktoś z naszej siódemki? Ale co by go albo ją z nimi łączyło? To chyba zbyt karkołomna teza. – Wiera była sceptyczna.

– O Maryśce można mówić różne rzeczy i pewnie różne rzeczy słyszałaś, ale ona jest bardzo bystra i ma świetną intuicję. A kiedyś... kiedyś miała męża.

– Podobno nie jednego.

– Jednego. Ona się uczy na błędach. Żebro, coś ci mówi to nazwisko?

– Nie. To znaczy tak, ale to nie może być on.

– To on.

Wiera próbowała sobie wyobrazić Przyzwan z utyłym, bezszyjnym, antypatycznym facetem, który był prezesem sądu w Olsztynie, a potem trafił do Ministerstwa Sprawiedliwości.

– Znam go od dawna. Kiedyś to był inny człowiek. Nawet w „Solidarności” się udzielał. Potem się przeflancował. Jeszcze przed rozwodem rozmijali się z Marysią nie tylko prywatnie, lecz także zawodowo. Później to już na całego. Kilka lat temu była taka dziwna sprawa, teraz Marysia mi przypomniała. Zginął ksiądz.

Wiera zastygła.

– Ktoś go potracił. Niedaleko plebanii w Reszlu. Ściemniało się, szedł poboczem.

– To się zdarza. – Jej entuzjazm zgasł.

– Na miejscu wypadku znaleziono odpryski lakieru i zużytą chusteczkę higieniczną, która nie należała do księdza.

– I?...

– I nic. Dowody „gdzieś zaginęły”, śledztwo umorzono. Żebro je umorzył.

– Ale to raczej w drugą stronę, skoro mu nie zależało na skazaniu winnego.

– Chyba że ważniejsze było ukrycie powodu, dla którego ksiądz zginął.

Rozumiesz?

Kiwnęła głową. Rozumiała.

– Ten stary rep nasunął mi jeszcze jeden pomysł. Może... – Teraz Kosoń mówił do siebie, nie do Wiery. Odwrócił się, sięgnął po telefon z biurka. Odblokował go i przesuwał palcem po ekranie. W końcu wybrał numer i przyłożył komórkę do ucha. Po dłuższej chwili ktoś odebrał.

– Cześć, szefie.

Jakby siebie słyszała.

– Jest szef u siebie? Przyjechałbym, sprawa jest. Wiem. Wiem, ale to akurat się może szefowi spodobać. I może coś dobrego z tego będzie. – Spojrzał na Wierę.

ROZDZIAŁ 24

– Ci dwaj kiedyś w jednej firmie robili. – Mężczyzna ściągnął rękawice i sięgnął po koszulę przewieszoną przez oparcie krzesła. Założył ją na opalone ciało. Był starszy, po siedemdziesiątce, a może lepiej, ale plecy miał jak ze skały – szerokie, mocne. Cały był tak zbudowany; kondycja i reżim, bo żeby tak wyglądać w tym wieku, trzeba samozaparcia. – Napijcie się czegoś? Mam kwas chlebowy.

Kosoń kiwnął głową, Wiera też. Pojechali gdzieś za Stare Juchy, na wysokości jeziora Kosoń skręcił w prawo i drogą gruntową wtoczyli się w las. To tu miał działkę Jerzy Rubert, dawny giżycki komendant. I dawny szef Kosonia, sprzed wielu lat.

– Dobry, na wodzie źródlanej. Nic tak nie gasi pragnienia, jak kwas chlebowy. I na formę też wpływa. – Rubert przyjrzał się Kosoniowi, potem Wierze. – Pewnie, że znam Lubienia, każdy go tu znał, zanim wyjechał na Wiejską do Warszawy. Hryciuka też znałem. Z Kościołem nie było mi po drodze, gdzie indziej ulokowałem wiarę. Nie najlepiej na tym wyszedłem, ale czy z Kościołem bym wyszedł lepiej? Tutaj przynajmniej za życia się okazało.

– A jakieś sprawy dokoła tej dwójki szef pamięta? – Kosoń wziął łyk kwasu. – Dobry – powiedział z uznaniem.

Wierze również smakował. Może mogłaby się przestawić z coli? Trochę alkoholu ma w sobie, ale tyle to chyba do przyjęcia. Czasem nawet konieczne.

– Wtedy to nie mogli mieć żadnych spraw, nawet gdyby coś nawywijali. Obaj byli chronieni.

– Bo?... – zapytała Wiera. Czuła się niepewnie w tej rzeczywistości mocno starszawego faceta, który szczyt swojej kariery przeżywał wtedy, kiedy jej nie było na świecie. PRL znała z lekcji historii – migawkami i pojedynczymi datami.

– Bo byli z nami, a nie przeciw nam. Obaj po jednej linii, rozumiesz? Lubień, stary bezbożnik, pracował w stowarzyszeniu PAX-owskim.

– Ale przecież PAX to była chyba organizacja katolicka. – Wierze coś się po głowie kołatało.

– Ponad dziewięćdziesiąt procent Polaków to katolicy. Takie samo przełożenie. To była organizacja, która współpracowała z komuną, i to podobno przez moskiewskich przyjaciół.

– Teraz Lubień jest posłem z list prawicy. – Niby nie powinno dziwić, bo nie takie rzeczy w życiu, ale jednak trochę ją to zdumiewało.

– A Hryciuk mieszkał w Pałacu Archiprezbitera. – Kosoń włączył się do rozmowy. – Magiczne zakręty na osi czasu.

– Nie mam dowodów, ale dałbym sobie rękę uciąć, że w ten sposób Lubień z Hryciukiem się poznali. Tak czy owak, ci dwaj kiedyś robili w jednej firmie.

– W jakiej? – Wiera się starała, ale jednak czuła się trochę zagubiona.

– W SB. – Rubert nalał sobie nową porcję kwasu chlebowego.

– Że Lubień, to nic dziwnego, ale Hryciuk też? – Kosoń pokręcił głową.

– Tak się mówiło. Przy wódce, ale nie tylko.

– To przecież można sprawdzić, były, to znaczy są teczki. – Wiera sama nalała sobie kwasu. Czuła przyjemne ciepło – trochę od sfermentowanego napoju, a trochę z emocji.

– Lubienia nie musicie, on się kiedyś sam przyznał, zanim go zlustrowali. „Kto z nas nie zbłądził”, czy jakoś tak powiedział. Zresztą wielu z prawej strony grało wcześniej lewymi kartami. – Rubert parsknął. – Miał pseudonim „Kloss”, oczywiście ten słuszny, nie Niemiec. Och, rany, no. – Uspokoił się. – A księżulo to był ponoć „Cherubin”. Tego nie sprawdzicie, bo wiele księżowskich teczek zostało zniszczonych albo oddanych Kościołowi. I jak w studnię – plum. – Wrzucił

szyszkę do małego stawu z cicho szemrzącą fontanną. Bardzo zadbaną miał działkę. – I o ile Lubień był z przekonania donosicielem, choć profitów na pewno nie odmawiał, o tyle Hryciuk podobno lubił pieniądze.

– Tak samo powiedziała ta kobieta z Ełku. Że lubił pieniądze, podróże, kasę. – Wiera prawie opróżniła drugą szklankę kwasu chlebowego.

– Jaka kobieta? – zapytał Rubert.

– Parafianka. Z kościoła, gdzie Hryciuk był proboszczem. Zażądał jakiejś gigantycznej sumy za miejsce na cmentarzu, był nieprzejednany. Powiedziała też, że zjawił się w parafii, niespodziewanie zmieniając poprzedniego proboszcza. Zresztą bardzo lubianego przez parafian.

Rubert kilka razy przejechał dłonią po udzie, po czym wstał z ławki.

– Poczekaście chwilę.

Poszedł wyłożoną płytami ścieżką do drewnianej dachy.

– Szefie – zapytała Wiera. – A on jest... w porządku?

Nie wiedziała, jak to nazwać. W tyle głowy miała znak równości postawiony między PRL-em a złem. Te wszystkie teczki, ustawy o deubekizacji, towarzysze, donosiciele, tajni współpracownicy.

– Bo z poprzedniego systemu? Ja też pracowałem w poprzednim systemie. – Kosoń rozprostował nogi. – Jestem w porządku?

– Ale szef nie był wysoko, no i nie tak długo.

Tak, uważała, że Kosoń jest w porządku, bardzo w porządku.

– Nie mógł nie być uwikłany, ale nie znam żadnej sprawy, która by się potem przeciw niemu toczyła. Znam go natomiast jako przyzwoitego faceta.

Skrzypnęły drzwi zasłonięte ażurową siatką na owady. Spojrzeli w kierunku werandy.

Rubert wrócił z pękatym zniszczonym notesem.

– Szesnaście lat bez munduru i obowiązków, ale wciąż go mam.

– Używa go szef? – zapytał Kosoń.

– Zdarzyło się. Dla własnych celów. Król pewnie nie chciałby z komuchem gadać. Nowa elita. – Rubert usiadł na ławce. – Zresztą niektóre sprawy to tylko do prywatnego archiwum. – Taka, powiedzmy, polisa na okoliczność brzydkich, nieszczęśliwych wypadków. – Znowu spojrzał na Wierę.

– No nie, ja nigdy... – zaczęła.

– Ile lat pracujesz w tej firmie?

– Dwa.

– Eee, co to jest. Doczekasz się. Mogę się założyć o beczkę kwasu chlebowego, że wcześniej, niż umrę. Dobra, ta kobieta, o której powiedziałaś...

– Ta od cmentarza?... – zapytała Wiera.

– Tak. Ona nie jest ważna dla sprawy, kasa to normalna sprawa w tamtym świecie. Ale co innego mi się przypomniało, też *à propos* pieniędzy, ale zupełnie inny kontekst. W... zaraz, który to mógł być rok?... – Kartkował notes. – To na pewno było przed igrzyskami w Atlancie. A po Lillehammer. O, mam. – Stuknął palcem w poźółkłą stronę. – W dziewięćdziesiątym czwartym roku była sprawa kradzieży pieniędzy. W tym kościele w Ełku. Hryciuk tam wtedy dowodził, prawda?

– Tak. Ta kobieta powiedziała, że był tam dwadzieścia jeden lat, do dwa tysiące trzynastego, czyli od dziewięćdziesiątego drugiego. Hryciuk zwinął kościelną kasę? – nie dowierzała Wiera.

– E, nie, to byłby zupełny brak finezji. Zresztą kto by na niego doniósł. W drugą stronę.

– To znaczy, że jemu zwinęli – stwierdziła z logiczną pewnością Wiera.

– I tak, i nie. – Rubert się uśmiechnął.

– No to, kurwa, nie wiem. Co jest grane? – Nie lubiła siebie takiej. Niepewnej.

– Znam ten uśmiech. – Usłyszała głos Kosonia.

– No. – Rubert kilka razy stuknął palcem w notes. – To nie była nasza sprawa, to notatki z okólnika. Mam ją wpisaną w rubryce: „kościelne”. Pamiętam, że jakiś czas później rozmawiałem o niej z Micułą, on wtedy był szefem w Ełku. To było

niedługo przed tym jego wypadkiem. Ech... chwila nieuwagi i po chłopaku. Ale do ad remu, jak to mówią. Było zgłoszenie z parafii, że zginęły pieniądze z szuflady czy tam kasetki. Zgłaszał wikary. Jako podejrzana była Maria Mikut, gosposia, bo ona miała stały i nieograniczony dostęp do pomieszczeń na plebanii. Nie przyznała się, było przeszukanie, nic nie znaleziono u niej, a trzy miesiące potem sprawa została wycofana, bo pieniądze się cudownie odnalazły. Też na plebanii, ponoć roztargniony proboszcz gdzieś przełożył czy coś takiego. Zapamiętałem tę Mikut, bo i u nas się pojawiła w komendzie. Aferę z rabunkiem kielichów i innych precjozów z tego zabytkowego kościoła w Wilkasach kojarzysz? – Rubert spojrzał na Kosonia.

– Tak, coś mi się kołacze. Ale to nie ja ją miałem.

– Nie ty. Król. I on przesłuchiwał tę kobietę, bo już była wciągnięta w ewidencję, więc się od niej zaczęło. Bez sensu, ale Król nigdy nie był szczególnie lotny, za to bardzo chciał się wykazać prokościelnie. Potem się okazało, że to jakieś chłopaczki z pobliskiej wsi, chcieli to przetopić czy na złom. W każdym razie ja tę Mikut pamiętam, bo ona zemdląła, a potem krzyczała na Króla, żeby łapał prawdziwych złodziei i żeby zwalczał prawdziwe zło, jakoś tak. Król twierdził, że to wariatka, ale... Porozmawiałbym z nią, może się dowiedzie czegoś ciekawego o Hryciuku. Nie wiem, czy ona jeszcze żyje, ale warto sprawdzić ten trop. Gorycz i żal to wylewni świadkowie.

ROZDZIAŁ 25

– Wezmę okulary. – Drzwi się zamknęły. Po kilku minutach znowu zostały otwarte, ale łańcuch wciąż się kołysał, broniąc dostępu do mieszkania.

Wiera podała swoją legitymację. Kobieta włożyła okulary i przez dłuższą chwilę się jej przyglądała. Westchnęła z rezygnacją i oddała dokument.

– Możemy porozmawiać? – zapytała Wiera.

– A o czym? Co tym razem?

„Co tym razem?” Ale to w niej siedzi. Rubert nie bez powodu zapamiętał tę sprawę. Skoro po tylu latach Maria Mikut tak reaguje, to jak musiała się zachować kilkanaście lat temu?

– Nic, o co byłąby pani podejrzana. Przepraszam, że panią niepokoję. Wręcz przeciwnie, być może wie pani coś, co mogłoby pomóc policji.

Wiera nie chciała być jak oślizgły domokrążca, ale od tego, jak przeprowadzi tę rozmowę, zależy, ile uda się jej wyciągnąć.

Kobieta przez chwilę stała bez ruchu, a potem przesunęła łańcuch i szerzej otworzyła drzwi.

– Proszę.

Siadły w skromnym salonie. Stary zestaw wypoczynkowy, niska ława, drewniana lampa i dwa kinkiety do kompletu, jakiś landszaft na ścianie. Ten pokój musiał wyglądać niezmiennie tak samo od lat osiemdziesiątych.

– Znowu ktoś ukradł precjoza? – Maria Mikut miała ponad siedemdziesiąt lat. Wiera wyobrażała ją sobie korpulentną, ciotuńciowatą – wypisz wymaluj gospoia z Wilkowyj. Przed nią natomiast siedziała zasuszona kobieta o wąskich zaciśniętych ustach i chłodnym, trzeźwym spojrzeniu.

– Nie. Chodzi o księdza Hryciuka.

Przez twarz Mikut przebiegł skurcz. Zaczęła energicznie wygładzać frędzle pasiastego bieżnika.

– On nie żyje.

– Z ogłoszeń pani wie? Proboszcz się modlił na mszy za jego duszę.

Kobieta się zaśmiała. Nieoczekiwanie i jakoś nieprzyjemnie.

– Śmierć Daniela Hryciuka budzi pewne wątpliwości – powiedziała powoli Wiera.

– Ach tak.

– Nie jest pani bardzo zdzwiona.

– Nie. Wątpliwości, powiedziała pani... – Teraz kobieta zamilkła. Mimowolnie skręcała jeden z frędzli. – Pani o mnie wie, tak? To znaczy o tej sprawie z kradzieżą pieniędzy, prawda? No tak, skoro pani do mnie przyjechała – odpowiedziała samej sobie. – To nie byłam ja. Od początku do końca o tym wiedział. Po prostu chciał się mnie pozbyć.

– Kto? Hryciuk?

Mikut kiwnęła głową.

– A dlaczego?

– Byłam mu nie na rękę.

Wiera już wcześniej się zastanawiała, czy Hryciuk jej nie usunął dlatego, że może mieli romans. Ale kiedy ją zobaczyła... „Tych dwoje – mowy nie ma”. Wymuskany, pachnący, luksusowy Hryciuk i ta skromna, chuda kobieta.

– Może i był uznany przez biskupa, może i kochany przez parafian, ale przeszłość to on miał... – Mikut machnęła ręką.

– Przeszłość? – Wiera nie chciała jej naprowadzać na żaden trop, niczego podpowiadać, ale Maria Mikut zapadła się w sobie. Siedziała zamyślona, nerwowo bawiąc się frędzlami. O czymkolwiek myślała, nie były to przyjemne wspomnienia.

– Cherubin?... – Wiera w końcu wypuściła ten balon.

Mikut obróciła się w jej stronę. Teraz patrzyła już przytomnie, wróciła duchem do tego skromnego pokoju. Widać było, że jest zdziwiona.

– Cherubin? – powtórzyła po Wierze. – Ale jak to?...

„Nic nie wie”, pomyślała Wiera. Ślepy trop, a już miała nadzieję, że uda jej się pójść dalej. Na razie kręcili się w kółko. Hryciuk na pewno nie był typem dobrego pasterza, ale jak go konkretnie ucapić, za czym pójść, w którego jego bagno zajrzeć?

– Cherubin. Tak go podobno nazywano.

– Jego? – Mikut znowu się zaśmiała. – Jego?

Wierze przeszedł dreszcz po kręgosłupie. To był nieprzyjemny, drwiący-bolesny dźwięk.

– Cherubinów to on lubił. – Mikut nachyliła się przez ławę i patrzyła Wierze prosto w oczy. Twardo, bez wahania.

Pieniądze, hulanki, kobiety i seks – zwyczajna sprawa, tylko słuchacze Radia Maryja mogliby się opluć z zacietrzewienia, broniąc synów Kościoła przed takimi „kalumniami”. Wątek homoseksualny nie przyszedł Wierze do głowy.

– Daniel Hryciuk był homoseksualistą? – zapytała.

– Homoseksualistą? A skąd! – Mikut podniosła się z kanapy i zaczęła chodzić po pokoju. – Mnie by to nie ruszyło. To znaczy dziwne mi się to wydaje, ale jak ktoś jest dorosły, to jego sprawa. Dwie kobiety mogą, dwóch mężczyzn też. Ważne, by nikt nie był skrzywdzony w takiej parze, a u nich to się chyba zdecydowanie rzadziej zdarza przemoc niż w tradycyjnych układach, czyli w małżeństwie. Tu o co innego chodzi. – Przystanąła i obróciła się w stronę Wiery. – Były takie sytuacje na plebanii, które nie powinny się zdarzyć, rozumie pani?

Wiera powoli pokiwała głową. Tak, rozumiała. „Dziecinnie proste”. Czują gwałtownie rosnące napięcie. Znowu przypomniał jej się ojciec. Nie, on nigdy, tego nie, tego akurat nie...

– Ja na początku nie rozumiałam, bo w moim pokoleniu się nie mówiło o takich sprawach... Kiedyś taki jeden, nieduży, zapłakany wyszedł od księdza z pokoju. Wtedy też jeszcze nie rozumiałam. Chociaż może tylko nie chciałam zrozumieć? Wrócił po dwóch, trzech tygodniach. Czekał na księdza w korytarzu, bo tam na plebanii był taki duży korytarz. Siedział przy stoliku, na krześle. Jak ksiądz wyszedł po niego i on zniknął w pokoju, to zobaczyłam, że pod krzesłem jest mokra plama. To było wczesną jesienią, sucho na dworze jak pieprz. Rozumie pani?

Rozumiała, ale i tak usłyszała:

– Ten chłopaczek się zsikał.

„Kolesiostwo, machloje, przekręty, okej, to wszystko jest okej, bo tak jest skonstruowany świat. Jedni za to bekną, dla przykładu, dla odbębnienia statystyk, a inni będą żyć jak pączki w maśle. Nie da się tego zmienić, może trochę, może po kawałeczku. Ale dziecko?”

– Teraz to się o tym mówi, pisze, wprost, wtedy to nic. Czy pani uwierzy, że ja sama przed sobą się wstydziałam? Najpierw za to, że tak pomyślałam o księdzu. No, ale takie rzeczy się czuje, nie mogłam już przed sobą udawać, że tego nie ma. Zaczęłam się wstydzić za księdza – przed Bogiem, przed tym chłopcem, a pewnie i przed innymi, bo wtedy pomyślałam, że on nie pierwszy na plebanię przychodził. Gdzie indziej to jakaś kobieta była, bywało, że gospodyni, związek pokątny, dziecko nieślubne z tego związku. Ja na tym świecie żyję, nie jestem głupią, naiwną kobietą. Ale wtedy... Wszystko mnie bolało, każdy kawałek ciała. Tak się chyba nawet przy raku nie cierpi. Tego wieczoru poszłam do księdza Hryciuka. „Czy ten chłopiec to musi przychodzić?”, zapytałam. „Bo widać, że się źle czuje”. Na tyle mi wystarczyło odwagi. Popatrzył na mnie i zapytał, czy okna umyłam. Rozumie pani? O okna mnie zapytał! – Mikut zacisnęła dłonie w pięści. – Następnego dnia raniutko, zanim zdążyłam wyjść z domu, telefon z kancelarii, że

pieniądze zginęły. Wczoraj były, włamania żadnego, a teraz nie ma. Ostatnia wychodziłam ja. Nikt nic na razie nie insynuuje, ale w tej sytuacji ksiądz proboszcz dziękuje za pracę z powodu „utruty zaufania”. Rozumie pani? – Maria Mikut nachyliła się nad Wierą. Cała drżała. – On do mnie utracił zaufanie! Nie miał odwagi, żeby mi to powiedzieć, tylko kazał wikariuszowi. A potem to poleciało – śledztwo, mnie przesłuchiwali, ludzie gadali, paliłam się ze wstydu. I wciąż myślałam o tym chłopcu. I o innych. Tylko co ja mogłam, bo pani mi się tak przygląda.

– Nie, ja...

„Ja też wiem, co to znaczy bezsilność”.

– Nic nie mogłam. Temu wikariuszowi próbowałam powiedzieć, przewodniczącemu rady parafialnej też. „Wstydzilibyś się”, to usłyszałam. Ja to pył, proch. Proboszcz Hryciuk otrzepał mokasyny i poszedł dalej. I powiem pani, że w Boga wierzę, mocno, ale że on umarł, to mi nie przykro. Ja się z tego cieszę.

Maria Mikut wyprostowała się. Podeszła do meblościanki, ze środkowej półki wyjęła Biblię. Zaczęła ją kartkować, w końcu znalazła to, czego szukała, podeszła do kanapy, uklękła, wpatrując się w zawieszony między kinkietami prosty drewniany krzyż. Odwróciła się do Wiery.

– „To mówi Pan: Wypełniajcie prawo i sprawiedliwość, uwalniajcie uciśnionego z rąk ciemńcy, obcego zaś, sieroty i wdowy nie uciskajcie ani nie czyńcie im gwałtu; krwi niewinnej nie rozlewajcie w tym miejscu!”* – przeczytała. Odwróciła się w stronę Wiery. – Księga Jeremiasza. Najpiękniejsza w Starym Testamencie. Księga dużego bólu i żałoby. I jeszcze większej nadziei na przyszłość.

Znowu się odwróciła, schyliła głowę i zaczęła się po cichu modlić.

Wiera patrzyła na chude ramiona i pięty wystające z kapci frotté. I wyżej, na drewniany krzyż. Przypomniały się te dwa krzyżyki, krzyże właściwie, które Przyzwan postawiła w tabeli przy nazwisku Hryciuka: „staram się nie mieć wad”, „staram się nie kłamać”.

Nie wyszło mu. Kto go zaprowadził na Golgotę?

* Jr 22, 3, Biblia Tysiąclecia.

ROZDZIAŁ 26

– Hryciuk lubił pieniądze, ale bardziej lubił młodych chłopców.

Wiera od razu po rozmowie z Mikut pojechała na komendę. Kosoń siedział przy biurku. Przed nim leżały rozwinięty pergamin i kanapka. Drugą trzymał w ręku. Zdążył już wziąć kilka kęsów.

– Wierzysz jej? – zapytał, odkładając nadgryziony chleb na papier.

– Tak. Nie wiem, po co miałyby kłamać.

Kosoń docisnął palcem okruch, który leżał na blacie biurka. Chleb przykleił mu się do palca. Schylił się i strzepnął go do kosza.

– Marysia miała nosa. Dzieci. To jest to, czego obawia się każdy policjant. Byle tylko nie trafiła mu się sprawa z dziećmi...

Znowu znajomy skurcz krtani. Właściwie całą drogę tak przejechała, biorąc krótkie, rwane oddechy. Ręce lepiły się jej do kierownicy, kiedy wchodziła po schodach, jeszcze drżała. Też się tego obawiała. Póki to było w sferze domysłów, radziła sobie. Kiedy wybrzmiało – już gorzej.

– Pytanie tylko, czy to wątek poboczny, to znaczy okropny, ale o znaczeniu archiwalnym, czy taki, który mógłby doprowadzić nas do zabójcy. Czyli – do którego z naszych gości by pasował? Czy nasz morderca jest ofiarą pedofilii?

Wiera myślała o tym od momentu, gdy zamknęła za sobą drzwi do mieszkania dawnej gospodyni Hryciuka.

– Ona mówiła o chłopcach, wyłącznie o chłopcach. Czyli mamy Zielińskiego, Wolnego i Madeja. Herman jest starszy od Hryciuka. Z tej trójki to najbardziej pasuje mi Zieliński.

– Od początku najbardziej nam pasował. Jest oczywisty. Może zbyt oczywisty?...

– W sensie?

– W sensie, że czerwona lampka powinna ci się zapalić wtedy, gdy winny nasuwa ci się w oczywisty sposób. Zieliński wygląda na zagubionego człowieka, łyka pastylki na depresję, zwił podczas przesłuchań i wciąż nie wiemy dlaczego, pewnie jest gejem. Ale jest też wykształcony, bogaty, ma dużą firmę. Szedłby w takie rozwiązanie? Jeśli ktoś ma dużo pieniędzy, ma komfort, nawet co do zemsty.

– Wolny się żeni. Nie wygląda na nieszczęśliwego. Madej zresztą też.

– Może. Pamiętaj jednak, że całkiem dużo samobójców rekrutuje się z komików. Poza tym są we dwóch, łatwiej by im było działać. O życiu prywatnym Madeja nic nie wiemy.

– Tak czy owak, nikt z nich nie wychodził na korytarz tej nocy. Byli tam za to Dereń i Herman.

– Niekoniecznie. – Kosoń wstał. Poklepał się po kieszeni dzinsów, potem po drugiej. Schylił się i otworzył szufladę biurka. Wyciągnął dziesięciopak zapalek. Przerwał folię i wyjął jedno pudełko. Resztę schował, zamknął szufladę. Z tym jednym w ręku, obracając je w palcach, podszedł do okna. – Herman coś słyszał. I nie musiała to być Agata Dereń. Dobra, załóżmy, że jednak idziemy śladem pedofilskim. Gdzie oni by się spotkali z Hryciukiem? I to przed, mniej więcej, dwudziestoma, trzydziestoma laty? Hryciuk raczej nie ruszył się poza Warmię i Mazury. Wolny i Madej są z Poznania, Zieliński z Krakowa.

– Gdzie dziecko może spotkać księdza? W kościele. Na lekcji religii. Ale to nie pasuje, no bo odległość. Na pielgrzymce? Tam za dużo ludzi, brak warunków. – Wiera głośno myślała. – Na oazie? To już trzeba być starszym. Na jakichś

koloniach? Jeździłyśmy na takie biedakolonie nad morze, parafia nas zabierała, do Krynicy, do domu wypoczynkowego sióstr. Może któryś z nich też był na takim wyjeździe? Trzeba ich zapytać. Kurde! – Nagle podskoczyła. – Przecież Zieliński powiedział, że był na Mazurach, kiedy był dzieckiem. Może to jest trop?

– Trzeba zapytać, ale tak, żeby się nie domyślił od razu, jeśli to rzeczywiście on.

– SzeF się nie wydaje przekonany? – Wiera próbowała powstrzymać drżenie. Telepało nią. Czuła ciągnący od Zielińskiego smutek, była przekonana, że ten facet ma za sobą jakiś dramat, którego doświadczył w dzieciństwie.

– Nie lubię oczywistych rozwiązań, tak bym powiedział. Marysia prosiła, żeby ich wszystkich podociskać, i tak będzie sensowniej. Niech nikt z nich nie czuje się na razie poza podejrzeniami.

– Szóstka ma prawo tak się czuć.

– Tu się zgodzę ze starym, choć inaczej to interpretuję: jeśli długo pogrzebiesz, każdemu coś znajdziesz. – Kosoń wsunął zapałki do kieszeni i wrócił do biurka. Odwinął pergamin, wyjął z niego swoją nadgryzioną kanapkę, drugą, wraz z papierem, przesunął po blacie w kierunku Wiery. – Zjedz. Jedziemy do Karolewa.

– Nieodmiennie pięknie. – Kosoń mówił do Wiery, ale patrzył przed siebie. – Na tym polega paradoks: życie bywa podłe, świat jest ładny.

Jechali do Szańca. Wiera zjadła kanapkę, choć wydawało jej się, że niczego nie przełknie. Teraz myślała o kwasie chlebowym, napiłaby się.

– Wróciła sprawa potasu. Z laboratorium mamy informację, że tabletki w opakowaniu na leki Hryciuka to potas polskiej produkcji. Takie same były z bardzo dużym, graniczącym z pewnością prawdopodobieństwem w jego żołądku. Herman ma w swojej kosmetyczce potas niemieckiej marki. Co oczywiście niczego nie przesądza.

– Nic niczego nie przesądza – westchnęła Wiera. – A coś od Remka?

– Coś jest, ale ci, co są niewinni, mogą gadać dla uspokojenia emocji, odsunięcia nieuzasadnionych podejrzeń. Zabójca też nie musi być skryty, wręcz przeciwnie. Odcedzić to na razie trudno. Weź notes. – Na chwilę oderwał wzrok od drogi i spojrzał w plastikową przegródkę między nimi.

Wiera sięgnęła po zapiski Remka.

„Julia Rylska jest pobudzona i apatyczna, na przemian”.

„Krzysztof Madej próbuje wypytywać o wyniki śledztwa”.

„Tomasz Herman najpierw był protestantem, potem katolikiem, później znowu protestantem. Bardzo dobrze zna historię tych ziem”.

„Agata Dereń jest pólsierotą, jej matka zmarła podczas wycieczki do Włoch. Była tam na pielgrzymce. Jest wrażliwa i delikatna”.

– Chyba ją polubił. – Wiera spojrzała na Kosonia.

– Chyba. To się zdarza, nawet policjantom. – Kosoń się nie odwrócił, wciąż patrzył na drogę, ale zauważyła, że się uśmiechnął.

– Mało profesjonalne.

– Ty nikogo z nich nie polubiłaś bardziej?

– Nie. Żadne z nich mnie nie irytuje, to już coś. No, może ta Farnese. Chociaż... – „Chciałabyś mieć jej spokój i jej kasę”. – O, jeszcze: „Magdalena Farnese urodziła się w Ignalinie”. – Kurde, no, szefie.

Tym razem Kosoń na chwilę opuścił wzrokiem zielone migawki pobocza.

– No.

– To nie tak daleko, te ziemie. Nic nie powiedziała.

– Nie zapytaliśmy o miejsce urodzenia.

– Ale mogła. Zieliński powiedział o Krakowie, Dereń o Łodzi, ci dwaj o Poznaniu. Herman o Kandytach. A ona – nic. Dlaczego?

– Czasem się nie chce pamiętać o korzeniach.

Wiera się spięła. To miało zahaczyć o nią czy nie?

– Od tylu lat we Włoszech – ciągnął tymczasem Kosoń. – Nowe życie, nowe nazwisko, nowy kraj. Może nie chciała się przyznać do nostalgii, która ją tu

ściągnęła. Poza tym ostatni trop to pedofilskie ciągoty Hryciuka, które zresztą trzeba zacząć równolegle weryfikować. Musisz przejrzeć jego teczkę, prześledzić, gdzie był, może coś jeszcze znajdziesz. I może jeszcze raz zajedziemy do Ruberta.

Wiera kiwnęła głową.

– A po te informacje o Hryciuku to do Olsztyna?

– Nie. – Zobaczyła, że się skrzywił. – W kurii nic ciekawego nie dostaniesz, a na pewno nie od ręki. Pojedź znowu do Ełku.

– Dziś?

Kosoń się zawahał.

– Jutro pogrzeb, a nie wiadomo, co jeszcze wyskoczy.

– Oni tam wszyscy zajęci przygotowaniami, może już po pogrzebie pojedę?...

– Nie, lepiej, że są zajęci pogrzebem – nie będą zajęci tobą. Tym razem potrzebujesz papierów, nie ludzi. Weźmiesz auto, ja wydzwonię jakiś radiowóz, żeby mnie stąd odebrał.

– A nasi, znaczy ta siódemka, jadą?

– Zakazu nie dostali. Zobaczymy.

– Już mówiłam. To tata znalazł te wakacje. Na forum jakichś wyjazdów ekstremalnych czy coś takiego. Nie pamiętam nazwy, ale to można sprawdzić. – Agata Dereń wyglądała trochę lepiej niż ostatnio. Umalowana jak emo, ale spokojniejsza.

– Ojciec panią wysłał? Przecież jest pani dorosła – zapytała Wiera.

– No, wysłał. Tata chce dobrze, przecież rodzice zawsze chcą dobrze dla swoich dzieci.

„Obiegowe pierdoły”.

– Więc chodziło o to, żebym się rozerwała. Ja... wtedy nie mówiłam, ale jestem tylko z tatą. Mama nie żyje. Od pięciu lat. Ten pierścionek – dziewczyna dotknęła palca – to po niej. Na pamiątkę noszę.

– A jak mama zginęła?

„Dziś pojedę, po tym Ełku. Inaczej Anka znowu będzie mi wyrzekać, że tak rzadko mamę odwiedzam. A w sumie jaka to dla niej różnica?”

Dereń odchrząknęła.

– Na wycieczce do Włoch. Jechali na taką objazdówkę, ale tak naprawdę chodziło o Rzym i Watykan. To był wyjazd z kościoła. Mama była bardzo wierząca, działała we wspólnocie. To był wypadek. Jakiś złodziej zerwał jej torebkę, mama jej nie puściła czy ta torebka się zaczepiła, zaczęli się szarpać, on wyciągnął nóż i potem... – Spuściła głowę. – Umarła w szpitalu. Dlatego nie chodzę już do kościoła. I z Bogiem też mi źle. Dlaczego ona? Taki dobry człowiek. – Broda Dereń zaczęła się trząść.

Wiera się usztywniła, nie nadawała się na pocieszycielkę.

– Ostatnie pytanie: była pani kiedyś na tych terenach, tak ogólnie na Warmii i Mazurach?

– Nie, zwykle jeździliśmy nad Bałtyk albo za granicę.

– To wszystko, na razie.

– Urodziła się pani w Ignalinie?

– Przecież pani już to wie. – Farnese się uśmiechnęła. To był uśmiech świadczący o dobrym samopoczuciu, a nie o chęci obdarowania kogoś wsparciem.

– Wiem.

„Nie lubić i lubić jednocześnie, co za dziwne uczucie”.

– Więc może nie przyjechała tu pani, żeby doświadczyć czegoś ekscytującego, jak nam pani powiedziała za pierwszym razem, tylko z powodów nostalgicznych.

– Może.

„Kurwa”.

Wiera czuła znajome drganie grdyki. Zaczęła pocierać kciuk. „Spokój daje przewagę”, mówił Kosoń. Wzięła głębszy oddech.

– A mogłaby pani jaśniej? To co było powodem, dla którego znalazła się pani w Szańcu?

– Powroty do przeszłości bywają i nostalgiczne, i ekscytujące. Ale nie planowałam wyprawy do dzieciństwa. Musiało być tak, że oglądałam strony poświęcone Warmii i Mazurom i potem, jakoś z powodu algorytmów, komputer mnie doprowadził do Karolewa. A dalej to już chęć przygody, tak jak mówiłam.

– Długo pani tu mieszkała?

– Do czasu, kiedy wyjechałam do liceum do Olsztyna. A później do Warszawy, do pracy, jako sekretarka.

– Kiedy wyjechała pani z Polski?

– Pod koniec lat osiemdziesiątych.

– Bo wyszła pani za mąż?

– Tak.

– A męża gdzie pani poznała?

– W Warszawie. Przyjechał na wycieczkę.

– Traf, można powiedzieć.

– Szczęśliwy przypadek.

– A, bo tego nie mamy. Jak się pani nazywała przed zamążpójściem?

– Mikołajczuk.

– Po ślubie przyjeżdżała pani do kraju?

– Rzadko. Kilka razy, z mężem. Wolę słońce, on oczywiście też. Czy już?...

– Tak. Na razie.

Farnese wstała. Znowu była na obcasach. I w eleganckiej sukience z gustownymi złotymi dodatkami.

„Jak na dziewczynę z Ignalina, nieźle...”, pomyślała Wiera.

– Dlaczego bierze pani mefedron?

– Głupie pytanie. Czy ja pytam, po co pani pracuje w policji? Jestem o coś oskarżona? – Rylska wyglądała gorzej – była bledsza i jakby chudsza, o ile to w ogóle było możliwe. Tabletki zostały w laboratorium, widać inaczej nie potrafiła sobie poprawić nastroju.

– Nie. Na razie nikt nie jest o nic oskarżony.

– Taaa, jasne. Czyli nic nie macie. A księżulo już gdzie indziej. – Wzniosła oczy do sufitu.

– Pani jest uprzedzona do Kościoła?

– Kościół to mi generalnie zwisa. I generalnie do niczego i nikogo nie jestem uprzedzona.

– Artykuł napisany?

– Częściowo. Czekam na finał. Bez względu na warunki, tekst musi powstać. Taka praca, jeść trzeba.

– O to jeszcze nie pytałam: jak się przedstawia pani stan majątkowy?

– Normalnie. – Rylska wzruszyła chudymi ramionami. Wiera zauważyła, że ma na plecach przechodzący na ramię tatuaż. Chyba smoka albo coś równie odrażającego, pokrytego łuską.

– To znaczy?

– Mieszkanie. Na kredyt. Samochód. Na kredyt. Ciuchy. Na kartę kredytową. Życie na pewnym poziomie kosztuje. Na kredyt.

Wiera udała, że nie widzi jej taksującego spojrzenia.

– Ma pani długi?

– A kto teraz nie ma? No, może ksiądz nie miał, ale on to inna parafia. O, to dobre, z tą parafią, wykorzystam. Zresztą do grobu pieniędzy nie zabiorę, to wydaję.

– Był taki czas, że próbowałem rzucić palenie. – Kosoń z lubością zaciągnął się papierosem. – Że człowiek zdrowszy, dłużej będzie żył... I co ja bym teraz z tą

długowiecznością i zdrowiem robił?

Czasem Wierze wydawało się, że ta gra między nimi jest jak awers i rewers: on wie, mimo że ona nie mówi, ona wie, bo on mówi, ale żadne z nich tego nie komentuje. „Znajomość introwertyków”.

– I jak? Coś nowego? – Kolejny raz się zaciągnął.

– Dereń to półsierota, matka zginęła nieszczęśliwie w Rzymie, złodziej ją pchnął nożem. To był wyjazd kościelny, dlatego teraz jej nie po drodze z Bogiem. Nigdy wcześniej tu nie była, w ogóle na Warmii i Mazurach. Farnese potwierdziła Ignalin, uczyła się w Olsztynie, w Warszawie była sekretarką, tam poznała męża. Rylska jest na jakimś zjeździe pomefedronowym, poza tym jest sobą, niestety. Chyba wszystko ma na kredyt, do tego nie ukrywa, że ma długi. A jak u szefa?

– Wolny i Madej to poznaniacy z urodzenia. Byli kiedyś w Mikołajkach pod namiotem, ze znajomymi z liceum. Przedstawiciele klasy średniej – wystarczająco kasy, mało problemów, czas na hobby i samorealizację. Kiepski materiał na przestępców. A, wyjaśniła się zagadka tego pokłutego stolika u Wolnego. Cyrklem sobie robił kółka na mapach, zaznaczając jakieś miejsca związane z drugą wojną światową. Herman powtórzył wszystko, co już o nim wiemy – o dzieciństwie w Kandytach, sierocińcu w Lidzbarku i adresie w Karolewie. Nie był tu od kilkunastu lat, mieszka sobie spokojnie w Płocku. Muzeum Secesji poleca, gdybyś miała ochotę.

– A skąd ten niemiecki potas?

– Mówi, że zrobił sobie wycieczkę na Dolny Śląsk i tam ze Zgorzelca do Goerlitz po moście sobie przeszedł i kupił w aptece.

– W Polsce chyba taniej?...

– „Nie zastanawiałem się nad tym”, tak odpowiedział, gdy go o to zapytałem. Może bardziej ufa niemieckiej jakości, a jako nawrócony Polak nie chce się do tego przyznać?

– Może. To jak z tą niemiecką chemią. – Wiera wzruszyła ramionami. Gdy trzeba było kupić coś innego niż ubranie, było jej w zasadzie wszystko jedno,

wyznacznikiem była cena. – A Zieliński?

– Zaraz z nim porozmawiam. Zostawiłem go na koniec. Wygląda, jakby się denerwował, czyli w sumie tak, jak wcześniej. Dobra, ja wracam do środka, a ty jedź.

„Jakby papież umarł”. Na wszystkich drzwiach kościoła klepsydry, w gablocie w sieni i przy zakrystii też. Dodatkowo przy wejściu do kościoła wystawiono stolik, na nim zdjęcie Hryciuka w żałobnej ramce. Na blacie paliło się kilkanaście świec. W korytarzu zakrystii dwa duże wieńce, z fioletowymi wstęgami i fioletowymi plastikowymi chryzantemami, zresztą zielone gałęzie też były sztuczne.

– Ładne, prawda? – To była ta sama zakonnica. – Do wiosny spokojnie poleżą. Niech ksiądz proboszcz wie, że parafianie o nim nie zapomnieli. – Złożyła ręce jak do modlitwy. – A pani znowu do księdza? Bo jest zajęty, wszyscy dziś jesteśmy.

– Tak. Sprawa formalna, drobiazg właściwie. Potrzebuję jeszcze kilku informacji o księdzu Hryciuku, o przebiegu jego eee... kariery zawodowej.

– O przebiegu posługi, tak? – Zakonnica była dziś przychylniej do niej nastawiona. Może ze względu na ogólny podniosły nastrój.

– Tak, to miałam na myśli.

– Ksiądz proboszcz to ma teraz mszę, ksiądz Tomasz pojechał na namaszczenie, nie wiem, kiedy wróci, a ksiądz...

– A może siostra by mogła?

– Nie, no ja nie mogę, to księża...

– Skoro wszyscy zajęci... To ważna sprawa, informacja potrzebna, żeby szybko zamknąć śledztwo. Niedobrze, jak śledztwo niezamknięte, prawda? – „Jezu, co ja pierdolę?” – Zresztą formalność, jak już mówiłam, siostra na pewno może mi pomóc. I odciążyć księży. Jutro taki ważny dzień.

Zakonnica patrzyła na nią zdziwiona, trochę jeszcze nieufna, ale chyba już gotowa jej pomóc.

– No dobrze – powiedziała powoli. – Jeśli tak to ma wyglądać. – Wyciągnęła z kieszeni habitu pęk kluczy. – Chodźmy.

Otworzyła pierwsze drzwi. Przeszły przez pokój, gdzie leżały dwa kolejne wieńce, tym razem chryzantemy miały kolor przejrzalej brzoskwini. Podeszła do drugich, wybrała kolejny klucz. Weszły do drugiego pomieszczenia. Siostra skierowała się do dużej szafy. Jej dół stanowiły zamknięte szafki, nadstawka – półki ze skoroszytami. Przez chwilę się zastanawiała, przesuając palec po literach naklejonych na tekturowe teczki. Zatrzymała się przy „H”. Wysunęła skoroszyt, zajrzała do niego, pokręciła głową.

– No gdzie to?... – powiedziała do siebie. – A, no tak! – Odwróciła się w stronę Wiery. – Przecież ksiądz proboszcz potrzebował, bo pisał tekst pożegnalny dla parafian, więc chciał sprawdzić, żeby błędu żadnego nie było, zwłaszcza przy takiej osobie. Czyli musi być gdzieś na biurku.

Podeszła do solidnego mebla, na którym panował nieład. Kilka zeszytów, jakieś teczki, notes. Kubek po herbacie, talerzyk z okruchami. Siostra złowiła jej spojrzenie.

– Gospościa rękę złamała. Jeszcze tydzień rehabilitacji ma. Teraz ja się zajmuję, ale tyle obowiązków...

– Oczywiście. To mamy gdzieś tu tę teczkę?

– Tak, zaraz, zaraz... – Zakonnica nachyliła się nad biurkiem. – O, no tutaj jest. Nie wiem, czy o to pani chodzi, tyle mam.

– Zaraz sprawdzę. Mogę sobie usiąść? – Wskazała krzesło przed biurkiem, dla petentów.

– Tak, oczywiście.

Wiera siadła i otworzyła teczkę. Siostra wciąż stała przy biurku. Niby nic jej nie robiła, ale ją krępowała.

– Siostró... Taki dziś ciężki dzień miałam. Mogłabym prosić o szklanek wody? Albo... – zawahała się chwilę – ...miętę czy rumianek?

„Z wodą za szybko jej pójdzie”, pomyślała.

– Pewnie. Zrobię.

Siostra wyszła, Wiera wyciągnęła zawartość teczeki.

Nie było tego dużo. Poczwała zawód. Kilka zdjęć – spojrzenie podobne, choć im starszy był Hryciuk, tym pewniej w obiektyw patrzył – kserówki jakichś dyplomów czy zaświadczeń z kościelnymi pieczęciami. Wynikało z nich, że Daniel Hryciuk skończył Wyższe Seminarium Duchowne w Olsztynie. „Zwoleński mówił”, przypomniała sobie rozmowę z kanclerzem kurii. Na pierwszą parafię trafił do Olecka, potem do Malborka, później do Ełku, skąd się przeniósł do Pałacu Archiprezbitera. To też już wiedzieli. Piął się powoli, ale skutecznie, aż do godności dziekana. Wzorcowa droga ambitnego kleryka. „A czego się spodziewałaś? Teczeki «Cherubina»?” Poczwała się rozgoryczona i zniechęcona. I jeszcze z tyłu głowy miała to postanowienie, że pojedzie dziś do matki. Czwała, jak rośnie w niej napięcie. Piwa by się napiła, nie rumianku. Przerzuciła kolejne kartki, nic ważnego, kościelna biurokracja. Na spodzie teczeki znalazła akt urodzenia. „Rzeczpospolita Polska. Ważne tylko w sprawach urzędowych. Zaświadczam, że Daniel Hryciuk urodził się dnia dwunastego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku w Karolewie z ojca Jana Hryciuka i matki Zofii Hryciuk”.

Wiera machinalnie wstała. Poczwała przyspieszony puls – zniechęcenie, matka – to jej przeszło. Tylko na to piwo ochota się wzmogła. „Kurwa, no przecież pamiętam, tak powiedział”. Sięgnęła do torby po notes, zaczęła nerwowo przewracać kartki. Był, Zwoleński, kanclerz kurii. „Rodzice, Lwów, akcja «Wisła», Olsztyn, dzieciństwo, seminarium”. Zrobiło się jej chłodno. Odtwarzała sobie w pamięci tę rozmowę. To, że oni byli ze Lwowa, nie znaczyło, że ich syn się tam urodził. Dlaczego tak sobie dopowiedziała? Zmyliło ją to, że był pierwszym katolikiem w rodzinie? Przeskok do Olsztyna, do dzieciństwa, a co pomiędzy, w tej dziurze? „Beznadziejna jesteś, Wiera, bez-na-dziej-na”. Poczwała, że ją mdli. Ze złości, zmęczenia. Czy to ma znaczenie? Musi zadzwonić do Kosonia, zapytać, co

nowego po rozmowie z Zielińskim. Co jeszcze przegapiła? Co jej umknęło?
„Spraw poważnych ci się zachciało, durna cipo”. Walnęła teczką w stół.

– Szczęść Boże! – Usłyszała zdziwiony głos.

Odwróciła się. W drzwiach stał proboszcz.

– Szczęść Boże – powtórzyła po nim. – Muchę chciałam zabić.

„Czy ty w czymkolwiek jesteś dobra?”, pomyślała z zażenowaniem o swoim kłamstwie.

– No tak, tak. W tym roku tną jak oszalałe. Gzy nawet, co bolesne. Siostra powiedziała, że jakieś dane naszego proboszcza potrzebne?...

– Tak. Dane właśnie. Mam akt urodzenia – starała się mówić spokojnie. – I jestem zdziwiona, bo mieliśmy informację, że ksiądz pochodził ze Lwowa.

– To prawda. To znaczy rodzice księdza proboszcza byli ze Lwowa, o tym mówił. Sprowadzili się tu chyba w czterdziestym szóstym, może siódmym, no, jak akcja „Wisła” była, jako przesiedleńcy. Ksiądz się tutaj, na polskich ziemiach, urodził. To znaczy na tych, co już się polskie po wojnie zrobiły. W Karolewie, no tak, dobrze zapamiętałem. – Podniósł akt urodzenia, wyciągnął etui z okularami. – Z tyłu nawet jest ich adres. Ładnie wykaligrafowany, ołówkiem. Proszę spojrzeć.

Wiera przejęła poźółkły papier. Rzeczywiście, z tyłu było napisane: „J. Z. Hryciuk, Karolewo 7”.

„Karolewo 7”.

Ten sam adres podał Tomasz Herman.

ROZDZIAŁ 27

– Szefie, to pewne niedopatrzenie. To znaczy moje niedopatrzenie. Zasugerowałam się rozmową z tym Zwoleńskim z kurii, że Lwów, Olsztyn, no nie wiem, po prostu dałam du... ciała dałam. Przepraszam. A tu się okazuje, że Hryciuk urodził się w Karolewie. Rozumie szef? W Ka-ro-le-wie! A mieszkali, znaczy on i jego rodzice, w budynku numer siedem. Tym samym co Herman.

Wiera wywaliła to z siebie od razu, na jednym wydechu. Prowadziła auto i co chwilę zerknęła na swoje udo, gdzie położyła komórkę. W tej pozycji najlepiej było słyszeć Kosonia, choć akurat nie teraz, bo milczał.

– Szefie?... – Była zdenerwowana. Nie spodziewała się jakiejś strasznej awantury, to nie w jego stylu, pewnie nawet klasyczny opierdół ją ominie, ale po prostu było jej głupio.

– Marcin Zieliński był na koloniach w Malborku. Wyjazd zorganizowała parafia – powiedział spokojnie Kosoń, pomijając jej kajanie się i rewelacje o Karolewie.

– Kiedy? – zapytała szczerze zaskoczona. – Hryciuk księżował przecież na parafii w Malborku.

– Miał jedenaście lat.

– Czyli to było pod koniec lat osiemdziesiątych, a Hryciuk zjawił się w Ełku w dziewięćdziesiątym drugim... – W głowie jej dudniło. – Istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że oni...

– Pewność istnieje, w tym przypadku akurat pewność. Zieliński przyznał, że znał wcześniej Hryciuka.

Wiera zacisnęła ręce na kierownicy. Te obrazki zaczęły się za szybko zmieniać, jak w kalejdoskopie, który da się do ręki zbyt żywiołowemu czterolatki. Zobaczyła zjazd w leśną drogę.

– Szefie, chwilę.

Włączyła kierunkowskaz i skręciła w prawo. Przeturlała się kawałek przez nierówną drogę, przekręciła kluczyk w stacyjce, odpięła pas. Wzięła komórkę do ręki i wysiadła.

– Nie przyznał się wcześniej, bo...

– Tak jak przypuszczałaś. Lepkie łapy, gorący język, sapanie, zabawa w doktora. Szczegółów nie znam, na tym etapie zresztą to nieistotne. Może zresztą w ogóle już nieistotne. Z prawnego punktu widzenia przynajmniej.

„Lepkie łapy, gorący język, sapanie”. W lesie było duszno, żywiczny zapach poszycia wdzierał się do nosa i gardła, otumaniał. „Nie pada chyba już od miesiąca”, pomyślała. „Lepkie łapy, gorący język, sapanie”. Oparła się o gruby pień sosny.

– Nie potrafił się z tego otrząsnąć, nikomu nigdy o tym nie powiedział, dopiero niedawno na terapii – ciągnął Kosoń. – Stwierdził, że nie sądził, że kiedykolwiek spotka swojego oprawcę. Że był w szoku, kiedy go zobaczył w Szańcu i rozpoznał. I że to rozpoznanie nastąpiło tylko w jedną stronę – Hryciuk go nie skojarzył. „Ja mu się nie śniłem w koszmarach co noc, on mnie – tak”.

– Pytał go szef, czy...

– Zaprzeczył, gwałtownie. Nie potrafił też sensownie wytłumaczyć, co robił, kiedy się zwinął z jadalni. Przed dwiema godzinami dostałem zgodę na zabranie jego komórki i laptopa. Przywiózł laptop do Szańca. Miał go w bagażniku, bo „zawsze go ze sobą wozi”.

– Pewnie wszystko poczyścił, nawet jeśli coś tam było.

– Zobaczymy, chłopcy już go oglądają.

Wiera przez chwilę milczała. Próbowwała poukładać sobie te nowe puzzle w wyraźniejszy obrazek.

– Szefie, a to, że Hryciuk się urodził w Karolewie? Że mieszkali pod siódemką, jak Herman? Nie wiem, czy w tym samym czasie, ale to dziwne, nie?

– Gdzie jesteś?

– W lesie. Przed Berkowem.

– Czekam w firmie. Jest też Marysia, ustalimy, co dalej.

Wiera wsiadła do auta. Włączyła silnik i wyjechała na główną drogę.

Najpierw nie mieli nic, a teraz, powoli, zaczęły im wpadać pod nogi kamyki faktów. Mogą się zacząć o nie potykać. „Co jest najważniejsze?”, myślała, jadąc powoli. Zbieżność miejsca urodzenia i zamieszkania Hermana i Hryciuka, mimo że nic z tego jeszcze nie wynika? Zieliński, który już im się poddał i jeszcze miał dziwny epizod zniknięcia podczas przesłuchań? Kosoń mówi, żeby zawsze wychodzić od ofiary. O Hryciuku też już trochę wiedzą. Pedofil, to pewne, Przyzwan miała nosa. Cherubin z SB. Raz czarny, raz biały, zależy, kto o nim mówi. Wiera wiedziała, domyślała się raczej, jak może wyglądać krycie przestępcy. Jeśli się ma za sobą szerokie plecy, dużo uchodzi na sucho. Że Kościół dba o to, by grzechy księży nie ujrzały światła dziennego – to jasne. Ale tu by samo wsparcie Kościoła nie wystarczyło. Przecież jeśli Hryciuk był pedofilem, to się na jednym Zielińskim nie skończyło, na pewno. A skoro tak, skoro używał sobie bezkarnie, to krycie musiało być także z drugiej, świeckiej strony. Może na przykład ze strony Lubienia? Ale tak za nic? No nie, na pewno nie. Bycie razem w jednej firmie, jak to Rubert powiedział, na pewno by nie wystarczyło. Kasa? Tak, to zawsze działa. Chyba że... „Morderstwa, co do których były wątpliwości podczas śledztwa, i ostatecznie sprawcy nie wykryto. Sprawy bardziej finezyjne niż rozplątanie czaszki na dzwonka siekierą. W skali kraju? Nie, województwa”.

Wiera zahamowała. Nic za nią nie jechało, więc wrzuciła wsteczny. „Ile by to było punktów karnych?”, pomyślała, ale nienachalnie. Jeszcze trochę do tyłu, a potem wzięła ostry skręt w prawo. I zamiast dojechać do Zelków, skąd dalej do

Giżycka, wcisnęła gaz i pomknęła w kierunku Starych Juch, do starego komendanta.

– Z tych poszlak oskarżenia jeszcze nie będzie. Ręce po łokcie w gównie, ale to poboczny smród. Na razie. – Przyzwan chodziła po pokoju. – Coś się ruszyło, i super, ale musicie się teraz spiąć i zobaczyć, co w tym szambie leży na dnie. – Pani prokurator była dzisiaj w fekalicznym nastroju. – Kiedy technicy będą wiedzieli, gdzie Zieliński grzebał w sieci?

– Pewnie jutro po południu. – Kosoń siedział przy swoim biurku i zapalką czyścił klawiaturę.

– Jutro po południu to grzebiemy Hryciuka. Też idę. Ciekawe, co przy okazji tych grzebań odkryjemy. Lubię pogrzeby. – Przystanąła. – Sporo mówią o ludziach, znaczy tych żywych. Dobra, to mamy Zielińskiego, którego Hryciuk molestował trzydzieści lat temu, Hermana, który mieszkał pod tym samym adresem co Hryciuk, być może w tym samym czasie, i coś jeszcze?...

– Rozmawiałem z Remkiem. – Kosoń dmuchnął w klawiaturę i odłożył zapalkę. Spojrzał na Przyzwan. – Mówił, że wszyscy zachowują się „w miarę normalnie”, tyle że się pogrupowali. To znaczy Dereń i Ryłska są pojedynczo, Wolny z Madejem, a Farnese, Herman i Zieliński razem – przeczytał z notesu.

– A jeśli... a jeśli to jakoś powiązane, to znaczy Herman z Zielińskim? Oni jakoś razem? – rozważała nieśmiało i prawie szeptem Wiera.

– Ale że razem go zabili? A gdzie masz wspólny mianownik? – Przyzwan popatrzyła na nią. Z uwagą. – Pani sierżant potencjometr się popsuł?

– Nie, nie. Po prostu czuję, że to dziwne. To znaczy nie wierzę w przypadek, że Zieliński akurat na takich dziwnych wakacjach wśród siedmiu osób spotyka swojego dawnego oprawcę. Nawet gdyby, to na pewno by stracił nad sobą panowanie, wybuchł, zrobił aferę, zwinął się stamtąd, a nie spędzał całe dnie w jego towarzystwie. No to jest po prostu psychologicznie niemożliwe.

– Katalog rzeczy psychologicznie niemożliwych, a jednak zaistniałych, poszerza się z wiekiem. – Przyzwan sięgnęła po pudełko zapalek leżące na biurku. – To wcale nie jest takie oczywiste. Zieliński mógłby się wycofać, znowu się stać tym małym chłopcem, który siedzi jak mysz pod miotłą, bo się boi. Wiek nie zmienia ludzi z automatu. Ile przepracujesz, tyle masz.

– Szef powiedział, że on chodzi na terapię.

– Terapię, terapię – powtórzyła Przyzwan z wyraźną irytacją. – Obiecał terapeutce, że nie rozwali łba swojemu oprawcy? Kanalizowanie gniewu, przepracowywanie traumy i inne bzdety. Ale, ale... Pamiętasz, Janusz, była taka sprawa ostatnio, o oszustwo. I przy okazji wyszło, że kobieta, która miała swój salon wróżbiarski w Mrągowie, w Kętrzynie przyjmowała jako terapeutka. A z wykształcenia jest technikiem ogrodnictwa. Każdy może zostać terapeutą, to wolnoamerykanka. No i jaki powód do morderstwa miałyby Herman? Przypomnij dokładnie, co my o nim wiemy.

Wiera wyjęła swój notes.

– Urodził się w Kandytach, w czterdziestym piątym, w czterdziestym szóstym jego rodzice zmarli, a on trafił do sierocińca w Lidzbarku na dwa lata. Stamtąd zabrała go ciotka i wywiozła do Niemiec.

– Hryciuk urodził się w czterdziestym szóstym. Nie wiadomo, czy ich pobyty w Karolewie się zazębiły, jeśli to w ogóle ma jakieś znaczenie. – Przyzwan była sceptyczna. – No i dzieci w wieku żłobkowym chyba nie biorą się tak za łby, żeby łaknąć zemsty przez kolejne kilkadziesiąt lat.

– W Zakopanem w zeszłym roku patrol pojechał do dwulatków, którzy się pobili. – Kosoń delikatnie bujał się na krześle.

– Jaja se robisz? – zapytała Przyzwan.

– Nie, w prasie czytałem.

– W sumie... – Przyzwan też usiadła. Zsunęła pod stołem szpilki. – Zakopane to chyba jedyna gmina w Polsce, która nie podpisała ustawy antyprzemocowej.

Można powiedzieć, że bójki w piaskownicy to element przygotowania do życia w rodzinie.

– Przemoc domowa jest wszędzie, w całej Polsce. – Wiera musiała to powiedzieć. No po prostu musiała.

– Jest, pewnie, że jest. Taki mamy naród. Facetom wciąż się wydaje, że są udziałowymi książętami. Nad nimi mogą zapanować tylko biologia albo władza. No a władza... Tam, gdzie dwa takie nieszczęścia się trafią, plus celibatariusze do kompletu, kobiety mają przerabane. – Machnęła ręką.

– *À propos* kompletów... – Wiera się zawahała. – Rozmawiałam z Jerzym Rubertem.

– Wiem, Janusz mówił.

– Ale jeszcze raz, dziś.

Kosoń spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

– Kiedy jechałam tu z Ełku. Bo to tylko kawałek odbić i już.

„Jezu, no po co ty się wiecznie tłumaczysz?”

– Pomyślałam sobie, że skoro Hryciuk był pedofilem, to przecież nie jednorazowo, to się ciągnie latami. I że ktoś musiał o tym wiedzieć. I jeszcze więcej – ktoś mu pewnie w tym pomagał. To znaczy w utrzymaniu tajemnicy albo w ewentualnym tuszowaniu, jak się nie udało. Natchnęło mnie to, że pani prokurator mówiła o podobnych powiązanych sprawach... – Wiera zawiesiła głos.

Maria Przyzwan patrzyła na nią badawczo, ale milczała.

– Co ci powiedział Jurek? – Kosoń pominął ten przydługi wstęp.

– Że dostali kiedyś donos. Na Lubienia. „Wstrętny pederasta”. Pod koniec lat osiemdziesiątych to jeszcze było.

– Niech zgadnę – w notesie to miał? – Przyzwan stanęła przed Wierą.

Policjantka kiwnęła głową.

– Tam to dopiero szambo. Aż dziwne, że ktoś mu jeszcze tego notesu nie zwinął. Czyli według starego była jakaś grupa. – Przyzwan pokiwała głową.

– Tak. Powiedział, że o Cherubinie, znaczy Hryciuku, nie wiedział. Ale że Lubień ma takie skłonności – to tak. I że wcześniej mu się wydawało, że to Kościół Lubienia chroni, zwłaszcza teraz, jak on po prawej stronie. A wychodzi na to, że to był jakiś klub.

– Klub pedofilów. – Przyzwan wyciągnęła papierosa z paczki, ale go nie odpalała, tylko międziła w palcach. – I ofiar na pewno było więcej niż Zieliński, bo więcej było pedofilów. Rozmawiałam z Januszem o tym księdzu z Reszla. Początkowo to jeszcze nie budziło moich wątpliwość. To znaczy nie budziło takich wątpliwości. Szedł poboczem, zmierzchało się, ktoś go potrącił. Mało takich wypadków w kraju? Ludzie łążą ubrani na ciemno, ten to w ogóle był czarny, to i dobry kierowca może nie zauważyć. Pomyślałam, że sprawa nie nabiera rozpędu, bo wina była po stronie księdza – nawalony wracał i pech się stał. Głupio by było ujawniać, że opijus. Potem jednak wyszło na jaw, że dowody „się zgubiły”. I to komu się zgubiły – mojemu byłemu mężowi. Był chwilę przed awansem, nie opuszczał żadnych imprez patriotyczno-kościelno-okolicznościowych, w lewej klapie miał wpiętą Matkę Boską, w prawej – małego wodza. I on by zwalił taką sprawę z niewinnie rozjechanym księdzem? Badanie krwi zawsze da się zafałszować, wyszłoby, że ksiądz pił tylko mineralkę, a winnego by skazano. Chyba że... – Zamilkła i spojrzała na Wierę.

– Chyba że... – powtórzyła Wiera – ...był ważniejszy powód, żeby to śledztwo utopić.

Przyzwan pokiwała głową.

– Wtedy jeszcze nie skumałam, o co chodzi. Obstawiałam, że ten, co księdza rozjechał, był wyżej w hierarchii. Może sędzia, może prokurator, może jakiś polityk. Sprawa trafiła na półkę, jako nierozwiązana. To było trzy lata temu, a ponad rok temu mój eksmężus – Przyzwan jakby smakowała to słowo – awansował z Olsztyna do ministerstwa. Przymioty intelektualne rzadko decydują o takich awansach, osiągnięcia zawodowe też, ale ta obsada była zupełnie nie po warunkach. Zwłaszcza że po księdzu zdarzył się jeszcze jeden niewyjaśniony wypadek. Już wcześniej czułam, że coś tu śmierdzi, że to jakaś grubsza sprawa, ale

nie potrafiłam tego ugryźć, znaleźć wspólnego mianownika. Przewaliłam akta spraw, którymi zajmował się Żebro. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent to czyściutkie, gładziutkie karty. Ale... Pół roku po księdzu zginął w wypadku Rządkowski. Kolega Żebry jeszcze z liceum, potem razem studiowali. Rządkowski wybrał ścieżkę prokuratorską. Żal, bo zły sędzia lepszy od złego prokuratora, a on był cieniem, brakowało mu talentu, ikry, wszystkiego – prócz kontaktów. I ten ustawiony Rządkowski, jadąc z Warszawy do Olsztyna, po drodze malowniczo się roztrzaskał, bo nie zadziałał układ hamulcowy. Kowalskiemu może nie zadziałać, klepane gruchoty z Niemiec to metalowe trumny na łysych oponach, ale on jechał samochodem, który pół roku wcześniej odebrał z salonu. I co tym razem? Nieszczęśliwy wypadek, brak udziału osób trzecich. Nikt nie dociekał, Żebro szybko zamknął sprawę. A potem – myk! – on też w ministerialne pokoje.

– Myślisz, że oni wszyscy są, byli z... tego klubu? – zapytał Kosoń.

– Żadnych dowodów, silna intuicja. To ludzie, którzy zawsze dyszą chęcią zemsty, spod ziemi by wyciągnęli winnego, chyba że winny ma na nich haka.

– Jezu, ile tego gówna! – Wiera nerwowo przeczesła ręką włosy.

Przyzwan kiwnęła głową.

– A teraz trzeba w tym gównie pogrzebać. Umówię się na kurtuazyjną rozmowę z czarnymi.

– Z kurią? – zapytała Wiera.

– E! Z kurią, nie! – Machnęła ręką Przyzwan. – Z biskupem.

– Stromo – skwitował z uznaniem Kosoń.

– Niekoniecznie. Oni na pewno chcą wiedzieć, co już mamy. Jeśli kryli Hryciuka, to boją się, że się do tego dogrzebiemy. A jeżeli moje podejrzenia co do klubu są prawdziwe, to na pewno i w ich wesołym kółku różańcowym są klubowicze. Myślę, że czekają na nasz ruch. Nie ufają do końca temu, co opowiadają im Król i wojewódzka, chcą mieć info z pierwszej ręki. – Przyzwan wciąż przesuwała papieros w palcach. Był już mocno pogięty. – Dobra, a co z tym Hermanem? – Spojrzała na Wierę.

– Herman powiedział jeszcze, że jego ojciec zginął w wypadku, a matka popełniła samobójstwo. – Wiera wróciła do głównego wątku.

– Lata tużpowojenne to nie była bajka. Ludzi wypędzali z ich domów i przeganiali na nowe miejsca, z których wyrzucali dotychczasowych mieszkańców. Różne rzeczy się działy... Na mapie to wygląda super – tu odcinamy, tam dokładamy, ludzi przestawiamy jak pionki i się kręci. A w praktyce...

– Właśnie. Hryciukowie przyjechali jako przesiedleńcy ze Wschodu, a Hermanowie mieszkali tutaj, ale powinni byli się wynieść gdzieś na Zachód. – Może... – urwała. To, co powiedział jej Rubert, i to, co dopowiedziała Przyzwan, to była petarda. Herman – na razie był kapiszonem. Ale czuła, że coś w tym jest, że to nie przypadek. Tyle miała – przecucia i ogromną chęć, by się wykazać w tym śledztwie. Poza, oczywiście, szczytnym celem, aby sprawiedliwości stało się zadość.

– Herman był w Lidzbarku, w tym sierocińcu – dodał Kosoń. – To dość daleko od Karolewa.

„Mógł być w Górowie Iławeckim”, przypomniało się Wierze. „Dlaczego wylądował dużo dalej?”

Przyzwan wciąż patrzyła na Wierę.

– Ale sierżant Jezierska czuje imperatyw, żeby pojechać i samej sprawdzić. Ten sierociniec to jeszcze działa?

Wiera kiwnęła głową. Może prokuratorka chciała dać jej ten ochłap, bo sama z Kosoniem zajmie się głównym, poważnym wątkiem, a może jednak traktowała ją serio?

– O, już nawet zaczęła sprawdzać. A mówią, że młodym się teraz nic nie chce. Jedź jutro rano, tylko nie spóźnij się na pogrzeb. Zaczyna się o pierwszej, warto być z godzinę wcześniej, porozglądać się. Dobra, czas na odpoczynek, ósma dochodzi.

Minęła północ, a Wiera wciąż nie spała. Gapiła się w sufit, w niezastłonięte okno, przez które widziała sąsiedni budynek i żółte światło latarni. W ciągu dnia najchętniej by zaciągała zasłony, żeby się odciąć, nie patrzeć na to ponure otoczenie, ale w nocy nie lubiła mroku. Nocą przychodziły do niej lęki i wspomnienia. Niechciane myśli, od których trudniej uciec. Na przykład te o matce. Znowu nie pojechała. Było za późno, była zmęczona, jutro musi wcześniej wstać. Po kolacji sprawdziła, kiedy ostatni raz pojawiła się w Zielonej Dolinie. Dziewiętnastego lipca. Ponad miesiąc temu.

Nie lubiła tego miejsca. Obiektywnie nie było złe, można przecież trafić do jakiejś przechowalni prowadzonej przez NFZ, gdzie nikomu na niczym nie zależy. Ostatni etap korzystania z państwowych świadczeń zdrowotnych. O ile wcześniej człowiek ma siłę walczyć z systemem, broni się, posiłkując się prywatnymi wizytami, o tyle tu, stary, słaby i bezwolny, daje się wciągnąć tej maszynie i przemielić.

Nie, siostry dbały o czystość, o ciszę, a nawet o uśmiech. U sióstr się nie umierało, u sióstr się szło do domu Pana.

Matka nie wiedziała, dokąd idzie. Nie wiedziała nawet, gdzie jest. Była bezradna i zagubiona. W sumie całe życie taka była. I chyba to Wierę tak drażniło, że nigdy, nawet wtedy, gdy ojciec już umarł, matce nie udało się pewniej stanąć na nogach. Ona tego po prostu nie chciała, zawsze się gdzieś, za coś chowała. Teraz za demencję.

Nie poznawała Wiery. Za każdym razem było tak samo. Najpierw nieufna, potem się trochę przysuwała na kanapie, by na koniec głaskać ją po twarzy. „Pani jest ładna, pani jest młoda”, powtarzała, patrząc na swoją córkę. „Ma pani dzieci? Córeczki lepiej nie mieć, córeczkom jest trudniej”. Przystawała się uśmiechać, posępniała, zaczynała się złościć.

„Delikatniej trzeba. Może częściej przyjeżdżać”, mówiły wtedy siostry. Niby zatroskane i miłe, ale co tam siedziało w ich głowach...

Wiera czuła się wtedy winna. Znowu winna, przez całe, kurwa, życie winna. Że się urodziła, że patrzyła, że nic z tym nie zrobiła, że nienawidziła ojca, że nie odwiedza matki, że relacje z siostrą ma do dupy.

Nie chciała się czuć winna jako policjantka. Chciała przesuwać ten cholerny świat w stronę dobra.

Zasnęła, kiedy było już jasno.

ROZDZIAŁ 28

„Chuj wam w dupy”. Napis wyglądał okropnie, chociaż trochę odwracał uwagę od łososiowo-żółto-seledynowego koloru bloku.

„To powinno być karalne”, pomyślała Wiera. I mazanie sprejem, i takie rewitalizacje.

Lidzbark był kiedyś pięknym miastem, widziała to na zdjęciach w Internecie. Widziała też fotografie z lat pięćdziesiątych. Wojna zrobiła swoje. Nowe, które przyszło po wojnie, dołożyło kolejną cegiełkę. Dlatego teraz w centrum stały nijakie bloki, przemieszane z całkiem ładnymi kamienicami. „Dobrze, że choć drzew nie wycięli”, pomyślała. Z tymi drzewami to w ogóle była ostatnio jakaś masakra. Piły rznąły na potęgę; co o narodzie mówi taka nienawiść do przyrody?...

Zaparkowała przed Wysoką Bramą. Sierociniec był po drugiej stronie, ale chciała się przejść. Miała za sobą długą noc i krótki sen, a w perspektywie ciężki dzień.

Duży budynek z czerwonej cegły, ładnie obrośnięty winem, był dobrze utrzymany. Nie zniszczyła go wojna, nie pokonał PRL ani III Rzeczpospolita. Miły obraz psuła czerwona tabliczka z napisem „Dom Dziecka”.

Była umówiona na dziewiątą rano. Na zegarku miała ósmą pięćdziesiąt osiem.

Weszła po betonowych schodach, nacisnęła dzwonek domofonu.

– Wiera Jezierska, do Joanny Szar.

– Dzień dobry. Parter, pokój numer pięć, na lewo.

Blokada puściła.

Joanna Szar była w wieku Wiery. Miała długie blond włosy i była ubrana na pastelowo.

– Dzień dobry, czekałam na panią. – Podała jej ciepłą dłoń.

– Ładnie tutaj.

Ściany też były jasne, czyste, w kolorowych ramkach zdjęcia dzieci.

– Dziękuję. Staramy się. Jeszcze trochę przed nami, ale sporo już się udało zrobić.

– Od dawna pani tu jest?

– Od dwóch lat. Dużo i niedużo zarazem. Mnóstwo pracy już włożyliśmy, ale...

– Pokiwała głową.

– Dom dziecka był zapuszczony?

– To pani nie wie?

Wiera pokręciła głową.

– To była dość głośna sprawa. Zresztą nadal się toczy. Poprzednia dyrektorka, która była tu prawie dwadzieścia lat, została usunięta z powodu „nikczemnych metod wychowawczych”, czyli na przykład wylewała dzieciom pomyje na głowy albo przywiązywała je do kaloryfera.

Wierze ścisnął się żołądek. „Wszyscy dorośli powinni przechodzić badania psychiatryczne, zanim pozwoli im się na kontakt z dziećmi. Rodziców też to powinno objąć”.

– Sprawa się toczy, ale powoli. Dla mnie najważniejsze było przywrócenie dzieciom spokoju i wiary w dorosłych. Liczę oczywiście na szybki i sprawiedliwy wyrok, ale pani sierżant sama wie...

„Do Mnie należy pomsta”, pomyślała Wiera. Ta przez małe „m” wciąż kulała.

– Napije się pani herbaty? Wstawię wodę i zacznę opowiadać.

Wiera pokiwała głową. Przypomniał się jej zapach kwasu chlebowego. Trudno, może być i teina.

Dyrektorka podeszła do stolika pod ścianą i włączyła czajnik elektryczny.

– Sierociniec działa w tym miejscu od dziewiętnastego wieku. Przeglądałam papiery dawnego Kuratorium Okręgu Szkolnego Mazurskiego, któremu podlegały wszystkie szkoły i placówki opiekuńcze. Był w nich protokół z lidzbarskiego sierocińca z września czterdziestego piątego roku, z imionami i nazwiskami wychowanków placówki. Były też kopie wcześniejszych list, po niemiecku. W styczniu czterdziestego szóstego roku dom dziecka przeszedł pod opiekę państwa polskiego. To wtedy spolszczono imiona i nazwiska wszystkich wychowanków. Panią interesuje czterdziesty szósty, prawda? – zapytała, odwracając się w stronę Wiery.

– Tak. Czterdziesty szósty. Podałam pani nazwisko Tomasza Hermana. To było niemieckie dziecko. Wróciło do niemieckiej rodziny, do ciotki, tylko dwa lata później. W sumie to nie wiem, dlaczego tyle to trwało.

– To nie były proste sprawy. Zieloną czy czarną? – W obu dłoniach trzymała pudełka z herbatami.

– Czarną. Z cukrem. Poproszę.

– Zorganizowana akcja wysiedlenia ludności niemieckiej trwała od połowy czterdziestego szóstego roku. – Dyrektorka postawiła przed Wierą kubek. – Władze polskie obawiały się, że wraz z transportami ludności niemieckiej granice Polski opuszczą dzieci pochodzenia polskiego, które wychowywały się podczas drugiej wojny światowej w niemieckich rodzinach. – Wróciła ze swoim. Piła zieloną herbatę.

„Poukładani i ładni zawsze piją zieloną”, pomyślała Wiera.

– Dlatego Urząd Wojewódzki zalecał specjalną procedurę postępowania wobec wysiedlanych Niemców. Wymagano od nich przedstawienia metryk urodzenia dzieci lub innych dokumentów, na podstawie których można było potwierdzić ich pochodzenie. W sytuacji, gdy pojawiły się jakiegokolwiek wątpliwości co do tożsamości dzieci lub stwierdzono ich polskie pochodzenie, należało wyłączyć je z transportu i przekazać pod kuratelę władz szkolnych lub opieki społecznej, jeśli dziecko nie przekroczyło trzeciego roku życia.

– Tomasz Herman był mały, miał około roku. I oboje jego rodzice nie żyli.

– Jeśli ta ciotka zabrała go po dwóch latach, to pewnie dlatego, że albo mieszkała gdzie indziej, albo już wcześniej została wysiedlona. To się mogło tak ciągnąć, niczego podejrzanego bym w tym nie widziała.

– A dlaczego Tomasz Herman został umieszczony tu, w Lidzbarku, skoro dużo bliżej był dom dziecka w Górowie Iławeckim?

– Trudno powiedzieć. Co do zasady, to wybierano najbliższą placówkę, ale może akurat była przepełniona? Może w Lidzbarku był ktoś, kto odwiedzał dziecko? Różne mogły być powody, teraz już nie do ustalenia.

– A czy tutaj, na miejscu, zostały jakieś dokumenty, materiały z tamtego czasu?

Wiera dosypała sobie jeszcze jedną łyżkę cukru. „Mózg potrzebuje glukozy”, powtarzała im nauczycielka biologii w liceum, której mózg musiał mieć wyjątkowo duże wymagania, bo właściwie zalewała cukiernicę herbatą.

– Nie. – Pokręciła głową dyrektorka.

– To dziwne, bo Tomasz Herman powiedział, że dostał materiały od dyrektorki tej placówki. – Wiera była pewna, że dobrze zapamiętała tę informację.

– Jeśli to było dawno, dawniej, to wszystko jest możliwe. Jakies papiery tu się jeszcze walały w różnych miejscach, kiedy ja przyszłam. Wszystko, co miało znaczenie archiwalne, przekazałam do Olsztyna, żeby zostało skatalogowane. Możliwe, że poprzednia dyrektorka znalazła coś na miejscu, może poprosiła o tę informację w archiwum, może jeszcze inaczej. Wczoraj późnym popołudniem, po pani telefonie, poszłam na strych, gdzie są pudła z pamiątkami z tamtych lat. Nikt się tym specjalnie nie zajmował, po prostu na początku pracy tutaj je przejrzałam. Tam nie ma żadnych dokumentów, są tylko zdjęcia. Albumy, takie propagandowe, robione co roku, żeby pokazać, jak władza się troszczy o najmłodszych osieroconych obywateli, w stylu kraina mlekiem i miodem płynąca, jakieś dyplomy od sekretarzy za zasługi i inne świadectwa epoki, ale jest też dużo nieskatalogowanego materiału, czyli fotografie wrzucone luzem do pudeł... A może ja panią oprowadzę? Pokażę sale, ogród, a potem te zdjęcia i to, co mamy?

– Dużo ich jest?

– Kilka pudeł, czyli parę godzin przeglądania.

„Kurwa. A co myślałaś? Że jakiś przydatny dowodzik będzie na ciebie czekał na talerzyku deserowym w różyczki?”

– Dziś nie dam rady, muszę być na dwunastą w Olsztynie. I niestety nie w archiwum. Mam prośbę. – Na karteczce samoprzylepnej leżącej na biurku napisała „Tomasz Herman” i swój numer telefonu. – Gdyby gdziekolwiek zobaczyła pani to nazwisko, proszę dać mi znać.

W drodze do auta wybrała numer do archiwum. W sekcji kwerend obiecali przygotować materiały na poniedziałek rano.

– Też bym chciała mieć wolne weekendy – mruknęła do siebie, gdy już się rozłączyła.

„Akurat. Wcale byś nie chciała”.

Głos w głowie jak zawsze był szczery.

– Pan nasz wezwał brata naszego, by po tamtej stronie kontynuował czynienie dobra.

„Zaraz się porzygam”. Wierze zrobiło się niedobrze. Wieńce, świece, tłum ludzi, czerń, biel, purpura, dobry Pan, dobry brat, dobry pasterz, dobre życie. „Wszystko, kurwa, dobre. A zło gdzie? Tuż za progiem Kościoła”.

Wyobraziła sobie rozkładające się ciało Hryciuka. Tak samo wyobrażała sobie ojca. Szukała wtedy w bibliotece odpowiednich książek, żeby mieć pewność co do kolejnych etapów rozpadu, ale w szkolnej niczego takiego nie mieli, a w pracowni komputerowej zawsze ktoś był i gapił się zza jej pleców na ekran. Już w Szczytnie przekonała się, że intuicję miała dobrą. W Szczytnie także zdarzył się jej pierwszy kryzys, który objawił się napadem lęku. Wydawało się jej, że spada w przepaść,

w otchłań, która wysysa powietrze z jej płuc. Że się dusi i umiera. Sama to sobie rozkminiła – tyle napięcia i stresu, od lat nieznajdujące ujścia. Gdyby się jednak zwierzyła policyjnemu psychologowi... *No way*, wykorzystaliby to przeciwko niej. Teraz było już lepiej. Trochę lepiej, ale pracowała nad sobą – nad wspomnieniami, nad wybuchami złości, nad irytacją i motywacją.

– Nasz brat, Daniel Hryciuk, całe swoje dorosłe życie poświęcił Kościołowi i swoim współpracownikom i siostrze. Każdy, kto wstępuje do stanu kapłańskiego, czyni ze swojego życia prywatnego ofiarę. Ale to ofiara na rzecz czegoś większego, czegoś wspaniałego. Cały Kościół, wy, drodzy bracia i drogie siostry, stajecie się wtedy rodziną. I tak było w przypadku księdza dziekana Daniela Hryciuka, o czym świadczą wasza liczna dzisiejsza obecność. Serce się raduje, widząc te tłumy.

Wiera się rozejrzała. Tu, gdzie stała, czyli w bocznej nawie, byli zwyczajni ludzie, parafianie. Zainteresowani bardziej niż zawsze, ale atmosfera pogrzebów, zwłaszcza jeśli nadaje się im elegancką i podniosłą oprawę, zawsze tak działa na ludzi. Z przodu stali księża w różnych kolorach szat, garnitury i garsonki z urzędu. Kosonia i Przyzwan nie widziała.

Poczuła wibrowanie telefonu. Esemes od Kosonia. „Czekaj przy samochodzie M.”.

– Nawet podczas takiej chwili... – Usłyszała jakiś głos z boku. Obejrzała się. Zdegustowana siedemdziesięciolatka taksowała ją wzrokiem. – Zmarłego żegnamy, szacunek trzeba okazać.

– Okazuję – odburknęła. „Adekwatny”, dodała w myślach.

Dostała w swoim kącie do końca mszy, zastanawiając się, jak Anka jest w stanie znosić takie nudy na co dzień. O ile Wiera czuła jakąś magię w pustym kościele, o tyle podczas kazań męczyła się strasznie. Chociaż i ta magia po ostatnich dniach jakoś słabła.

Z trudem przepchała się z tłumem do wyjścia. Tłum to jednak była masa nie do opanowania. Nawet gdyby nie chciała wyjść, to i tak by ją poniósł.

Z ulgą wciągnęła powietrze. Katedra w Olsztynie była ładna, a teren wokół niej piękny. Zadrzewiony, z kojącą oko zielenią i cieniem. Tak, Olsztyn był okej. Hryciuk dobrze wybrał. Z Szańcem jednak źle obstawił.

Samochód Przyzwan znalazła bez trudu. Od kilku lat w Polsce dominowały bure kolory aut: czarne, szare, srebrne, ewentualnie białe. Prokuratorka jeździła żółtym.

– Cześć. – Kosoń już tam był. – I jak w Lidzbarku?

– Miła dyrektorka, ale po szczegóły odsyła do archiwum tutaj. Ma jakieś zdjęcia, kilka pudeł, ale nieprzejrzane. Ponoć tam wcześniej jakaś psycholka pracowała z dziećmi i dyrektorka teraz nimi się przede wszystkim zajmuje, żeby to jakoś naprawić.

– Coś chyba było, rzeczywiście. Takie placówki to dla niektórych zaproszenie do patologii.

– W domach zastępczych też gwarancji nie ma.

– Dzieci w ogóle powinny być towarem reglamentowanym, dla wybranych. Do archiwum kiedy jedziesz?

– W poniedziałek. Zamówiłam wypisy. A co u szefa?

– Lubienia widziałem.

– Z bliska?

Kosoń się uśmiechnął.

– W wianuszku lokalnych watażków. Podszedłem, przedstawiłem się. Na chwilę się odłączył. „Znam sprawę, bardzo przykre wydarzenie, zwłaszcza ze względu na osobę księdza Hryciuka. Bardzo chętnie bym pomógł, oczywiście, gdybym tylko cokolwiek wiedział, ale nie wiem, no i obowiązki poselskie wzywają. Wszyscy myślą, że poseł to ma takie superzycie, bo pieniądze, przywileje, immunitet na przykład – ten immunitet mi prawie przeliterował – ale to wszystko służba. Powodzenia w zamknięciu sprawy”. I zaraz po tym swoim *exposé* wylewnie się przywitał ze starym z wojewódzkiej.

– Tu pozamiatane, to jasne.

– Na glanc – zgodził się Kosoń.

– A nasza siódemka przyjechała?

– Herman i Farnese. Reszta nie była zainteresowana. A tobie coś się rzuciło w oczy?

– Że Polacy lubią pogrzeby. Ścisk był niesamowity.

– Polacy chyba nie pochodzą od małp, tylko od łososi, skoro tak lubią tarło. – Usłyszeli z tyłu. – Cześć! – przywitała ich Przyzwan. – Jestem trochę zawiedziona, przerost formy nad treścią. – Przyzwan spojrzała na Kosonia. – Lubień cię przerobił na cacy, co?

Kosoń kiwnął głową.

– A jak twoje umawianie się z hierarchami?

– W toku. Jak się pogrzeb przewali, sfinalizuję. Jak było w Lidzbarku? – Przeniosła wzrok na Wierę.

– Mówiłam już szefowi – wszystkie dane są w olsztyńskim archiwum. W poniedziałek dostanę, co znajdą.

– Dobra, to kto jedzie na cmentarz? – zapytała Przyzwan.

Kosoń się zawahał.

– W sumie...

Włożył rękę do kieszeni marynarki. Za dużej, z watowanymi ramionami, ale czystej i całkiem okej. Lata osiemdziesiąte znowu wracały do mody, choć zapewne nie dlatego Kosoń ją wybrał. To była chyba jedyna, jaką miał. Wyjął telefon.

– Kosoń, słucham. Aha. Teraz? Dobra.

Rozłączył się i spojrzał na obie kobiety.

– Misiek skończył grzebać w laptopie Zielińskiego. „Spodoba ci się”, powiedział. Wydzwoń Remka, niech jedzie na cmentarz, potem zda relację. My wracamy na komendę.

– Ludzie są naiwni. Ja już nie mówię o tych, co robią *delete* i myślą, że pozamiatane. On był zmyślniejszy, bo sformatował dysk. Przyłożył się, nie powiem, ale mógłby bardziej. Zresztą chyba go stać, patrząc na ten laptop. – Michał Witkowski, chudy trzydziestolatek w wymiętym T-shircie, miał zadowoloną minę, jak dobry matematyk po klasówce z trygonometrii.

Wiera też patrzyła. Ona miała swoją gwiazdkę na trampkach, z której była dumna. I która była warta maciupenką część tego srebrnego, cienkiego komputera z jabłkiem na klapie.

– To co tam było? – zapytała.

– Dziesiątki razy wyszukiwane frazy na temat pedofilii w Kościele. I informacje o Danielu Hryciuku. Szukał w połączeniu z Malborkiem, Ełkiem, Olsztynem.

– Zgadza się, Hryciuk tam urzędował.

– Był w kilku grupach tematycznych – i takich, które zajmują się pedofilią księży w sposób, powiedzmy, merytoryczny i spokojny, i w takiej, której członkowie wysłaliby wszystkich czarnych w kosmos, wcześniej robiąc im różne bardzo nefajne rzeczy. W każdym razie ten rynek miał rozpoznany. Sam się nie udzielał, był obserwatorem.

– Nie pytał o Hryciuka? – chciała wiedzieć Wiera.

– Nie znalazłem niczego takiego, ale może się dogrzebię. Na razie bym powiedział, że po prostu obserwował, co się tam dzieje. Jest też coś dziwnego, co tak na chłopski rozum nie pasuje. W jednym z folderów związanych z tą jego nudną robotą było pismo, w sumie to raczej jak list. Fragment właściwie, ale więcej nie udało mi się na razie wygrzebać, jeszcze potem spróbuję. O, zobaczcie. – Kliknął w coś na ekranie. – „Dobrowolnie i świadomie przyznaję się do winy, do wszystkich czynów opisanych w dołączonym piśmie”. To raczej w poprzek teorii, że był ofiarą, nie?

Wiera spojrzała na Kosonia. Tak, to było dziwne.

– Na pierwszy rzut oka... – zaczęła.

– Pierwsze rzuty ignoruj, mówiłem. – Łagodnie wszedł jej w słowo Kosoń. – Pogrzeb jeszcze, dobrze? – Spojrzał na Witkowskiego.

Chłopak kiwnął głową.

– A w poczcie? – zapytał Kosoń.

– W poczcie to same nudy. Jakies dane, analizy rynku, newslettery drętowych informacji z rynku FMCG, mdłe życzenia świąteczne. I też nudna korespondencja między tym koleśkiem a Maciejem Kowalem, ale dla was pewnie ciekawa. To taki ping-pong na temat terminów pobytu. Bo zobaczcie – Wiera i Kosoń nachylili się nad płaskim laptopem – on najpierw zabukował pierwszą połowę sierpnia, Kowal mu potwierdził, a potem Zieliński odwołał ten termin, a jeszcze potem zabukował drugą połowę.

– No, ale to same oficjalne teksty. „Dzień dobry, pytam, proszę i dziękuję”. Mógł zmienić termin z tysiąca powodów. – Wiera nie widziała w tym niczego, czym by się można tak ekscytować. Goły fakt.

– Ta, jasne. Z tych maili to nie wynika. Ale z tego – Witkowski postukał w klawiaturę – już tak.

„Witam. Daniel Hryciuk wpłacił zaliczkę za pobyt na drugim sierpniowym turnusie. Pozdrawiam M. Kowal”.

– No – powiedział Kosoń.

– No. – Pokiwała głową Wiera.

– No. – Uśmiechnął się Witkowski.

– Poszlaki nam tężeją. – Kosoń był w pogodnym nastroju.

Wiera jakoś mniej. Jasne, któreś z tej siódemki musiało wbić igłę Hryciukowi i molestowany przez niego Zieliński nieźle pasował, zwłaszcza w kontekście tego dziwnego przyznania się do winy, ale tak psychologicznie i tak po ludzku rozumiała zemsta będzie miała przykre prawne konsekwencje. „A Hryciukowi to i tak już zwisa”, pomyślała Wiera. „Lubieniowi tym bardziej. Ilu było takich

Zielińskich?... Ilu takich Hryciuków? A jeśli to rzeczywiście sprawa związana z tym klubem pedofilskim, co sugeruje Przyzwan i co wydaje się prawdopodobne, to jak tylko coś znajdą, pewnie od razu ktoś z góry wkroczy do akcji”.

– Nie widzę, żebyś się cieszyła z postępu w śledztwie.

– A co szef może zobaczyć, skoro szef na drogę patrzy? – odparła.

– Dobry policjant orientuje się w sytuacji bez nachalnego rozpoznania. – Wzrokiem wciąż śledził zieleń na poboczach.

– Fakt, że Hryciuk nie żyje, w sądzie przemówi na jego korzyść. „Martwi nie mają możliwości obrony” i inne bzdety. Setka dewotek zaświadczy, że był święty. Kuria powie, że nikt nigdy nie złożył skargi. Prokuratorka też wróci z niczym, przecież sama opowiadała, jak działa ta machina. Za to Zielińskiemu wytkną gejestwo i antydepresanty i na koniec jeszcze wyjdzie, że to on deprawował księdza. Że o tym liście nie wspomnę...

– Cóż, jakbyś tam była. – Teraz wreszcie Kosoń na nią spojrział. – Przypomnę tylko spokojnie, że jesteś policjantką.

Nic więcej nie powiedział. Bo i po co?

– Ile razy bym powtórzył, że nie zaplanowałem tego pobytu tutaj, to znaczy nie zaplanowałem pod kątem obecności Hryciuka, to i tak byście mi nie uwierzyli. Tak, to, co wczoraj powiedziałem panu – spojrział na Kosonia – to prawda. Znałem go. Poznałem go w najokropniejszy sposób. Nie mogłem go wyrzucić z pamięci, zatruwał mi życie samą myślą, że gdzieś żyje i być może... – urwał. Ukrył twarz w dłoniach. Wyglądał jak wyżęty i przeciśnięty przez prasę.

„Od sądenia jest sąd”, myślała Wiera. Średnio pomagało.

– Nie musi pan już tego powtarzać. – Kosoń położył na stole w sali konferencyjnej, gdzie siedzieli, wydruk maila od Kowala. – Proszę przeczytać.

Zieliński podniósł głowę i pochylił się nad kartką. Przestał się trząść, znieruchomiał.

– No, proszę – zachęcił go łagodnie Kosoń. Bez efektu. – Dobrze, to ja przeczytam: „Witam. Daniel Hryciuk wpłacił zaliczkę za pobyt na drugim sierpniowym turnusie. Pozdrawiam M. Kowal”. List wysłany do pana na początku czerwca, już po tym, kiedy zarezerwował pan pierwszą połowę sierpnia. Nie odpowiedział pan, ale zaraz potem zrezygnował z tej rezerwacji i zrobił kolejną, na drugą połowę sierpnia. Czyli tak jakby jednak pan szukał Hryciuka, znalazł, zmienił swoje plany, przyjechał, zobaczył go. Może nawet pan nie chciał go zabić, ten zastrzyk pan wziął tak dla psychologicznego spokoju, może chciał go pan tylko postraszyć lub obić mu twarz, ale jednak się nie udało. Żal, smutek, złość, poczucie krzywdy i igła nie wiadomo kiedy weszła w udo Hryciuka.

– Jezu, nie, no nie! – Zieliński się poderwał. – Nie zabiłem go! Nienawidziłem gnoja, powinien się smażyć w piekle, ale go nie zabiłem! I nic nie wiem o żadnej igle.

– Ale szukał go pan. – Kosoń podsunął wydruk z mailem bliżej niego.

– Szukałem, dobra, do tego się przyznaję. Kretyn z tego Kowala, mówiłem mu, żeby nic nie pisał, nie wysyłał, że tylko telefon, miałem drugi, jednego z handlowców, który właśnie odszedł z pracy. A on się nie dodzwonił za pierwszym razem, bo miałem jakiś ciężki dzień i nie odebrałem, no to bach – wysłał mi tę informację na mail. Bo mail miał, z rezerwacji. Tłumaczyłem mu, ale to nie jest as intelektu.

– Skąd pan wiedział o Szańcu?

Zieliński się wyprostował.

– Śledziłem go, to znaczy Hryciuka, wyszukiwałem w Internecie informacje na jego temat. Przez wiele lat trzymałem go w głowie w zamkniętej szufladce. Nie wypuszczałem, bo i tak mnie wszystko bolało. A potem się zaczęła ta depresja, terapia. Terapeuta powiedział, że to trzeba przerobić, przetworzyć, bo inaczej tego nie pochowam.

– Bardzo trafne porównania. – Kosoń kiwnął głową.

Zieliński podskoczył.

– Przecież to metafora, chodziło o przerobienie wspomnień, nie o... o... Pan mnie łapie za słowa, to absurd!

Odwrócił się w stronę okna i przez chwilę milczał.

– Więc zacząłem szukać – znowu zaczął mówić. – Trochę się udało, Internet pomaga. Zobaczyłem, w których parafiach był, i w tej ostatniej, ełckiej, dowiedziałem się, że przeszedł na emeryturę, mieszka w Pałacu Archiprezbitera w Olsztynie. Zadzwoiłem tam i podałem się za dziennikarza z „Idziemy”, to taka katolicka gazeta, że piszę artykuł o seniorach i że ksiądz ma być przykładem, że i w tym stanie można być aktywnym i takie tam, mimo wieku. Czułem, że to go zainteresuje, że oddzwoni. I oddzwonił. On był łasy na peany, nawet nie dociekał specjalnie, choć miałem przygotowaną wersję, że jestem wolnym strzelcem, nie etatowym pracownikiem i tak dalej. Nie wnikał jednak. Zapytałem, kiedy byśmy mogli porozmawiać, a on, że w wakacje to ciężki czas, bo w lipcu jakiś kongres, w sierpniu też nie, bo go nie będzie. „Urlop”, powiedział. Uczepiłem się tego. Zapytałem, czy to daleko. „Niedaleko Olsztyna, w takim pięknym miejscu, dawny majątek. Ale tam nie wpuszczają nikogo obcego, bez wyjątków”. Początkowo źle szukałem, bo myślałem o jakichś kościelnych obiektach, ale potem znalazłem Karolewo, a jeszcze potem Szaniec. Tyle że Hryciuk mówił, że nie będzie go cały sierpień, a tu się okazało, że turnusy dwutygodniowe. Najpierw zarezerwowałem pierwszą połowę, ale potem pomyślałem, że „zaczynam urlop od pierwszego sierpnia” nie znaczy, że ma tu rezerwację od tego dnia. Skontaktowałem się z Banasiukiem, ale on mi się wydał za bystry, za cwany na to, żeby go wypytać o Hryciuka. Dał mi kontakt do Kowala, jako opiekuna, i z nim, powolutku, kasą, załatwiłem tę informację.

– Tak po prostu? Przy tych wszystkich obostrzeniach, że nie znacie nawet swoich nazwisk? – zapytał Kosoń.

– No co mam panu powiedzieć? – Zieliński wzruszył ramionami. – Był trochę podejrzliwy, ale mu wytłumaczyłem, że piszę artykuł, a ksiądz taka szychta i trudno dostępny. Poparłem to pieniędzmi. To zawsze dobry argument.

– I Kowal powiedział panu, że Hryciuk będzie w drugim sierpniowym terminie.

Zieliński kiwnął głową.

– A nazwisko Lubień coś panu mówi? – zapytał Kosoń.

– Nie. To znaczy tak, to był, zaraz... minister rolnictwa, tak? – Spojrzał na Kosonia. – Akurat ten kawałek polityki śledzę.

– Wiceminister. A w innym kontekście to nazwisko się panu nie kojarzy? Zieliński był szczerze zdziwiony.

– W jakim innym? Aż tak mnie polityka nie zajmuje, nie mam na to siły.

– Nie o politykę chodziło, ale jeśli pan nie kojarzy, to nieistotne. Wróćmy do Szańca. Zmienił pan plany wakacji ze względu na Hryciuka.

– Tak. Przebukowałem pobyt. Ale nie zabiłem Hryciuka, przysięgam. Chciałem go zobaczyć, przydybać gdzieś w pojedynkę, może uderzyć, choć raczej nie, ja się brzydzę przemocą. Chciałem mu po prostu powiedzieć: zobacz, co ze mną zrobiłeś, z tym małym chłopcem z kolonii w Malborku.

Zieliński zacisnął dłonie w pięści, przygryzł wargę.

„Zaraz się rozplacze”, pomyślała Wiera. Bolało ją słuchanie tego. „Sprawiedliwość, kurwa”.

– Wcześniej to myślałem jeszcze, żeby go jakoś zmusić do samobójstwa. Że może groźba, że wszystko ujawnię, wywoła w nim poczucie wstydu, lęku i że sam się zabije. Ale nie, oni sami się nie zabijają. To emocjonalne cyborgi.

– To już ustaliliśmy. – Kosoń był spokojny, ale on prawie zawsze był spokojny.

– I dlatego szukamy tego, kto mu pomógł. Pan niestety pasuje. Bardzo pan pasuje.

– Położył przed Zielińskim wydruk z jego komputera. „Dobrowolnie i świadomie przyznaję się do winy, do wszystkich czynów opisanych w dołączonym piśmie”. – To pismo też znajdziemy, to tylko kwestia czasu – dodał łagodnie.

Zieliński spojrział na niego zmęczonym wzrokiem.

– Chcę adwokata – powiedział beznamiętnym tonem.

ROZDZIAŁ 29

„DO MNIE NALEŻY POMSTA, JA WYMIERZĘ ZAPŁATĘ”.

Spojrzał na kopertę. Stempel był z Olsztyna. „Blisko”. Dreszcz przebiegł mu po plecach.

Raz jeszcze wziął kartkę do ręki. Tylko to jedno zdanie, drukowanymi literami. Nic więcej. Może mógłby to uznać za wygłup, ale dlaczego ktoś miałby się właśnie tak wygłupiać?

Może ktoś go obserwował? Może minęli się gdzieś na ulicy?...

Zaczął chodzić po pokoju.

„Co robić?, co robić?”, powtarzał w myślach. „Kto to przysłał i dlaczego właśnie teraz?”

Od kilku lat był przecież czysty.

Chciał podrzeć tę kartkę na małe kawałeczki i dla bezpieczeństwa wyrzucić do jakiegoś kosza podczas spaceru. Zawahał się jednak i schował ją do koperty, a kopertę zgiął na pół i wsunął do kieszeni koszuli.

Musi zadzwonić.

Telefon leżał na stole, ale nie wziął go do ręki. Wyszedł z pokoju, przeszedł korytarzem i zszedł schodami na parter. Opuścił budynek. Ależ było pięknie! Świat to się jednak Stwórcy udał. Szczęśliwi ci, co mogli widzieć ten świat i po nim chodzić. On mógł i nie pozwolił sobie tego odebrać.

Trochę się uspokoił, ale i tak kilka razy dyskretnie się obejrzał. A jeśli ten ktoś czatował i czekał, aż list zostanie mu dostarczony? A potem obserwował jego reakcję?

„Ech, to niedorzeczne!”, skarcił się, choć bez zbytniego przekonania. „A jednak tam idziesz”, obracał w dłoni mały kluczyk.

Spacer zajął mu trochę czasu, bo specjalnie wybrał pocztę dość daleko od pałacu.

Wydawało mu się, że idzie pewnym krokiem, ale gdy wkładał kluczyk do zamka, ręka mu drżała. „Ciekawe, czy to ta sama poczta, w której nadano list”, myślał.

Wyciągnął niedużą książkę w skórzanej oprawie i zamknął metalowe drzwiczki.

Wyszedł z poczty, znowu na tę jasną piękność, przeszedł z dwieście metrów i usiadł na ławce.

Słońce działało na niego obezwładniająco. Mógłby tak siedzieć i siedzieć. I żeby świat się zatrzymał...

W końcu podważył górną „okładkę”. Zamek puścił. Wsunął rękę do środka pudełka i wyciągnął z niego mały telefon. Wpisał hasło, a potem na liście wyszukał literę L.

Wybrał numer i czekał.

ROZDZIAŁ 30

– *Fiat lux.*

Milczeli oboje. Wiera, bo nie zrozumiała, co samochód ma do tego, Kosoń – nie wiadomo dlaczego.

– No, jesteście tam? – Przyzwan ponagliła ich przez zestaw głośnomówiący.

Wracali z Kosoniem z Szańca. Po skończonej rozmowie z Zielińskim Kosoń wypalił w milczeniu dwa papierosy i wsiedli do auta. Wiera nie spieszyła się do zaczęcia dyskusji, której naturalną konsekwencją musiało być finalne pytanie: czy to już etap aktu oskarżenia. Próbowwała sobie to ułożyć w głowie, zracjonalizować, podzielić za i przeciw na dwie kupki, odsunąć na bok emocje. Kiedy zadzwoniła Przyzwan, Kosoń przełączył rozmowę na głośnik i streścił prokuratorce przebieg przesłuchania. Ona milczała, nie przerywała, a potem wyskoczyła z tym fiatem.

– Wiele na to wskazuje – odparł w końcu Kosoń.

– Składamy wniosek do sądu o areszt?

Kosoń znowu zamilkł. Zrobił wyłom w przyzwyczajeniu i spojrzał na Wierę.

– W poniedziałek jadę do archiwum, żeby przejrzeć materiały na temat Hermana... – zaczęła.

– No i super, ale ten wątek chyba nam jednak wygasa – powiedziała Przyzwan.

– Nie możemy go tak do końca wykluczyć...

– Jasne. Tyle tylko, że Zielińskiego zdecydowanie bardziej nie możemy wykluczyć, zwłaszcza teraz. A jeśli Zieliński się potwierdzi, to odkrywamy

Hryciuka, co z kolei, jeśli się nie mylę, da możliwość odsłonięcia jego karty członkowskiej i być może innych klubowiczów. Janusz?...

Wiera poczuła się jak uczennica, o której rozmawia się z dorosłymi w jej obecności.

Kosoń śledził wzrokiem trasę.

– Przygotuję jutro papiery, na poniedziałek rano będą gotowe. Dajmy pani sierżant czas do popołudnia.

– Okej, ja w tym czasie poprzeglądam wyroki w podobnych sprawach, zobaczę, jakie były orzeczenia. A, we wtorek mam widzenie u biskupa.

– A jak było na cmentarzu? – zapytał Kosoń.

– Hryciuk odnalazł swoje miejsce na ziemi. Niektórym to się dopiero po pogrzebie udaje. Na razie. – Przyzwan się rozłączyła.

– Dzięki, szefie. – Wiera czuła, że musi to powiedzieć.

– Sąd rozpatruje wątpliwości na korzyść oskarżonego. To dobra praktyka. Ale nie da się jej przeciągać w czasie.

Kiwnęła głową.

– A o co chodziło Przyzwan z tym fiatem, na początku rozmowy?

– *Fiat lux*. Niech się stanie światłość. To z Biblii.

„Podobno każde kolejne pokolenie jest mądrzejsze od poprzedniego. Robię rewolucję”. Zrobiło się jej głupio, trzeba było sobie w domu sprawdzić, zamiast obnażać swoje braki.

– Czyli Przyzwan sądzi, że Zieliński zabił Hryciuka.

– Sądzi, że to na tyle mocne podejrzenie, że można je skierować do sądu.

– Chyba że okaże się inaczej – powiedziała Wiera.

– Chyba że okaże się inaczej – przytaknął Kosoń. – *Tempus fugit*. Czas ucieka – dodał, zerkając na panią sierżant.

„*Volvere*, toczyć się, zatem *volvo* oznacza «toczę się»”.

Wiera odłożyła komórkę. Nie mogła sobie znaleźć miejsca. Sobota wieczór, samotność wśród sąsiadów oglądających za ścianą kabarety albo amerykańskie filmy sensacyjne, sprawa, w której zegar głośno tyka, nieprofesjonalne współczucie już prawie oskarżonemu Zielińskiemu, niewiadoma z Hermanem, w tle szerszy dramat i jeszcze ta erudycyjna wpadka. Wiera nie lubiła wielu rzeczy, ale na podium było poczucie, że jest gorsza. Obiektywnie była gorsza, nie było sensu się spierać. Dziecko z patologicznej rodziny mieszkającej w Polsce B. Może i tak dokonała cudu, że nie stała się kimś gorszym, niż jest? Ale przecież mogłaby być kimś lepszym. Mogłaby więcej czytać, słuchać lepszej muzyki, bardziej dbać o zdrowie. Teraz miała swój los w swoich rękach. W liceum była Aśka, z którą nawiązała coś w rodzaju przyjaźni – trwała ona do czasu, gdy Aśka stwierdziła, że jeśli Wiera do końca życia będzie się nad sobą użalała, to źle skończy. I że użala się nad sobą, bo tak jest wygodniej, niż zacząć nad sobą pracować. To było przed maturami, a potem już się nie widziały, bo Aśka wyjechała na studia do Gdańska. Wypatrzyła ją potem na fejsie – skończyła farmację, ma fajny i znany blog o lekach, dwoje dzieci i pasję do życia. Nawet jeśli podzieli się to na pół, to i tak niezły wynik. Mogła mieć rację co do Wiery. Znaczący – miała rację. Znowu sięgnęła po telefon. „A Fiat? To też z łaciny?” Postukała placami w ekran. „*Fio, fieri, factus sum*. Stawać się. Toczyć się bardziej pasuje, choć to też zmyślne”. Znowu zaczęła wybierać litery na ekranie. „Fabbrica Italiana Automobili Torino (pol. – Włoska Fabryka Samochodów w Turynie)”. Czyli jednak nie.

Wstała od stołu i podeszła do okna. W podstawówce na plastyce mieli zrobić makietę wymarzonego miasta. Wzięła pokrywkę jakiegoś starego pudełka kartonowego, opakowania po herbacie i papier kolorowy. Mieszkała w zniszczonym poniemieckim budynku, gdzie każde okno i każde drzwi wejściowe były inne. Nawet tynk był łaciaty – tu ktoś podmalował, tam wymienił okno, tu się sypało. Więc zrobiła osiedle jak ze snów. Prosto wytyczone drogi, gładkie trawniki, czyściutkie bloki, które pomalowała na różowo i niebiesko, a potem porozstawiała je z geometryczną dokładnością. Jak to powiedziała Przyzwan? Na marzenia też trzeba uważać.

Na fali samobiczowania pomyślała, że może spędzi ten wieczór w wartościowy sposób, to znaczy poczyta jakieś artykuły o świecie, może o polityce zagranicznej albo gospodarce. Albo poszuka krótkiego kursu filozofii. Albo chociaż zainstaluje sobie w komórce program do nauki angielskiego, który przy każdym odblokowaniu ekranu poda jej nowe słowo. A może jednak się zresetuje przy głupawym filmie? Ma za sobą ciężki dzień, przed sobą też. Jutro pojedzie do Zielonej Doliny. Posiedzi z matką, która nie wie, że jest jej matką. Paprotka, niezłą sobie siostry miejscowość wybrały na taki zakład.

Telefon na stole zawibrował i zaczął dzwonić. Numer, którego nie znała.

– Wiera Jezierska, słucham.

– Dzień dobry, Tadeusz Szuba z tej strony.

W pierwszej chwili nie skojarzyła nazwiska, tak ją ten dzwonek wyrwał z rozmyślań.

Rozmówca wyczuł jej niepewność, bo dodał:

– Kardiolog, lekarz Daniela Hryciuka, rozmawialiśmy u mnie w gabinecie.

No tak, od razu sobie przypomniała, jak mogła nie pamiętać? Starszy, wymuskany pan w ładnym domu, rzucający lekko seksistowskimi komentarzami.

– Oczywiście. Coś się stało?

– Właściwie to nie...

„Jezus, on chyba nie dzwoni towarzysko?” Pakiet beznadziei tego by już nie zmieścił.

– ...to znaczy nic się teraz nie stało. Powiedziała pani wtedy, że gdybym sobie coś przypomniał, to żeby się odezwał. I ja sobie coś przypomniałem, choć to nie jest tak ewidentnie związane z księdzem Hryciukiem. Właściwie to nie wiem, czy to w ogóle ma znaczenie, dlatego trochę zwlekałem i dzwonię tak niezręcznie, w sobotę pod wieczór...

„Jezus, no wyduś to z siebie”.

– Jakies pół roku temu zdarzyła się dziwna sytuacja. Tak mniej więcej pół roku, dokładnie nie pamiętam, ale była już wiosna, bo było ciepło, forsycje przekwitły,

czyli kwiecień, choć może koniec marca, teraz takie zawirowania w pogodzie.

„Mistrz rozwlekłej anegdoty. Chyba jednak obejrzę ten film. Na tefalenie zawsze dają coś luzującego mózg”.

– W każdym razie z początkiem cieplejszych dni pod moim domem zasłabł mężczyzna. Ja już skończyłem przyjmowanie, ale byłem u siebie w gabinecie, porządkowałem papiery. Tak mi się wydawało, że ktoś krzyczał, ale nie byłem pewny, bo włączam sobie muzykę klasyczną, dla relaksu, i wtedy mniej się skupiam na świecie zewnętrznym.

„Nie dosłyszysz, i tyle”.

– Podszedłem do okna, odsunąłem firankę i się rozejrzałem. Na chodniku ktoś leżał. I w tym samym momencie ktoś inny wbiegł do gabinetu. Mężczyzna, taki może czterdziestoletni, tu niestety niezbyt dobrze pamiętam, bo sytuacja była niecodzienna. Był zdenerwowany, trochę nieskładnie mówił, że jego kolega zasłabł na ulicy, że już wezwał karetkę, ale zaraz potem zobaczył na ogrodzeniu tabliczkę kardiolog, więc się nie namyślał, tylko pobiegł do mnie. No ja też się nie namyślałem, tylko chwyciłem torbę lekarską i poszedłem za nim. Ten drugi mężczyzna był w podobnym wieku. Oczy miał zamknięte, nie reagował na pytania. Zacząłem go badać, stanęły przy nas dwie lub trzy zainteresowane osoby. Miał puls, nie trzeba było reanimować. Więc go ułożyliśmy w pozycji bezpiecznej, złuzowałem mu kołnierzyk koszuli, podłożyliśmy coś pod głowę. Przyjechała karetka, opowiedziałem, co się stało, przejęli ode mnie pacjenta. Wówczas też zauważyłem, że nie ma obok tego drugiego mężczyzny, który prosił o pomoc. Powiedziałem sanitariuszowi, że byli we dwóch, rozejrzałem się, ale jego nie było. Wtedy jeszcze nic mnie nie tknęło, dopiero jak wróciłem do gabinetu...

Wiera poczuła miły dreszcz. Może wreszcie coś istotnego.

– Zauważyłem, że ktoś mi zrobił kipisz. Nie taki okropny, że wszystko powywracane, ale szuflady w biurku były niedomknięte, kilka kart pacjentów leżało na podłodze. Ja nie zamknąłem drzwi do gabinetu, nie miałem do tego głowy. Najpierw życie i zdrowie drugiego człowieka, potem takie przyziemne

sprawy. Zebrałem te karty, włożyłem między przegródki, później zacząłem sprawdzać szuflady, bo widać było, że i tam ktoś myszkował. Zauważyłem brak koperty z pieniędzmi. To nie była duża suma, jakieś kilkaset złotych, mam taką na drobne zakupy w sklepie.

Tak, byli z nieprzystawalnych światów.

– Pomyślałem sobie wtedy, że to taka zuchwała kradzież. Że ktoś, znaczy ten mężczyzna, który wpadł prosić o pomoc, wykorzystał zasłabnięcie człowieka na ulicy i mnie okradł. Są tacy ludzie bez kręgosłupa moralnego. No nic, machnąłem na to ręką, szkoda zachodu, żeby policję informować. Ale jakiś czas później, ze dwa tygodnie może, co innego mi do głowy przyszło. Że to mogło być zaplanowane, że oni we dwóch działali. Rozumie pani – jeden udawał poszkodowanego, a drugi mnie okradł. Zadzwoiłem do kolegi ze szpitala i on mi sprawdził przypadki z tego dnia na izbie przyjęć. Rzeczywiście, przywieźli takiego mężczyznę, który zasłabł na ulicy, w karetce już odzyskał przytomność, a potem się po prostu rozpląnął w powietrzu.

– To znaczy zwiął z SOR-u?

– Tak. Zostało po nim tylko nazwisko. Niezweryfikowane, bo tego kolega nie mógł zrobić, ale Jan Kowalski to nie brzmi jakoś szczególnie wiarygodnie.

– Nie obrażając Kowalskich i Nowaków – nie brzmi. A, i nie rozumiem, w jaki sposób toby się mogło łączyć z księdzem Hryciukiem? – zapytała słodko, choć w środku zaczynała się gotować.

– Właśnie! – ucieszył się Szuba. – Teraz *clou* sprawy.

„Klu” akurat znała. Dzięki tej polonistce od starych lektur. Potem sobie sprawdzi, jak się to pisze.

– Podczas niedawnej wizyty lekarskiej jednego z pacjentów nie mogłem znaleźć jego karty. To nieprawdopodobne, bo leczyłem go kilka lat, zawsze pedantycznie wkładam karty w odpowiednie przegródki, a tu jak kamień w wodę. To znaczy nie do końca, bo pomyślałem sobie, że może jednak się pomyliłem, może przełożyłem tę kartę o jedno lub dwa miejsca. I była, rzeczywiście, dwa

nazwiska za daleko, a do tego włożona tyłem. A wszystkie karty muszą być frontem, bo z przodu mają taki znacznik z nazwiskiem. Tak bym na pewno jej nie schował, tego jestem pewien na tysiąc procent.

W tym momencie Wiera to poczuła. Znów ten dreszcz na plecach. Zimny, mocny, szybki. Szuba nie musiałby już nic mówić. Wiedziała.

Ale powiedział:

– To była karta księdza Daniela.

ROZDZIAŁ 31

– Zieliński się zarzeka, że nie zna Szuby, że nigdy u niego nie był, że w ogóle nie był u żadnego lekarza w Olsztynie. Remek twierdzi, że jest na granicy załamania nerwowego. – Kosoń przekładał z dłoni do dłoni pudełko zapalek. – Kiedy będziesz mieć potwierdzenie?

– Wysłałam rano do Olsztyna kilka zdjęć Zielińskiego. Z dowodu i te, co Remek zrobił. Szuba ma dziś do nich przyjść i powiedzieć, czy któryś z tych dwóch, to znaczy ten leżący lub ten, co mu grzebał w gabinecie, to Zieliński.

– I jak obstawiasz? – Kosoń przestał się bawić.

– Że jednak to nie Zieliński.

– Aha. I co wtedy? Facet, właściwie dwóch facetów w wieku Zielińskiego, ukradzione dla niepoznaki pieniądze i pewnie sfotografowana karta leczenia Hryciuka. Bez wysyłania zdjęć wiadomo, że to nie Herman. Nie Farnese. Z naszego zestawu pasuje – teoretycznie – idealnie para naszych zaprzyjaźnionych chłopców, czyli Wolny i Madej, ale to by się kupy nie trzymało. Chociaż... Zadzwoń do Remka, niech Szuba zobaczy też ich zdjęcia. Życie potrafi czasem zaskoczyć. Od tylu lat jestem policjantem, że mam wobec losu dużo pokory.

– Dobrze, szefie.

– Tak czy owak... – Spojrzał na nią. – Ty też się zaraz do Olsztyna wybierasz.

Kiwnęła głową.

– Marysia będzie u mnie o trzeciej.

Znowu kiwnęła głową. Postąpiła chwilę, nic nie powiedziała i wyszła.

– Państwowy Dom Dziecka numer dwa w Licbarku. – Wiera spojrzała na archiwistkę.

– Taka wtedy była pisownia – wyjaśniła młoda kobieta. – To w ogóle był czas różnych zmian. Kwestie języka, własności, prawa. Czas zamętu.

Wiera czuła do niej sympatię. Kiedy zobaczyła równo ułożony stos dokumentów na biurku utrzymanym w idealnym stanie, pomyślała, że trafiła we właściwe ręce i że wszystko, co było do znalezienia, zostało znalezione. Można by pomyśleć, że jeśli ktoś decyduje się na pracę w archiwum, to powinien być dokładny i skrupulatny, ale życie oduczalo Wierę trzymania się stereotypowych opinii.

– To jest lista dzieci, które – archiwistka przeczytała z kartki: – „ubyły w okresie od stycznia do października tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku”. Tych kartek jest kilka. Jest i druga lista. – Podniosła pojedynczą kartkę. – Dzieci, które „przybyły”. Zdecydowanie skromniejsza. I właśnie na tej drugiej znalazłam nazwisko, o które pani pytała. O, tu jest. – Palcem z krótkim i równo obciętym paznokciem wskazała wystukanego na maszynie Tomasa Hermana. – Przywieziono go do domu dziecka w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku.

– Jest więcej informacji na jego temat?

Wiera spojrzała na zegar na ścianie. Dwadzieścia po dwunastej.

– Tak, jest akt urodzenia. – Archiwistka wyciągnęła kolejny dokument z kupki. – Tomas Herman urodził się w listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku w Karolewie. Jego matka to Irene, ojciec też Tomas. W teczce osobowej były również inne materiały na jego temat. – Archiwistka sięgnęła po tekturową teczkę w kolorze musztardy z poszarzałymi cienkimi wstążeczkami. Zaczęła je rozwiązywać. – Coś się splątało. Musiałam za mocno zawiązać rano. Długie

paznokcie czasem by się przydały. – Spojrzała na swoje, starannie przycięte. Wiera machinalnie zsunęła dłonie z blatu na uda. Prócz tego, że i ona nie malowała paznokci, nie było między nimi żadnych podobieństw. – No, kurczę. – Wciąż się mocowała ze sznurkiem. W końcu wyciągnęła z włosów jedną wsuwkę i chwilę nią pomajstrowała przy suple. – Wreszcie. Zbyt ni pedantyzm czasem szkodzi. – Wpięła wsuwkę we włosy. Bardzo starannie. – Co my tu mamy? Ach, tak, jest informacja, że Tomas Herman został przywieziony do placówki przez Zofię Hryciuk.

Wiera miała wrażenie, że serce jej na chwilę stanęło, a potem zaczęło sprint w stylu Usaina Bolta.

– Widzę, że zna pani to nazwisko. – Archiwistka spojrzała na nią.

Wiera kiwnęła głową.

– Tak. – Chrząknęła. – Tak – powtórzyła głośniej i wyraźniej.

Zofia Hryciuk. Matka Daniela Hryciuka. „Kurwa, o co w tym wszystkim chodzi?” Kołowrotek myśli nabierał pędu.

– Jest też odręcznie sporządzona przez pracownicę domu dziecka notatka – ciągnęła spokojnie archiwistka. – Czytam: „Zofia Hryciuk, współzamieszkująca z matką Tomasa Hermana, podała, że Irene Herman zmarła tydzień wcześniej, odebrawszy sobie życie. Ojciec jego zaś zginął w nieszczęśliwym wypadku pół roku wcześniej. Innych krewnych Tomas Herman wedle jej wiedzy nie ma, przynajmniej na tych terenach. Twierdziła, że nie jest stąd, nie wiedziała o domu dziecka w Górowie Iławeckim. Chłopiec został przyjęty do tutejszej placówki”. Niżej data – piętnasty grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego. Dwudziestego pierwszego grudnia ta sama pracownica zrobiła dopisek: „Informacja potwierdzona przez Milicję Obywatelską”.

– Dziękuję. – Wiera starała się nie pokazać, że w środku nią telepie. – To teraz prosiłabym panią o dokumenty spraw milicyjnych z tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Interesuje mnie Tomas Herman, ale Tomas senior, to znaczy ojciec Tomasa Hermana juniora.

Archiwistka zrobiła sobie krótką notatkę.

– Przygotuję pani na jutro.

– A dziś? Nie dałaby pani rady na dziś? To ważne. – Wiera nie chciała brzmieć jak desperatka, bo w końcu to sprawa sprzed siedemdziesięciu kilku lat.

– To się może wydawać takie proste – kliknąć nazwisko w bazie komputerowej, wyjąć z półki teczkę, położyć na stół i już. Ale takie nie jest. – Archiwistka wciąż była miła, ale już jakby trochę mniej. – Jutro o dziewiątej te materiały będą na panią czekały. Jeśli oczywiście są. Proszę zadzwonić rano, żeby potwierdzić.

– O – powiedział Kosoń i zamilkł.

– Właśnie, szefie.

– Choć to może nic nie znaczyć.

– A może też bardzo dużo. – Wiera jechała za szybko. Nie mogła się skupić na pilnowaniu prędkościomierza.

– Na przykład to, że Herman zawdzięcza życie matce Daniela Hryciuka, która się nim zaopiekowała po śmierci jego rodziców. I że przedstawimy mu informacje, których prawdopodobnie nie znał, a on z wdzięczności pójdzie z białą różą na grób Hryciuka juniora.

– Teoretycznie to możliwe, ale mnie jakoś niepokoi ten „nieszczęśliwy wypadek”. Kto mi mówił o twardej ręce ojca Hryciuka? Ten ksiądz z kurii chyba. Nie! Szuba, to Szuba powiedział, że od Hryciuka wie, że jego ojciec stosował zimny chów. Teraz zimny chów to jak rodzice każą się uczyć, a wtedy... Zresztą Hryciuk był zaburzony, skoro robił takie rzeczy, a to się znikąd nie bierze.

– Wadliwy dom to nie zawsze wyrok.

Zagryzła wargę. No nie zawsze. Ona wciąż miała nadzieję, że jest już na prostej lub przynajmniej w jej bliskiej okolicy.

– Szefie, to intuicja – powiedziała więc.

– Ciekawe. Jako pomysł do książki. Na taki solidny kryminał w starym stylu, gdzie liczy się uważność, analiza i synteza, a stare zbrodnie rzucają długie cienie. – Przyzwan siedziała przy biurku Kosonia, na jego miejscu. On stał przy oknie.

– Chyba lubisz takie, co? – zapytał Kosoń.

– A jakie mam lubić? Takie, gdzie przychodzi technik, zbiera dowody, potem wrzuca to do superkomputera i od razu ma wynik? A może takie, w których trup pada na trupa, krew sika po ścianach, w przerwach ktoś się z kimś pieprzy, a na koniec się okazuje, że winni są ponad prawem, bo są z mafii albo z sejmu? A to wszystko rozciągnięte w wymęczony sposób do trzystu stron i składające się z samych debilnych dialogów?

– Pytam w kontekście...

– Janusz. – Przyzwan odwróciła się w jego stronę. – Nie jestem kretynką, wiem, dlaczego zapytałeś. To jest interesujące, lata temu się nawet zastanawiałam nad wybraniem archiwistyki, ale ostatecznie zdecydowałam się na prawo i prokuraturę. Żeby działać, a nie tylko siedzieć nad papierami. Zresztą... czy ja ci, czy ja wam – teraz spojrzała na Wierę – muszę tłumaczyć, że jest parcie na efekt naszej pracy? Kuria naciska na wojewódzką, żeby sprawę wyjaśnić. A właściwie nie wyjaśnić. Półświęty zaciukany, przyszła kara boska wobec mordercy nie wystarczy. Jutro na pewno usłyszę kilka okrągłych słów od biskupa, z takim właśnie przekazem.

– Ale przecież to będzie sprawa o pedofilię. Do tego im się spieszy? – Wiera w końcu się odezwała.

– Ktoś tam u nich na pewno wie, co Hryciuk wyrabiał, niemożliwe, żeby nie. Zresztą, co dopiero niedawno zrozumiałam, oni musieli wiedzieć, bo inaczej Hryciuk zaszedłby dalej niż do księdza dziekana. Walnął głową w sufit kariery kościelnej, bo świecznik jest bardziej obserwowany. Ale czy wiedzą, że w tym kierunku sprawa będzie prowadzona? Stary omal nie zszedł, jak się dowiedział o zeznaniach Zielińskiego. Na pewno nie puścił tego dalej, czeka na nasz ruch. Ja

nie mam złudzeń, że oni to rozmyją, nieżywych nie sądzą, z Zielińskiego zrobią wariata i mordercę. Ale informacja pójdzie w świat. Trzeba ten mur kruszyć. Trzeba to nagłaśniać. Ta sprawa, jeśli ujrzy światło dzienne, pozwoli nam się dobrać do innych. O Lubieniu mówił stary komendant. Jasne, do niego nie da się tak od razu uderzyć, ale po nitce do kłębka... To może być naprawdę coś! Wreszcie, po tylu latach, może bekną za to, co robili. Wiesz, jaki jest szczyt niesprawiedliwości? – Spojrzała na Wierę.

Wiera pokręciła głową. Miałaby z czego wybierać, ale chyba nie o taką osobistą licytację chodziło Przyzwan.

– Szczytem niesprawiedliwości jest uchodzenie za sprawiedliwego, kiedy się nim nie jest.

– Coś w tym jest. – Wiera kiwnęła głową.

– Z pewnością. Platon. Też lubił młodych chłopców.

„Filozofia”, zapisała Wiera w pamięci. „Chyba muszę po prostu wywalić telewizor”.

– A jeśli to naprawdę nie Zieliński? – zapytała. Erudycja erudycją, ale najbardziej się liczy szary człowiek. I ta cholerna sprawiedliwość.

– Wiera... – Przyzwan popatrzyła na nią jakoś tak miękko. – Nie mamy dowodów, twardych dowodów, ale...

Ktoś zapukał.

– Proszę – powiedział Kosoń.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł dyżurny.

– Dzwonili z Olsztyna. Informacja dla sierżant Jezierskiej.

Wiera podeszła do mężczyzny i wzięła od niego kartkę. Przebiegła wzrokiem napisany na niej tekst.

– Szuba nie rozpoznał na zdjęciach nikogo z Szańca. Ani Zielińskiego, ani Wolnego, ani Madeja.

– Szuba to ten doktorek od dziwnego włamania? – upewniła się Przyzwan.

Wiera kiwnęła głową.

– Okej, ta sprawa, jeśli dziadek nie ma miażdżycy i sam nie włożył karty źle, rzeczywiście jest ciekawa. Tylko za cholere nie przybliża nas do rozwiązania, kto mógł zabić Hryciuka.

Telefon Wiery zadzwonił. Spojrzała na wyświetlacz. Remigiusz Staroń. Odebrała.

– Cześć. Tak, przed chwilą. Nie, nikogo, znaczy żadnego z nich. A co poza tym? No tak. Dobra, na razie to tyle, cześć. – Popatrzyła na Kosonia i Przyzwan. – Remek pytał o wyniki rozpoznania. Powiedział, że tych trzech, znaczy Zieliński, Wolny i Madej, domagali się informacji. Nie ma powodu, żeby to przed nimi zataić.

– Nie ma, niestety – westchnęła prokuratorka. – Dla naszego aktu oskarżenia to źle. Gdyby tu nam wyszedł Zieliński... A tak to same poszlaki, same cholerne poszlaki.

– Mówiłaś, że nie lubisz, jak dowody czekają na technika – przypomniał jej Kosoń.

– Janusz, nie wkurwiał mnie.

Tym razem telefon Wiery nie zadzwonił, ale wydał z siebie piknięcie. Znowu Staroń, ale teraz przysłał esemesa.

– Remek – powiedziała Wiera. – „Zieliński z wyraźną ulgą. «Nie zabiłem», powiedział kilka razy, «to nie ja. To ktoś odważniejszy. Albo ktoś, kto stracił więcej niż ja»”.

– Ktoś, kto stracił więcej niż ja – powtórzyła Przyzwan. – Albo blefuje, albo przypadkiem powiedział coś bardzo ważnego. Dobra, jeden dzień odroczenia. Zalicz to archiwum.

ROZDZIAŁ 32

– Tak, materiały czekają, proszę przyjechać.

„Co tam jest? Co tam jest?” To pytanie towarzyszyło jej przez całą drogę. Mogłaby zapytać, ale wolała sama to przeczytać. „Gówno prawda. Po prostu się boisz, że tam nie ma nic, co pozwoliłoby pociągnąć tę sprawę dalej”.

W nocy znowu kiepsko spała, po piątej uznała, że nie ma sensu przewalać się po łóżku, więc wstała. Mogłaby pójść na spacer, pobiegać, poćwiczyć, poczytać, ale spędziła dwie godziny zupełnie bezproduktywnie, nie wiadomo właściwie na czym. Nie znosiła u siebie takiego rozmemłania. „Bo ty niczego u niej nie lubisz”, powiedziała do lustra przed wyjściem. „Zaakceptuj, bo się obie wykończycie”.

Dojechała do archiwum. Przed budynkiem nie było już wolnych miejsc, więc zaparkowała w bocznej uliczce, przy odrapanej kamienicy z reklamą: „Superodszkodowania”. „Ciekawe, czy sprawę Zielińskiego też byście wzięli”, z niechęcią spojrzała na białą tablicę z niebieskimi informacjami, drastycznie odcinającą się od brudnej i zniszczonej elewacji.

Przeszła przez ulicę i weszła do budynku archiwum. W gardle czuła nieznośny ścisk.

„Bez umyślniku spowodowana śmierć poprzez popchnięcie zadane przez Jana Hryciuka w konsekwencji utarczki słownej”.

– Czterdziesty szósty rok, do pracy brano każdego, kto był piśmienny. – Archiwistka przyglądała się Wierze. – Czytałam i bardziej nieskładne notatki.

– Nieskładne? – Wiera oderwała wzrok od kartki. – To bez znaczenia, chodzi o to, że...

„Właśnie, o co tu chodzi? No, kurwa, o co tu chodzi?” Co zaszło między Hryciukami a Hermanami w Karolewie w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym?

– To wszystko, co się zachowało na temat tej śmierci?

Pytanie było durne, i wiedziała o tym. Na stole nic więcej nie leżało, a archiwistka nie wyglądała na zgrywuskę lubiącą się bawić w „Ciepło, zimno”.

– Wszystko. – Przez chwilę milczała. – Nie znam oczywiście tej sprawy, ale gdybym miała wyrokować na podstawie informacji, że jeden to repatriant ze Wschodu, a drugi – Niemiec, tobym powiedziała, że dla pierwszego to były ziemie odzyskane, dla drugiego – stracone. Różnie było tu ze stosunkami ludzkimi, gdy się ludność mieszała, to się przecież nie odbyło za jednym razem. Fale już napływały, nie wszyscy Niemcy opuścili dotychczasowe domy. To musiało rodzić napięcia i rodziło. Dochodziło do różnych sytuacji. Teraz byłyby oceniane inaczej, ale w tamtych czasach, jeśli sprawa nie była ewidentnym przestępstwem, pewnie często uznawano je za „incydenty”. Nie oczekiwałabym tu wyroków, raczej uniewinnienia czy umorzenia.

Wiera wsiadła do samochodu. W rękę trzymała skserowaną kartkę z notatką sporządzoną przez milicję. Zadzwoiła do Kosonia.

– Cześć – odebrał szybko. – I cóż tam w Olsztynie? – zapytał niby lekkim tonem, ale wyczuła w nim nutę napięcia. Komisarz Janusz Kosoń, dwa lata przed emeryturą, lekko zgorzkniały stoik, wreszcie był czymś zainteresowany.

– Dobrze, szefie. Wie szef, kto zabił Tomasa Hermana seniora?

– Kto spowodował nieszczęśliwy wypadek, w którym zginął Tomas Herman senior. – Wciąż jednak był sobą – skrupulatnym gliną.

– Tak, przyjmuję poprawkę – mruknęła. Głośno zaś powiedziała: – Jan Hryciuk.

– No proszę. Coś jeszcze? – A jednak był zdziwiony.

– Nie, tylko tyle.

– No i co zrobisz z tą informacją?

– Ja? – Wiera nagle się spłoszyła. W tej archiwalno-detektywistycznej dłubaniu wolała być sama i pierwsza się dowiadywać o wszystkim, ale gdy wracała do współczesnego śledztwa, pojedynczość traciła urok.

– No ty, pani sierżant.

Zacukała się. No, co z tym zrobi? Z archiwum nic więcej nie wycisnie, ci, co mogliby być świadkami, dawno leżą w grobach. Tomasza Hermana nie licząc, choć on był wtedy małym dzieckiem. Ale żyje. To było jedyne, co przychodziło jej do głowy.

– Pojadę do Karolewa i skonfrontuję Tomasza Hermana z tymi informacjami.

– Nie będę brał drugiego auta, przyjeźdź po mnie, pojedziemy razem. Zadzwoń do Marysi.

– *Mein Gott!* – Tomasz Herman był blady. Dłonie mu się trzęsły. – *Mein Gott.*

Siedzieli w sali konferencyjnej Szańca. Na blacie leżały kserokopie archiwalnych dokumentów.

– Nie wiedział pan wcześniej o tych faktach? – zapytał Kosoń.

– Nie, no skądże. – Herman przeniósł wzrok z dokumentów na komisarza. – Ja dopiero teraz, dopiero kiedy państwo...

– Ale przecież szukał pan informacji na temat swojego pochodzenia – ciągnął spokojnie Kosoń. – Był pan w Lidzbarku. Tak jak sierżant Jezierska.

– Byłem, tak, byłem, przecież ja o tym państwu powiedziałem, niczego nie zataiłem. I wtedy dostałem tylko tę informację, którą państwu już przekazałem, nic więcej. Przecież gdybym wiedział... – Herman umilkł. Bezradnie wpatrywał się w papiery.

– Gdyby pan wiedział, to co by pan zrobił? Poszukałby pan informacji o Janie Hryciuku?

– No, czy ja wiem?... Może, tak z... z... ciekawości? Nie, to złe słowo. Z chęci...

– Posiadania informacji? – podsunął uprzejmie Kosoń. – Dowiedziałyby się pan, że Jan Hryciuk nie żyje, ale miał syna Daniela.

Herman patrzył na niego skołowany. Nic nie mówił.

– Życie sieroty musiało być ciężkie. Dwa lat w sierocińcu, pewnie dlatego, że został pan wywieziony daleko od Karolewa, teraz już można się domyślać, dlaczego wujostwo, choćby i dobre, rodziców nie zastąpi. To musi rodzic żał. Przez lata to był żal do losu, ale gdyby się okazało, że ten los ma konkretną twarz i nazwisko... I że po świecie chodzi sobie Daniel Hryciuk, który ma się jak pączek w maśle, to żal mógłby się zamienić w pragnienie zemsty. To psychologicznie byłoby całkiem zrozumiałe. – Kosoń mówił, jakby omawiał sprawę kogoś postronnego, sprawę, w którą żadne z nich nie było zaangażowane.

– Ależ... ależ... – Herman aż się zapowietrzył. – Czy pan sugeruje, że ja bym mógł... że ja zabiłem Daniela Hryciuka? To nieprawda. Ja o niczym nie wiedziałem, zresztą nawet gdybym wiedział, nie zabiłbym go.

– Takie sądy są uprawnione wtedy, gdy już się wie. Póki się nie wie, to ocena swoich zachowań jest mało wiarygodna. Wiemy tyle, na ile nas sprawdzono. – Kosoń dalej grał rolę spokojnego sentencjonalisty.

Wiera patrzyła na tę scenę z mieszanymi uczuciami. Do tej pory podświadomie, właściwie świadomie też, chciała, żeby znalazł się inny podejrzany niż Zieliński. Herman jej pasował. Był już mocno starszy, owszem, przetrącony przez los, ale

życie miał chyba niezłe, wbrew temu, co powiedział Kosoń. A już na pewno w porównaniu do Zielińskiego.

– Kiedy był pan w sierocińcu w Lidzbarku? – zapytała Hermana.

– Słucham? – Herman popatrzył na nią, jakby nie zrozumiał pytania.

– Pytam, kiedy był pan w Lidzbarku, w domu dziecka, żeby poszukać informacji o sobie – powtórzyła.

– Dawno. Z dziesięć lat temu. Naprawdę tylko to mi wtedy przekazano, zresztą ta dyrektorka była taka niechętna, dlatego nie dopytywałem, po prostu wziąłem to, co przygotowała.

„Była zajęta dręczeniem dzieci”, Wierze przypomniała się rozmowa z obecną szefową placówki.

– To co teraz będzie? – Herman wyglądał, jakby miał się rozpaść.

– Do zakończenia pobytu będzie pan tu. A potem... – Kosoń zawiesił głos – ...dowie się pan.

– Jeśli nie był w kółku teatralnym, to raczej nie on. – Kosoń z lubością się zaciągnął, po czym dmuchnął, odwracając głowę w drugą stronę. Palenie to był nałóg, który Wierzy zupełnie nie pociągał. Nie znosiła zapachu nikotyny, Kosoń o tym wiedział. Szarmanckość przegrywała z uzależnieniem, ale to dmuchanie na boki było gestem pojednania.

– Na razie bym nie wykluczała – zaczęła ostrożnie.

– „Na razie” nam się kurczy. Za cztery dni koniec wesołego turnusu. Marysia przesunęła decyzję do jutra. – Kosoń znowu podniósł papieros do ust. – Co teraz, pani sierżant?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo zadzwonił telefon Kosonia.

– Halo? Gdzie? A, tak, byliśmy. Dobra, w sumie możemy. Na razie.

Spojrzał na Wierę.

– Dzwonił dyżurny. Jest zgłoszenie. Z Biedaszek.

– Suka powinna znać swoje miejsce. W budzie! W budzie, rozumiecie?

Dwaj policjanci z patrolu, który zjawił się przed nimi, z trudem wpychali agresywnego mężczyznę do radiowozu. Zataczał się, ale krzepę miał. Z zapuszczonego podwórka właśnie na sygnale odjeżdżała karetka ze skatowaną i nieprzytomną Klaudią Moroń.

– Trochę przesadził, nie powiem, ale kto się teraz dzieciakami zajmie? – Sąsiadka Moroniów podeszła do nich. Miała smutną alkoholyczną twarz. – Różnie było, no różnie. Ale facet w domu to facet w domu. Pieniądz przyniesie, drzewo narąbie. Niedobrze się czasem działo, ale taki ten świat. I ona to rozumiała, przez długo. A ostatnio jakoś zaczęła się stawiać, jakby myślała, że to się da zmienić. No i jest, co jest. – Szeroko rozłożyła ramiona. Przez powietrze przeleciała kwaśna woń potu. – A dzieciśka same. I co teraz?

– Dziećmi zajmie się wykwalifikowana placówka – powiedziała Wiera, zastanawiając się, czy sąsiadka Moroniów dorobiła się potomstwa.

Czuła dudnienie w uszach. Wtedy chciała przywalić Klaudii Moroń, teraz miała ochotę strzelić tę kobietę. Starła się nie odwracać głowy w stronę domu, gdzie była czwórka tych maluchów.

– Opieka społeczna też wykwa... – kobieta czknęła. – ...lifikowana. Wszyscy tacy wykwalifikowani. E! – Machnęła ręką, odwróciła się i poszła.

Wiera przypomniła sobie słowa Kosonia, gdy byli tu poprzednim razem na interwencji: „Może dopisze jej szczęście i zgarniemy go za coś, zanim ją zatłucze. Świata nie zbawisz. To zostaw wykwalifikowanym siłom”.

– Szefie, ja pojedę jeszcze raz do Lidzbarka, do domu dziecka. Przejrzę te pudła. Chcę mieć pewność, że absolutnie wszystko sprawdziłam.

„Że mam kwalifikacje do tej roboty”, dodała w myślach.

ROZDZIAŁ 33

Pomieszczenie było monochromatyczne – wszystko w beżowej szarości – podłoga z neoheblowanych desek, grube belki stropu, szerokie deszczułki boazerii, z prześwitującymi fragmentami otynkowanej i niepomalowanej ściany. Na dwóch przeciwległych końcach prostokątnego poddasza zrobiono okna. Też były szare – z niemycia. Brud nie rozłożył się równomiernie – tamtędy, gdzie szyba była czystsza, słońce wbijało się mocniej, jaśniejszą smugą, jak mieczem przecinając pomieszczenie. Mimo że Wiera stała nieruchomo, nie wzniecając kurzu, w promieniach słońca widziała jego wirujące drobiny. Byłoby może nawet romantycznie tajemniczo, gdyby nie fakt, że znajdowała się na strychu domu dziecka. Takie pomieszczenia – oddzielone od reszty pokoi, z grubymi drzwiami wejściowymi, dobrze chroniące dźwięki, zawsze były podejrzane. Piwnica i strych – miejscówki psychopatów. Komórka lub drewnutnia też by pasowały do tego zestawu, ale były mało literackie czy filmowe. Sprawdzały się za to w prawdziwym życiu, na przykład w Ornece.

Otrząsnęła się z tych myśli.

Joanna Szar niechętnie zostawiła ją tu samą. Tłumaczyła, że nie ma czasu, że pod koniec sierpnia, przed początkiem roku szkolnego, dzieje się wyjątkowo dużo, poza tym właśnie dziś wraca z obozu harcerskiego grupa starszych dzieci i że może przyszlotygodniowy termin byłby lepszy. Dopiero na sam koniec przyznała, że strych jest nieodnowiony, niesprzątnięty, a pudła ze zdjęciami tylko pobieżnie przejrane. „Tam wszystko zapuszczone. Może poproszę przynajmniej woźną,

zniesiemy na dół, do mojego gabinetu, trochę odkurzymy i za godzinę panią zaprosimy. Bo tak to wstyd”.

Wstyd. „Po tym, kto się czego wstydzi, widać, jakie miał życie”, pomyślała Wiera.

Podeszła bliżej ściany. Trzy kartonowe pudła, solidne, widać, że wiekowe. Zachodzące na siebie brzegi pokryw były zanitowane, dna wzmocnione.

Rozejrzała się. W kącie stało kilka krzeseł, chyba z dawnych sal lekcyjnych, bo wyglądały jak trochę zmniejszona wersja dla dorosłych. Przejechała palcem po siedzisku jednego z nich. Na sklejce został wyraźny ślad. Wyciągnęła z torebki paczkę chusteczek i starła brud. Skołtuniony kurz spadł na jej czarne trampki. Skrzywiła się – przykurzony czarny wygląda wyjątkowo nieestetycznie.

Przeniosła krzesło w poblize pudeł. Zdjęła pierwszą pokrywkę.

Rzeczywiście, zdjęcia były w nieładzie. Luźno wrzucone, nieposegregowane. Różne formaty, w kolorach ORWO, współczesne. Czarno-białych nie było. Innych dokumentów nie widziała – tylko fotografie.

„Nie wszystkie są opisane, niektóre nie mają dat. Część jest taka mniej formalna, niepozowana. Miałam się tym zająć, ale, tak jak mówiłam, najpierw ważniejsze sprawy. A najważniejsze jest samopoczucie dzieci i zapewnienie im spokoju. Chcę, żeby znów były ufne. Przecież to podstawowa cecha dziecka – ufność”.

Wiera przyglądała się dzieciom na zdjęciach. Czy były ufne?

Trudno powiedzieć, bo w tym pudle przeważały zdjęcia pozowane – jakieś ujęcia w klasach, w ogrodzie, na korytarzu. Wszystkie w kolorze, czyli pewnie od lat osiemdziesiątych. Mogłaby sobie darować, ale kto wie, czy nie zaplątało się tu coś istotnego. „Analityczny umysł, intuicja, łut szczęścia – to wszystko się przydaje. Ale przede wszystkim: żmudna, nudna do porzygania, drobiazgowa robota”, mówił inspektor Choromański na zajęciach w Szczytnie.

„Lato 1983”, „Rok szkolny 1991/1992”, „Z życia stołówki 1986”, „Na wycieczce w Braniewie 1997”. Twarze, profile, półprofile, wnętrza, plenery, opisy

z tyłu. Nic wartego zainteresowania.

Ubywało zdjęć w pudle, przybywało na pokrywcę.

Ostatni karteluszek. Wyprostowała się. Krzesło było niewygodne, twarde, zmuszające do trzymania pleców prosto.

Przełożyła zdjęcia z powrotem do pudła, przykryła wiekiem.

Sięgnęła po kolejne.

Tu dla odmiany przeważały czarno-białe fotografie. Formaty były mniejsze, niektóre miały ząbkowane brzegi.

Lata sześćdziesiąte, gdzieś w tle autobus ogórek, potem dzwony i opaski na głowie, czyli siedemdziesiąte, znowu cofnięcie w czasie – „1962, wykopki”, „Pochód z okazji święta 1-go Maja, 1977”.

Ręce miała już szorstko-lepiące od przekładania tych kartoników.

Przejrzała do końca zawartość drugiego pudła. Nic.

Wstała, przeszła się po strychu. Podeszła do okna, próbowała je otworzyć. Nie dało się – ramę trzymał wbity we framugę zakrzywiony gwóźdź. Przeszła do drugiego okna – to samo.

„Czego się bali? Że ktoś się włamie czy żeby któreś dziecko się nie rzuciło?”

Czuła, że zaczyna ją boleć głowa. Z napięcia, od tej strychowej zatęchłości, od niewygodnej pozycji siedzenia.

Wróciła do swojego stanowiska pracy. Zobaczyła, że wydeptała ścieżkę między oknami. Jeśli się patrzyło pod słońce, było widać przetarty na zakurzonej podłodze szlak. Spojrzała na swoje trampki. Czerń materiału nabrała szarości, biel podeszew – zszarzała.

„Trzeba będzie doczyścić w domu”, pomyślała.

Wzięła trzecie, ostatnie pudło.

Zaczęła je przeglądać. Tu nie było żadnej spójności – jakaś świeża współczesna fotografia z sekretariatu, kilka dużych plansz ze zdjęciami absolwentów z początku lat siedemdziesiątych, mała czarno-biała fotka „Lato 1979”.

Została połowa.

Wiera ociągała się w wyjmowaniu kolejnych kartoników.

Wróci z niczym.

Związek między Hermanami a Hryciukami zostanie niewyjaśniony. Będzie ją to dręczyło, obsesyjnie do niej wracało, znała się przecież.

Przyzwan wystąpi z wnioskiem o areszt tymczasowy dla Zielińskiego. Nie wiadomo, co znajdą, szukając głębiej – w Krakowie, u niego w domu, w pracy, grzebiąc mu w przeszłości. Coś na pewno. „Szukajcie, a znajdziecie”, zawsze się znajdzie taki Król.

Zieliński, bez względu na finał – czy dojdzie do rozprawy, czy nie – będzie przegrany. Hryciuk jest już poza ziemskim wymiarem sprawiedliwości. „Ciekawe co, jeśli w ogóle, dzieje się po tej drugiej stronie z takimi ludźmi jak Hryciuk – na boskich etatach i z diabłem za skórą”. Lubień żywy, ale też poza zasięgiem.

„Lato 1949”. Dziewczynki w fartuszkach, chłopcy w śmiesznych krótkich spodniach. Chude, pewnie opalone nogi. Śmieli się, więc może czasem zdarzały się tu sytuacje do śmiechu.

„Wizytacja kuratorska 1972”. Sala lekcyjna, pod tablicą dwie kobiety, dzieci siedzące w ławkach, plecami do fotografa.

Na dnie pudła została kupka zdjęć.

Wiera spojrzała na zegarek – dochodziła dwunasta. Spędziła tu blisko trzy godziny. Przed drugą będzie w Giżycku.

Głęboko odetchnęła. „Życie to nie jest koncert życzeń, Jezierska”.

Kolejne kartoniki lądowały na pokrywce.

Korytarz sierocińca, pod ścianą kilku chłopców i ksiądz. Czarno-białe zdjęcie, trochę niewyraźne, bo częściowo robione pod słońce wpadające przez wysokie okno. Odwróciła fotografię.

„26 grudnia 1973 r. Wizyta Księdza Daniela Hryciuka w naszym Domu. Obok stoją: Mikołaj Żuk, Stasio Piotrowski, Olek Mikołajczuk”.

Hryciuk. Poczwała ścisk w krtani.

Daniel Hryciuk w towarzystwie młodych chłopców. Myśli popłynęły w jednym kierunku.

Trzymała zdjęcie w wyciągniętej dłoni. Niżej, na zakurzonych deskach widziała swoje trampki. „Przykurzona czerń, zbrukana biel”, pomyślała.

Czuła narastające dudnienie w uszach.

I co z tego, że Hryciuk? Nawet jeśli i oni byli jego ofiarami, to, jak to powiedział Kosoń, archiwalny ból. Dla sprawy to nieistotne.

Nagle poczuła jakiś dreszcz. Raz jeszcze odwróciła zdjęcie.

„Mikołaj Żuk, Stasio Piotrowski, Olek Mikołajczuk”.

Mikołajczuk. Słyszała to nazwisko przy okazji tej sprawy. Co to było?... No co to było?

Mikołajczuk – tak się nazywała Farnese przed wyjazdem do Włoch.

ROZDZIAŁ 34

– Kurwa, to nie szaniec, tylko szambo. – Maria Przyzwan chodziła po pokoju jak lew po klatce. – To na pewno jej rodzina? Kto? Jej dziecko?

– Czekam na potwierdzenie. – Wiera wpatrywała się w czarno-białą karteluszek. – Jeśli dziecko, to musiała mieć je bardzo wcześnie.

– Może dlatego ten chłopak wylądował w sierocińcu? – myślała głośno Przyzwan. – Ale skąd tam Hryciuk? A może on jednak wybierał nie tylko chłopców i to jego dzieciak?

– Gospodyni mówiła, że tylko chłopcy przychodzili na plebanię – przypomniała Wiera.

– Co w ogóle o nim wiemy, znaczy o tym Mikołajczuku? – Teraz pytał Kosoń.

– Na razie, że nie żyje. – Wiera przeniosła wzrok najpierw na komisarza, potem na prokuratorkę. – Zmarł w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym.

– W siedemdziesiątym czwartym – powtórzył Kosoń. – Rok po zrobieniu tego zdjęcia. To ile lat mógł mieć? Dwanaście? Czternaście? Co się stało?

Wiera wzruszyła ramionami.

– Jeszcze nie wiem.

Nie potrafiła, zresztą nawet nie próbowała odpędzić myśli, że ta zdecydowanie przedwczesna śmierć jest związana z Hryciukiem. Póki jednak nie zadzwonią z dołu z potwierdzeniem, nie powie tego głośno.

Przyzwan wzięła fotografię do ręki.

– Kurwa, ile dzieci on skrzywdził? Tu mamy lata siedemdziesiąte, Zieliński to osiemdziesiąte, a ten księżulo wciąż był na chodzie. Cztery dekady? Mniej, więcej? Przecież to jest trauma na całe życie. Teraz to się jeszcze jakoś próbuje ogarniać, pomagać, jest wsparcie, a wtedy? Jezu, ja pierdołę! – Walnęła ręką w stół.

– Bywa wsparcie. – Kosoń nie ruszył się z miejsca.

– Okej, bywa wsparcie. Ale są miejsca, w których ofiara dostanie pomoc, nawet jeśli zawiodą rodzina, znajomi, policja, sąd. A wtedy? Jak ktoś nie był wystarczająco silny, to...

– To kończył jak Zieliński. Ten facet jest kłębkim nerwów. – Kosoń pokiwał głową. – Terapeuta, antydepresanty, ponad ćwierć wieku od tamtych wydarzeń i wszystkie wysiłki, żeby o nich zapomnieć jak krew w piach.

– Jak potas w żyłę. – Przyzwan znowu weszła w rolę prokuratorki.

– Do tej pory rzadko się rozjeżdżaliśmy w opiniach, ale...

Wiera poczuła wibracje telefonu, a za chwilę dzwonek.

Rozpoznała numer. Od nich.

– Wiera Jezierska, słucham – powiedziała do aparatu. – Tak, notuję. – Nachyliła się nad blatem. Sięgnęła po ołówek i zaczęła pisać. – Wanda i Michał. Aleksander i Magdalena. Tak. Siódmy marca pięćdziesiątego dziewiątego. Grudzień siedemdziesiątego drugiego. Okej. Ósmy lutego siedemdziesiątego czwartego, Lidzbark Warmiński. Sa... – Umilkła. Miała wrażenie, że Kosoń i Przyzwan słyszą, jak krew z łoskotem przewala się przez jej tętnice. Po kilku niemych minutach powiedziała: – Dziękuję.

Odłożyła telefon na stół. Podniosła głowę znad kartki. Przyzwan i Kosoń patrzyli na nią wyczekująco.

– Aleksander Mikołajczuk był bratem Magdaleny Mikołajczuk. Trafił do sierocińca w Lidzbarku Warmińskim w siedemdziesiątym drugim, po śmierci matki, razem z siostrą. Ich ojciec nie żył już od kilku lat.

– To jest po prostu ziemia przeklęta. – Przyzwan westchnęła. – Czasem się cieszę, że jestem z Rzeszowa. Rzadko. I to jest właśnie taki moment.

Wiera tego nie skomentowała. Myślała o ziemi przeklętej, o sobie i o Aleksandrze Mikołajczuku.

– Masz przyczynę śmierci? – zapytał Kosoń.

Wiera przełknęła ślinę.

– Popęłnił samobójstwo.

– Samobójstwo? – zapytała Przyzwan. – Jezu, kurwa, *sorry*, pytam jak głupia, przecież słyszę. Wiesz coś więcej?

– Będę wiedzieć dziś po południu.

„Nigdy nie chciałam się zabić. Czasem nie miałam ochoty żyć, ale to coś zupełnie innego”. Wiera nie potrafiła się uspokoić.

– Myślisz, że ona też jest w to zamieszana? Ich troje? Dwoje? Tylko jedno z nich? Które? – Kosoń na chwilę odłożył swoją maskę stoika.

– Nie wiem. Zanim tu przyjechałam, położyłabym każdą kasę na stół, że to Zieliński. I że to z nim jest związane to pedofilskie kółko różańcowe. Ta dzisiejsza rozmowa z biskupem była kuriozalna. E, ą, złote obwódki na filizankach, a jak przyszło co do czego... „Oskarżenia wobec tego, który już się tu, na ziemi, obronić nie może, trzeba wyjątkowo ważyć”. Oczywiście powiedział, że nigdy nie usłyszał żadnego zarzutu pod adresem Hryciuka, bo gdyby tylko cokolwiek, to Kościół by oczywiście należycie się zajął tą sprawą. Złamas! – W Przyzwan buzowała złość.

– Przeniósłby go do innej parafii. Tak było – powiedziała Wiera.

– A o Lubienia jakoś zahaczyłaś? – zapytał Kosoń.

– On sam zahaczył. Że tyle zacnych osób żegnało Hryciuka, jakby to miało być potwierdzenie jego nieskalanośi. A wśród tych zacnych – zacnych, rozumiecie? – co drugi pewnie gorszy od Hryciuka. Zapytałam, skąd się znali z Lubieniem. Powiedział, że pan minister zawsze ma w sercu swoją małą ojczyznę i w różny sposób ją wspiera, na przykład dbając o szpital i kupując karetki. A że troska płynie i ze strony Kościoła, to ich drogi się przecięły. Zapytałam, czy nie znali się w dawnych czasach. I chyba przegięłam, bo od razu się usztywnił i już bardzo

pilnował. Na pewno wojewódzka już wie. Król pewnie też zaraz będzie poinformowany o przebiegu rozmowy.

– I? – zapytała Wiera. – Co teraz?

– Z nimi? Póki co nic. Jeden nie żyje, innych pewnie biologia kastruje, ale nie zostawię tak tego. Przez lata miałam poczucie, co tam poczucie, wiedziałam, że oni mnie, że wszystkich dokoła robią w chuja. Cholerne dziady, wspierające się i kryjące nawzajem. I nikt im nie podskoczy, bo każdy za cienki w uszach. System działa bezlitośnie – jesteś z nami, to winda cię wywozi na coraz wyższe piętra. Jesteś przeciw nam – spadówa. Premiują ślepo wiernych żołnierzy. Próbowałam, stawiałam się, podgryzałam ich. I co? Nic. Prokuratura rejonowa, taką zrobiłam karierę. Żebro bryluje na salonach, a to ja mu pisałam uzasadnienia i mowy. Jeśli teraz tego nie ruszę, to już niczego sensownego nie zrobię. Przejdę na zasraną emeryturę i każdego dnia będę sobie odtwarzała w pamięci te niepowodzenia.

– Oczekujesz sprawiedliwości w sądzie? – Kosoń był empatyczny i zdystansowany jednocześnie.

– Czasem do sądu idziesz po wyrok, nie po sprawiedliwość. Na razie na topce jest Hryciuk, ale potem przyjdzie czas na grzebanie w pobocznych wątkach. – Po minie Przyzwan widać było, że się zawzięła, że to postanowione.

– Maryśka, to jest... – Kosoń się zawahał.

– No co jest? Że i tak są nietykalni? Kruszyć trzeba ten mur, mówiłam i tego się trzymam. Mnie to wisi, tobie też, bo za chwilę będziesz emerytem. Co nam zrobią? Przypadkiem potraci nas na ulicy jakieś auto? Możemy powalczyć, bez względu na górę. A Wiera... – Spojrzała na nią. – Wiera niech pojedzie porozmawiać z Mikołajczuk, czyli Farnese.

– Przyjechała tu pani na grób brata?

Mogłaby jakoś pęknąć, na przykład nagły skurcz mógłby przeszyć jej twarz, dłoń się zacisnąć, a grdyka zbyt szybko poruszyć. Potem mogłaby zaprzeczyć lub

dopytywać, skąd Wiera wie. Nic z tych rzeczy. Magdalena Farnese siedziała w tej samej pozie, z założonymi nogami i dłońmi splecionymi na stole. Nawet nie drgnęła.

– Oczywiście, mam to w planie, już po turnusie. Opieka nad grobem Aleksandra od dawna jest zlecona odpowiedniej firmie. Moja obecność na cmentarzu ma więc charakter refleksyjny, nie porządkowy.

– Kiedy Olek umarł? – Wiera specjalnie użyła zdrobnienia, jak na fotografii.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym.

Znowu spokojnie, choć mogłaby powiedzieć, że na pewno to sprawdzili albo że to nie jest trudna do znalezienia informacja.

– Co się stało z państwa rodzicami?

– Wcześniej zostaliśmy sierotami. Ojciec umarł na zapalenie płuc, mama na raka. Współczesna medycyna jest cudownie skuteczna w porównaniu z tą sprzed kilku dekad.

Wiera pomyślała o zastrzyku potasu. Też jest cudownie skuteczny.

– I co się dalej działo?

– Zostaliśmy umieszczeni w domu dziecka.

– W Lidzbarku Warmińskim.

– W Lidzbarku Warmińskim.

I znowu nic, nawet drgnięcia powieki czy najmniejszego zniecierpliwienia. Albo jest psychopatką, albo uważa Wierę za kompletną kretynkę. Albo jest perfekcyjnie opanowana.

– Jak długo?

– Cóż, jak to zwykle bywa – ja do pełnoletności, do skończenia liceum, a Aleksander... – Chwila przerwy, ale niezbyt długa. Ciche westchnięcie, spojrzenie gdzieś w dal, za okno, a potem wzrok skierowany na rozmówczynię. Wiera знаła tę sekwencję. Wszystkie ważne sceny w serialowych tasiemcach były tak rozgrywane. – Czasy były inne, trudniejsze. Dzieci chowały się w chłodniejszych warunkach, ale śmierć rodzica to zawsze okropne doświadczenie.

A gdy umierają oboje i sieroctwo jest pełne... – Znowu ta sama sekwencja. – Byłam silniejsza. Może dlatego, że starsza, a może po prostu jestem innym człowiekiem. Aleksander nie umiał sobie poradzić z emocjami. Nie potrafił w niczym znaleźć ukojenia. Miałam nadzieję, że może kiedy wreszcie skończę osiemnaście lat, kiedy się wyprowadzę i będę mogła się stać dla niego zastępczą matką... Nie udało się. Zabrakło mi kilku miesięcy.

– Jest pani przekonana, że to samobójstwo to z powodu śmierci rodziców?

– Wydaje mi się, że śmierć rodziców to jest taki powód, który może sprawić, że dziecko targnie się na swoje życie. Pani by nie rozpaczała po śmierci rodziców?

„Nie może wiedzieć, no skąd, jak?”, Wiera poczuła nieprzyjemne ciepło na szyi. Źle się czuła w towarzystwie tej kobiety, a jednocześnie w jakiś sposób ją intrygowała.

– Nie było żadnego innego powodu? Nikt mu nie dokuczał, nie dręczył go? W końcu to dom dziecka, tam różnie bywa. – Sprawnie udało się jej zignorować to pytanie.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Farnese też nie wypadła z roli.

– Zna pani tę fotografię? – Wiera odblokowała telefon i pokazała jej Olka wraz z dwoma kolegami i młodym Hryciukiem.

– Chwileczkę, założę okulary. – Farnese wyjęła z torebki eleganckie etui, a z niego rogowe oprawki. Nachyliła się nad blatem. – To mój brat. Och, proszę wybaczyć. – Sięgnęła palcem pod szkło. – To jednak wzruszające. Aleksander.

Wiera przyglądała się jej bez słowa.

– A tych chłopców pani zna?

Farnese znowu się pochyliła.

– Nie. To znaczy pewnie znam, znałam, jeśli to zdjęcie z sierocińca, ale nie pamiętam twarzy ani już tym bardziej imion.

– A tego księdza? – Teraz to Wiera musiała się pilnować, żeby głos jej nie zadrżał.

– Nie – odpowiedziała Farnese. Czysto i pewnie. Zbyt czysto i pewnie.

Wiera nie miała wątpliwości. Kłamała.

ROZDZIAŁ 35

– Kosoń nie mówił, dokąd się wybiera? – Przyzwan oddzielała kolejne kawałki naleśnika widelcem, a potem maczała je w gęstej śmietanie obficie pacniętej na wierzch.

Siedziały w barze Świtezianka. Wiera przyszła rano do pracy, opowiedziała Kosonowi o wczorajszym spotkaniu z Farnese. Była przekonana, że kobieta rozpoznała Hryciuka na zdjęciu. I że jej pobyt w Szańcu został starannie zaplanowany.

„Przeczenie nie jest złe. Ale na końcu i tak liczą się dowody albo chociaż naprawdę mocne poszlaki”, odpowiedział jej Kosoń.

Miał rację, ale w sytuacji, gdy narzędzie zbrodni zapewne zostało spuszczone w kiblu, na kartce i Hryciuku nie było odcisków palców, nikt niczego nie widział i nie słyszał... Co policja może dać sądowi?

A potem Król wezwał Kosonia do siebie, na długą godzinę. Kosoń wrócił niby spokojny, ale Wiera na tyle zdążyła go poznać, że zauważyła, że coś się w nim rozstroiło. No a potem pojechał dokądś, nie mówiąc dokąd.

– Nie. Powiedział tylko, że będzie po południu. – Wiera mieszała łyżką w chłodniku. Przyzwan chciała się widzieć z szefem. Kosonia nie było, więc zaproponowała Wierze wspólny obiad. „W odpowiedniej odległości od komendy”, powiedziała. Podjechały do Świtezianki.

Wiera od wczorajszego popołudnia układała sobie w głowie różne scenariusze. Za żaden nie dałaby sobie ręki uciąć. A bez Kosonia obok czuła się niepewnie.

– Stary chyba dociskał Janusza. Chce decyzji. A potem, w zależności od tego, jaka to będzie decyzja, albo ją przyjmie, albo będzie próbował zmieniać.

Wiera wzruszyła ramionami.

– Pewnie tak.

– „Nie można ot tak mordować szanowanego obywatela, i do tego księdza dziekana. Ksiądz dziekan jest ofiarą, proszę o tym nie zapominać”. – Przyzwan zmieniła ton głosu. – Król na pewno wyprodukował z siebie coś takiego.

– Pani prokurator myśli, że on jest... jest w to uwikłany? – Wiera mimo wszystko nie potrafiła sobie wyobrazić, że Król działa na zlecenie pedofilów. Ta podrzędność w strukturze dziobania to jeszcze, przecież cały świat jest tak skonstruowany – od przedszkola do emerytury. Ale w takim wypadku?...

– Król? Eee, nie. To znaczy nie czynnie, tylko biernie jest uwikłany. On jest za krótki i za mało lotny. Zrobi, jak mu każą, ale ile wie – pojęcia nie mam.

– A pani prokurator jakiego aktu oskarżenia się spodziewa?

Przyzwan spojrzała na nią jakoś tak, że zastanowiła się, czy nie palnęła niezręczności. Nie są koleżankami, jej sympatia do Kosonia nie musi obejmować Wiery.

– A ty byś jaki wystosowała? – odbiła piłeczkę. Nie wyglądała na urażoną.

– Nie wiem. Teraz mi się wydaje, że Herman to jakiś nieprawdopodobny przypadek, który jednak się wydarzył. A do Hryciuka przyszedł Zieliński lub Farnese. Jeślibym miała obstawiać, to mimo wszystko ona. W niej jest coś takiego... Jakaś siła. Do życia i do zabójstwa.

– Herman jest ciekawy, ale to kazuistyka. A co do tej dwójki... Zostajemy przy poszlakach. Z Zielińskim przełożenie jest proste – Hryciuk go molestował, do czego sam Zieliński się przyznał, a on się wreszcie zemścił, co jest bardzo prawdopodobne. No i pamiętaj o tym liście wygrzebanym z laptopa. Z młodym Mikołajczukiem nie ma tak łatwo – powód samobójstwa jest domniemany, i to tylko w kontekście wiedzy o Zielińskim. Więc z jednej poszlaki musiałyby

wyływać kolejna – że to siostra go mści, po tylu latach. Nie do obronienia. Z Zielińskim może się udać.

– Co się może udać? Skazanie?

– Przypisanie winy Hryciukowi, zwłaszcza gdyby się udało znaleźć kolejne jego ofiary. Potem proces o odszkodowanie, nagłośnienie w mediach. *Post mortem* ta wina, niestety – westchnęła. – Ale może to by był początek łańcuszka, gdybyśmy zahaczyli o Lubienia i innych. Podpalić krzaki i patrzeć, co z nich ucieka. – Przyzwan znowu się zapaliła.

– Zieliński jest wrakiem człowieka. Proces, bez względu na wyrok, go zniszczy. Zostanie ukarany po raz drugi – powiedziała Wiera.

„Co za optyka. Myśl inaczej”. Chciała, ale nie potrafiła.

– Cóż, z jego perspektywy tak to będzie wyglądać. Ale naprawdę jest szansa, że ktoś się zgłosi. I dorwiemy kogoś z kolegów Hryciuka i Lubienia. – Myśli Przyzwan krążyły tylko wokół tego wątku. – Ten donos, o którym mówił Rubert... To też tylko poszlaka, bo to nigdy nie było weryfikowane, więc...

Wiera zaczęła się zastanawiać, ile – a raczej: kogo – Przyzwan jest w stanie poświęcić, by zwalić Hryciuka z pomnika i dorwać jego kolegów.

Torba Przyzwan się rozbucała.

– O, zguba się znalazła. Janusz dzwoni. – Wytarła palec o szczupłą, opalone udo. – No, co tam? – rzuciła pogodnie, lekko odchylając się od stołu. Szybko jednak wróciła do pionu. – Co? Ale jak to? A co z nim? Dobra, jadę. Będę za jakieś czterdzieści minut.

Spojrzała na Wierę.

– Kosoń pojechał do Ruberta. Znalazł go nieprzytomnego, z rozwaloną głową, a w domku rozpierducha, jakby huragan przeszedł. – Wstała i energicznie ściągnęła torebkę z krzesła obok. – To nie jest przypadek, rozumiesz? Nie wracaj na komendę, wybierz teraz pracę w terenie czy cokolwiek. Dam ci znać, co i jak.

Wiera została sama przy stoliku. Machinalnie zamieszała łyżką w chłodniku i podniosła ją do ust. Była głodna, czuła nieprzyjemne ssanie w żołądku, ale mimo

to nie mogła nic przełknąć. Przechyliła łyżkę, wlewając jej zawartość z powrotem na talerz, i odłożyła ją obok, na talerz z niedojedzonymi naleśnikami. Wąska czerwona strużka barszczu spłynęła po białej śmietanie.

ROZDZIAŁ 36

Był zmęczony. Stary i zmęczony.

Podszedł do lustra. E, nie było tak źle. Opalony, dobrze ostrzyżony, w ładnie odprasowanej koszuli dobrej jakości. Elegancki, zadbany pan. Gdyby wszyscy emeryci tak wyglądali.

Zapalił kinkiety. A jednak. Przy skórze było widać srebrny nieufarbowany odrost. Białka oczu miał przekrwione, chyba jakieś zapalenie się wdało. Na skroni, mimo opalenizny, można było zauważyć starcze plamy. Policzki mu obwisły, a usta zamieniły się w wąską kreskę.

Westchnął. Zgasił boczne światło.

Zdecydowanie lepiej. Odsunął się dwa kroki od lustra. O, to był najkorzystniejszy punkt do samoobserwacji. Tak, wszystko zależy od perspektywy.

Źle ostatnio sypiał. Szuba dywagował, czy to nie od leków. Gdyby stary doktor wiedział...

Znowu dostał anonim. Trzeci raz. Z tą samą treścią, nadany w tej samej placówce pocztowej w Olsztynie.

O co w tym wszystkim chodziło?

Wtedy, za pierwszym razem, zadzwonił do Michała. Tamten go uspokajał, ale wyczuł w jego głosie nutę niepokoju. No jasne, nie wiedział przecież, czy on też nie dostanie takiego anonimowego listu. Tyle tylko, że jego dodatkowo chronił immunitet. Pałac był jak złota klatka, ale sądowi by się tak łatwo nie oparł. Michał

twierdził, że zaraz się pojawi żądanie kasy i że „to się załatwi”. Z przekonaniem to powiedział. Daniel nie musiał nawet pytać, czy czerpał tę pewność z własnych doświadczeń.

Gd przyszła druga koperta, spodziewał się tekstu w stylu: „Trzydziesty trzeci kilometr 51 w stronę Dywit od rogatek” albo „O 23.00 przy Diabelskim Moście”. To tam miałyby zostawić pieniądze. Nic z tych rzeczy. Znowu przeczytał to samo zdanie. I teraz też. „DO MNIE NALEŻY POMSTA, JA WYMIERZĘ ZAPŁATĘ”. List do Rzymian. Apostoł Paweł napisał go po to, by ludzie doświadczali usprawiedliwienia przez wiarę. Ludzie są grzeszni, ale w oczach Boga mogą być uczynieni sprawiedliwymi. Usprawiedliwienie zależy wyłącznie od łaski Najwyższego. *Sola gratia*. Zbawienie jedynie w łasce. *Sola fide*. Zbawienie w wierze. Luter uważał, że to najważniejszy list Nowego Testamentu, od tego wyprowadził swe reformatorskie nauki.

Co mu chciał powiedzieć autor tego listu? Że tylko Bóg go będzie mógł ocenić? Że tylko Bóg mu będzie w stanie pomóc?

Czy to możliwe, żeby któryś z tych chłopców pisał do niego tylko po to, żeby mu przypomnieć, co zrobił? Niczego nie żądać, nie planować wydania go, nie szantażować, po prostu zmusić go do wspomnień u kresu życia?

Za dużo pytań, za dużo myśli, za dużo lęków. Dobrze, że zaraz jedzie na te wakacje. Przyda mu się trochę takiego wyciszenia.

Początkowo był sceptyczny. Co to za atrakcja, tu, w rejonie, i to w dodatku w Karolewie? Lubień go przekonał. „Jedź, to taki reset dla duszy. Znasz inne triki na duszę, zawodowo, że tak powiem, ale ten też działa. Cicho, kameralnie, ekskluzywnie, Jadzia świetnie gotuje. Dwa tygodnie odcięcia od świata, co w tej sytuacji ma znaczenie. Pobędziesz, nabierzesz dystansu, nikt cię nie będzie niepokoił, a potem się zobaczy”.

Dał mu się przekonać. Nie był taki głupi, żeby nie pomyśleć, że Michałowi to też na rękę. Daniel zniknie, nie będzie do niego dzwonił. Nawet jeśli do sejmu nie

przyszły żadne listy, to przecież razem jechali na tym wózku. Lubień nie wysłuchiwał go jedynie z dobroci serca.

Poszedł się pakować.

ROZDZIAŁ 37

– Cieszę się, że odebrałaś. Wreszcie.

„Kurwa, jeszcze ona. I to teraz”. Nie spojrzała na wyświetlacz, przekonana, że to Przyzwan albo Kosoń. Dzwoniła jednak Anka.

– Cześć – powiedziała. – Słuchaj, nie bardzo mogę, bo właśnie prowadzę...

– Słyszę. Rzecz w tym, Wiero, że ty zwykle nie bardzo możesz. Właściwie to w ogóle nie możesz, bo nie odbierasz. A chciałam porozmawiać o mamie.

– Byłam u niej – wypaliła Wiera. – W ostatni weekend.

– Wiem, rozmawiałam z siostrami. I one są zaniepokojone, że mama po twoich wizytach jest roztrzęsiona i długo dochodzi do siebie.

– Bo jest chora.

– To też wiem. – Anka zawsze była opanowana. Święty spokój, nic dziwnego, że pracuje, gdzie pracuje. – Ale po moich wizytach jest sobą, czyli to nie w niej jest problem.

Wiera znowu to poczuła – falę złości, która podeszła jej do gardła. Za mocno, za wysoko. Nie cofnie jej, nie dziś.

– To znaczy kim jest? Nieśmiało uśmiechniętą kobietą, która nic nie mówi, stara się nie narażać niczym i nikomu? Która każdym oddechem walczy o przetrwanie, choć nie wiadomo, po co jej to życie?

– Co ty opowiadasz? – Ance zadrżał głos. – Jak możesz? Po tym wszystkim, co mama dla ciebie zrobiła...

– No co zrobiła? Urodziła, okej. Nie dała paść z głodu, prała sukienki, chodziła do szkoły na zebrania. A poza tym to przede wszystkim dawała się tłuc ojcu. I my musiałyśmy na to patrzeć. Latami. Ty myślisz, że dlaczego wylądowałaś u tych pingwinów, co?

– Jesteś wulgarna. I niesprawiedliwa.

– Jestem szczerą. Wiesz, co to szczerść?

– Wiem, co to jest powołanie.

– Powołanie! A to dobre. – Wiera się roześmiała. Głośno i oczyszczająco. Nie płakała, w każdym razie rzadko, więc ten śmiech teraz był jak gwałtownie odkręcony wentyl. – Ja się właśnie zajmuję takim, co miał powołanie. Ogromne powołanie, aż go do Pałacu Archiprezbitera zaprowadziło.

– Wiera, ja nie wiem, o czym ty mówisz. Ja zadzwoniłam w sprawie mamy i jej samopoczucia. A może tobie chodzi o księdza dziekana? Tego, którego niedawno pochowano?

– No proszę, niby w zamknięciu żyjecie, a jednak coś wiesz.

– Księżom z Olsztyna stuły haftowałyśmy, dlatego wiem. Dlaczego ty się tym zajmujesz, to znaczy tą śmiercią?

– Słyszałaś kiedyś o jakichś przypadkach pedofilii na naszym terenie? Zwłaszcza w Kościele? – Wiera postanowiła, że nie będzie jej oszczędzać.

– No wiesz... to jest... to... – Anka mówiła przerywanie. – Jak możesz!

– Ja? Jak ja mogę? Jezus, Anka, zdejmij sobie to bielmo z oczu!

– Nie mam żadnego bielma. To ty trafiłaś do takiego środowiska, że wszystko ci można wmówić. I jeszcze na pewno oglądasz taką telewizję i takie gazety czytasz, że można tobą manipulować. Wyrzuciłaś Boga z serca i teraz...

– Anka, kurwa, przestań! – Wierę jednak poniosło, aż rąbnęła dłonią w kierownicę. – O czym ty gadasz? Ja mam bielmo na oczach? To ty jesteś nim cała owinięta! Gdybyś tylko chciała zobaczyć prawdę o tym swoim Kościele...

– Ja znam prawdę. A za ciebie się modlę. Zobacz, dokąd cię prowadzą twoja nienawiść i zaślepienie, do jakich słów, ty...

Wiera chwyciła telefon i nacisnęła wyłącznik. Trzymała tak długo, aż ją kciuk zabolął.

– Miał firmę gastronomiczną, która produkowała wyroby z mąki. Pasty, tortellini, lasagne. Teraz zajmuje się tym zaufany człowiek. – Farnese wyglądała jak własna figura woskowa – nieskazitelna, wyprostowana, gładka. – Wszystko legalne, klarowne, bez zarzutów. – I na dodatek była uprzejma. Uprzedzająco uprzejma. – Czy jest jeszcze coś, czego policja o mnie nie wie?

– Była pani na pogrzebie księdza Hryciuka, prawda?

– Tak, byłam. Ja i pan Tomasz.

– A wie pani, że on tu mieszkał?

– Wiem, pan Tomasz mi opowiadał o swoim dzieciństwie.

– Nie pan Tomasz, Daniel Hryciuk.

Farnese lekko się poruszyła.

– Tak?

„Kłamie, wiedziała”, pomyślała Wiera.

– Naprawdę. Tu się urodził, tu umarł. Trochę symboliczne.

– Czy ja wiem... Ja bym nie chciała umierać tam, gdzie się urodziłam.

„Nie ty jedyna”.

– „Do mnie należy pomsta, ja wymierzę zapłatę”. Ten tekst chyba pani zna.

– Nie ma sensu zaprzeczać, wszyscy go znamy. Pewnych rzeczy nie utrzyma się w tajemnicy. Zresztą może nie zawsze trzeba.

– A co pani myśli o tych słowach?

– Cóż... Ludzie w desperacji, zwłaszcza ci, którzy dużo przeszli, mogą przestać wierzyć w sprawiedliwość boską. Nierychliwość jest do przyjęcia, gdy nie ma się wielu złych doświadczeń.

– To usprawiedliwienie dla mordercy?

– Raczej próba zrozumienia. Usprawiedliwił będzie prawnik.

– A oceniał sąd.

Farnese się uśmiechnęła.

– Trzymam się słów: rządzący nie są postrachem dla uczynku dobrego, ale dla złego.

„Pogrywa sobie ze mną”, pomyślała Wiera.

Wyszła z Szańca. Wsiadła do auta, podjechała do budynku służbowego. Kowal ją zauważył przez okno i otworzył bramę. Jechała wzdłuż ogrodzenia, próbując zebrać myśli. To, co powiedziała jej Farnese, też brzmiało jak jakiś cytat. „Może to coś z oświecenia?”, w głowie kołatały się jej strzępy lekcji polskiego. W każdym razie brzmiało archaicznie. Na końcu drogi gruntowej stanęła. „Tu już powinien być zasięg”. Włączyła komórkę. Wpisała zdanie. Wynik nie chciał wyskoczyć, jedna zdechła kreska zasięgu nie dawała rady. Piknął za to esemes. Od Kosonia. „Zadzwoń”. Przez cały ten czas spychała Ruberta gdzieś w tył głowy. Czy Przyzwan naprawdę miała rację, twierdząc, że to nie przypadek? Że ktoś się dowiedział, że te informacje o Hryciuku i Lubieniu to dzięki Rubertowi? Raz byli u niego wspólnie, ale potem ona wybrała się sama. Czy to przez nią? Co jej się w ogóle wydaje? Że jest mądrzejsza niż Kosoń i Przyzwan? Że sama znajdzie mordercę, a właściwie morderczynię?

Wybrała numer do komisarza. Mimowolnie stukała stopą o gumowy dywanik pod kierownicą.

– Cześć, szefie. Jak sytuacja? – zapytała. Ogólnie, jakby się bała zapytać o szczegóły.

– Jeśli pytasz o Ruberta, to żyje. Dostał w głowę, ale skończy się na szwach i kilku dniach w szpitalu.

– A co tam się wydarzyło? – Wciąż była ostrożna.

– Dodaj dwa do dwóch, tyle ci teraz powiem. I jeszcze to, że w daczce Jurka ktoś urządził demolkę. Jakby czegoś szukał. Nie pieniędzy, bo wszyscy wiedzą, że

on nie jest krezusem.

„Polisa na okoliczność brzydkich, nieszczęśliwych wypadków”.

– Szefie, ale przecież o Hryciuku i Lubieniu wie tylko Król, i to ogłędnie, bo...

– I wystarczyło, jak widać. – Kosoń był poirytowany. Albo zdenerwowany. Albo jedno i drugie. Na pewno był inny niż zawsze, ale sytuacja też była inna niż zawsze.

– No ale to znaczy, że on, znaczy Rubert, też dobrze dodał dwa do dwóch. I że Przyzwan ma rację.

– Do szczęśliwego końca droga daleka.

– No to co teraz? – zapytała trochę bezradnie.

– Jesteśmy z Marysią u niego w szpitalu. Jedź teraz do domu, zobaczymy się jutro rano w komendzie. Bądź godzinę wcześniej, porozmawiamy przed odprawą.

„Zachciało ci się być House'em policji”, ze złością rzuciła telefon na fotel obok. „No i co teraz?” Ekran się rozświecił. Sięgnęła po aparat. „Wynik 1 wyszukiwania jest gotowy”, przeczytała komunikat. „Rządzący nie są postrachem dla uczynku dobrego, ale dla złego”. Nowy Testament, List do Rzymian.

List do Rzymian. Ten sam, w którym napisano: „Do Mnie należy pomsta”.

Wiera też miała rację.

ROZDZIAŁ 38

– Jesteś pewna, że właśnie tak powiedziała? – Przyzwan przysłała z papierosem w ręku, a teraz odpalała kolejnego.

Wieczorem Kosoń zadzwonił do Wierę, żeby spotkali się jednak na „neutralnym terenie”. Umówili się w parku przy Warszawskiej. Stali teraz w bocznej alejce, niedaleko pustego jeszcze o tej godzinie placu zabaw.

– Tak. Na pewno. Nie wymyśliłabym tego.

– Biblia chyba nie jest często plagiatowana, fakt. – Przyzwan się uśmiechnęła. Widać jednak było, że źle spała. Podobnie zmęczone oczy mieli także Wiera i Kosoń. – Masz coś jeszcze o tym Mikołajczuku?

– Nie, niestety. To znaczy same suche fakty. Powiesił się w pralni. – Wierę bolało każde wypowiedziane słowo. – Nie stwierdzono udziału osób trzecich, patolog nie miał wątpliwości, że to samobójstwo. Nic więcej. Żadnych wnikliwych opinii psychologicznych, prób dociekania.

– Dzieciak z bidula się wiesz, sprawa jasna, trochę nieprzesadnego smutku i tyle. Prawie pół wieku temu takie wydarzenia to nie było wielkie halo. – Przyzwan rozdeptała niedopałek i znowu zaczęła grzebać w torbie. – A co jeszcze powiedziała ci Farnese?

– Nic, tylko tyle, co już mówiłam. Że nie poradził sobie ze smutkiem po śmierci rodziców. Nikt go nie dręczył, nie miał żadnego innego powodu. Jej się nie da docisnąć. – „Ty nie umiesz jej docisnąć”. – Ona jest... – Wiera się zawahała. –

Nieobliczalna. To znaczy nie w tym sensie, że wariatka. W zupełnie odwrotnym sensie. Ona robi to, co chce. I robi to w sposób perfekcyjny.

– Myślisz, że to ona zabiła Hryciuka? – Przyzwan patrzyła na nią.

– Tak.

– A ty? – Teraz spojrzała na Kosonia.

– Do wczoraj obstawiałem Zielińskiego. I właściwie nie znajduję argumentów, żeby go dalej nie obstawiać. Mimo wszystko.

– Ja też. – Kiwnęła głową Przyzwan. – Podsumujmy, co mamy. Zieliński przyznał, że znał Hryciuka, że Hryciuk go dopadł na koloniach w Malborku, że on go potem szukał, żeby go skonfrontować z tą prawdą sprzed lat. Zarzeka się, że zabić go nie chciał, ale to oczywiste, każdy się będzie zarzekał. Ma w laptopie dziwne przyznanie się do winy. Herman idzie do lamusa. – Spojrzała na Wierę.

Wiera kiwnęła głową.

– To był dobry kawałek archiwalnej roboty – odezwał się Kosoń.

– W sumie trochę żal. Pełnokrwista historia, ale niedopowiedziana. Herman będzie musiał sam sobie ją dopowiedzieć – skwitowała Przyzwan.

– Szkoda, że nie wiemy, o co chodziło w tej utarczce słownej. Co takiego w Hermanie seniorze sprowokowało ojca Hryciuka tak bardzo, że aż go zabił. – Archiwalna czy nie, niedokończona sprawa jest jak upierdliwy mały kamyczek gdzieś pod wkładką buta.

– Jeśli nie jakaś osobista uraza, to znaczy nie romans czy coś w tym stylu, to pewnie tarcia między tymi, co tu zostali zesłani, a tymi, co właśnie byli wysyłani precz. Tak wyglądała powojenna sytuacja, to były wciąż jęczące stosunki. Na obecny klimat polityczny wręcz doskonale by się to nadawało. Jak się chce reparacji wojennych, to taka sprawa jak znalazł. Co do Farnese... – Przyzwan zawiesiła głos. – To byłoby trudne. Nie mamy nic, absolutnie nic, prócz poszlak. To, że sobie z tobą pogrywa cytatami, nie ma znaczenia. Już sobie wyobrażam dyskusję z sądem i jej prawnikiem. „Mówiła Nowym Testamentem”. „Nawiązania

literackie jasno wskazują...” „W tym przypadku literatura dowodzi...” Kto w Polsce zna Biblię, włączając w to kler?

– Ale po coś to zrobiła, bo na pewno zrobiła to celowo. – Wiera była tego pewna. Farnese rozgrywała każdą rozmowę, także tę. – To było tak, jakby ona chciała mi to powiedzieć, przyznać się, że to ona.

– Po co? – zapytał Kosoń.

– Bo chce, żeby sprawa Hryciuka nie została zamieciona pod dywan.

– Ale wie, że z tym, co mamy, jej nie oskarżymy. A nawet jeżeli pójdziemy tym tropem, to przegramy. Nie, nie w tym rzecz. Jeśli ona jest taka, jak mówicie, znaczy bystra, to zdaje sobie z tego sprawę.

– Ciekawe, czy ona wie o Zielińskim. – Głośno myślał Kosoń. – O jego przeszłości i o tym, co nam powiedział.

Wierę nagle olśniło.

– A może to jest ten trop? Remek mówił, że oni się trzymają razem. Herman, Zieliński i Farnese.

– Nie sądzę, żeby Zieliński się im zwierzał. „Hej, jestem molestowanym chłopcem, odszukałem Hryciuka, chciałem go stuknąć, przestraszyć, ale go nie zabiłem”.

– A gdyby spojrzeć na to inaczej. – Wiera się rozkręcała. – Bo wcześniej założyliśmy, że Zieliński dużo wiedział o Hryciuku, bo go śledził – w necie, na portalach, odnalazł go w Olsztynie, zadzwonił do pałacu, a potem przekabacił Kowala i dostał termin wakacji. Przygotował się, bo musiał, inaczej ten plan dorwania księdza by się nie powiódł. A gdyby coś podobnego zrobiła Farnese? Jestem przekonana, że musiała, inaczej nie byłaby w Karolewie.

– Nigdzie po drodze nie wypłynęła. Nikt nie zgłaszał zainteresowania jakiejś kobiety Hryciukiem. Wszędzie, w każdym przypadku, pojawiali się faceci. Nawet w przypadku tego Szuby i karty leczenia Hryciuka – też faceci. *Nota bene* z tym też nic nie zrobiliśmy. Utknęliśmy, choć to może być trop. – Kosoń obracał w dłoniach pudełko zapalek.

– Nie tylko z tym. Billingi Hryciuka są nudne do porzygania, połączenia w obrębie kółek różańcowych. Nie wierzę, że to był jego jedyny telefon. Może po prostu taki służbowy, jak w każdej korpo, a miał jakiś drugi, prywatny? – Przyzwan spacerowała po ścieżce tam i z powrotem.

– Nie miał innego telefonu, to znaczy innego zarejestrowanego na siebie – powiedziała Wiera.

– Ale mógł mieć od kogoś innego, znaczy na kogoś innego zarejestrowany.

– Mógł i pewnie miał. Szukaj wiatru w polu. A, bo nie pamiętam, czy wam mówiłam. Wczoraj wystąpiłam do kurii o wydanie laptopa lub komputera Hryciuka.

– Pewnie się pilnował. – Kosoń był sceptyczny.

– Nie jestem przekonana. Raz, że był stary, technika mogła go pokonać, bo nawet sprawny technologicznie Zieliński się wyłożył, a dwa, że mogła go zgubić pycha. Tyle lat mu się udawało nie dać złapać, to osłabia czujność.

– A ci faceci u Szuby... Bo to mi też nie daje spokoju... Może oni działali na zlecenie Farnese? – Wiera postanowiła trzymać się tego wątku. – Bo ona mimo wszystko nie wygląda na kogoś, kto zasuwa po sieci i zbiera informacje. Ale mogłaby to komuś na przykład zlecić. Taki research. Pewnie ją stać.

– To wykraczało poza tradycyjną archiwalną kwerendę. – Przyzwan jakby nie mogła się zdecydować, czy iść za tą myślą.

– Może. – Kosoń przejawiał więcej entuzjazmu. – Ale wybierając ten trop, można dojść do wniosku, że właściwie zabicie Hryciuka też by mogła zlecić. Efekt jest, ręce nieskalane.

– Ale można również pomyśleć, że ona by chciała mieć skalane ręce. Że wyśledzenie Hryciuka zleciła, że ktoś zebrał dla niej różne informacje, ale ten ostatni etap to ona już sama. Żeby... żeby go... poczuć.

Do Wiery znów wróciły te obrazy. Dusząco-mdlące, ale jednak dające jakieś pokręcone ukojenie. Zaciska ręce na szyi ojca. Albo przykładła mu we śnie poduszkę do twarzy. I potem trzyma, dociska, siada na nim, nie myśli wtedy, nie

czuje, po prostu nie wpuszcza pod tę poduszkę tlenu, dopóki on nie przestanie wierzyć. Drży, telepie nią, ma świadomość, że nieodwołalnie pozbawia go życia. Popełnia przestępstwo, grzech, niszczy ojca, ale ratuje siebie.

– Żeby samej wymierzyć sprawiedliwość.

Przyzwan spojrzała na nią. Kosoń spojrzał na swojego poljota. Żadne się nie odezwało.

– Dochodzi ósma, musimy iść – powiedział w końcu Kosoń.

– Zadzwoń po. – Przyzwan poprawiła torebkę na ramieniu i poszła w kierunku chodnika, gdzie zaparkowała.

Na placu zabaw pojawiło się pierwsze dziecko. Dziewczynka, mała, może trzyletnia. Biegała między urządzeniami, głośno się śmiejąc. Matka, chyba matka, bo widać było po niej zaangażowanie emocjonalne, podążała za nią. W którymś momencie dziecko się potknęło i upadło. Z placu dobiegł szloch. Matka podeszła, podniosła dziewczynkę, przyjrzała się jej, pogłaskała po głowie, a potem delikatnie ją popchnęła, jakby gestem dawała znać – idź, baw się dalej, wszystko jest okej. Mała się zawahała, ale pobiegła. Kobieta czujnie się jej przyglądała, lecz z pewnej odległości.

„Gdyby tylko odpowiedzialni, normalni ludzie mieli dzieci”, pomyślała Wiera. Wtedy nie byłoby tej sprawy, zabitego Hryciuka, rozdygotanego Zielińskiego, Ruberta w szpitalu, podejrzanej Farnese, wystrzelonej w katolicki kosmos Anki.

Wiery też by nie było.

– Za dwa dni kończy się turnus. Według tego, co mi raportowaliście przez ostatnie dni, morderca księdza Hryciuka jest w tej grupie. Czekam na akt oskarżenia. – Król też wyglądał na niewyspanego.

– Jesteśmy na finiszu. Robimy jeszcze ostatnie ustalenia...

– Przejrzenie komputera to nie wypad po piwo. Chwilę trwa.

„Więc już wie”, pomyślała Wiera. Oni nie zdążyli mu powiedzieć, musiał się dowiedzieć od wojewódzkiej. A ta – od kurii. „Przyzwan miała cholerną rację – w sprintach Kościół też daje radę”.

– Pospieszmy się – zapewnił Kosoń.

– Niczego nie znajdziecie – powiedział Król. – Bo tam nic być nie może – dodał. W miarę szybko, a i tak wyszło dwuznacznie.

Kosoń nie skomentował. Chwilę pomilczał, a potem powiedział:

– Pojawiała się też druga koncepcja. Że to nie Zieliński.

Król spojrzał na komisarza ożywionym wzrokiem. Zmarszczki na twarzy mu się wygładziły. Wierze wydawało się, że słyszy, jak wypuszcza z siebie westchnienie ulgi.

„A jeśli wszędzie tak jest? Nie tylko tu?” Podniosła wzrok na wiszący nad drzwiami krzyż.

– Zaczynasz mówić sensownie. – Król poprawił się na krześle. – Kto?

– Farnese – odparł Kosoń.

– Farnese? Ta starsza zamożna kobieta? A jaki powód niby?... – Król zawiesił głos. – Też... – znowu się zawahał – ...nieobyczajny?

„A może on naprawdę nie jest dopuszczony wyżej?”, myślała Wiera. „Może nie wie o facetach ze świecznika wykorzystujących chłopców? A może nie potrafi w to uwierzyć, bo jest tak samo zaimpregnowany na prawdę jak Anka? Wszystkie szczeliny wątpliwości natychmiast zatyka tym, co usłyszy w prawoskrętnych kościele, radiu, gazecie – że zło to wszędzie, ale nie u nich”.

Kosoń też się chyba zawahał, bo przez chwilę przyglądał się komendantowi – lekko zaniepokojonemu, trochę jakby zawstydzonemu, ale w sumie otwartemu na taką ewentualność.

– Można powiedzieć, że nieobyczajny. Aleksander Mikołajczuk był w domu dziecka w Lidzbarku. Razem tam byli, jego siostra Magdalena też. – Wyciągnął z notesu zdjęcie i przesunął je w kierunku komendanta.

Król włożył okulary i podniósł kartonik do oczu.

– Z tyłu jest podpis.

Król obrócił zdjęcie.

– I właśnie ten dom dziecka odwiedzał Daniel Hryciuk. A potem Olek powiesił się na sznurze od bielizny.

– Na mózg ci się rzuciło? – Król się tak gwałtownie podniósł, że Wiera mimowolnie odsunęła się od stołu. – Obojgu wam się rzuciło? I Maryśce może też? Wystarczy ci do oskarżenia fakt, że masz zdjęcie tego chłopaka z księdzem? Ty sobie pomyśl, ile może być takich zdjęć.

„Ile może być takich zdjęć”. Wiera nie chciała o tym myśleć. Odsuwała te obrazy, ale one wracały. Ilu takich chłopców było? Ilu takich facetów, którzy lubili takich chłopców?

– I z każdym pójdziecie do sądu? I to jeszcze po co? Żeby umarłego sądzić?

– Zieliński się przyznał, że znał Hryciuka. Podał wiarygodne fakty, gdzie i kiedy się spotkali. Od niego też wiemy o pedofilskich czynach Daniela Hryciuka.

– Kosoń mówił powoli i spokojnie, ale dłoń zacisnął w pięść.

– Słowo przeciwko słowu, rozmawialiśmy o tym. No rozmawialiśmy czy nie?

– Tak. – Odchrząknęła Wiera, która została dźgnięta tym pytaniem. – Rozmawialiśmy, ale fakt, że Olek Mikołajczuk zginął w takich dziwnych okolicznościach i jeszcze to, że Rubert...

– W to też ją wciągnąłeś? – Król na chwilę przerwał swój marsz wokół biurka, żeby poluzować wiązanie krawata. – Ty wiesz, kim był Rubert? – Pytanie znowu było skierowane do Wiery.

– Komendantem. Jerzy Rubert był komendantem.

– A ty wiesz, kiedy to było?

– Dawno. Znacząco wcześniej.

Wiera czuła się tak jak wtedy, gdy koleżanki posądziły ją o kradzież pierścionka z szatni na wuefie. Zanim głośno powiedziały, że zwykle kradnie najbiedniejszy, przyglądały się jej znacząco, jak Król teraz.

– Dawno. W takich czasach, które na szczęście minęły. Ale które nieodwracalnie niszczyły moralność ludzi. Rubert to komuch, człowiek poprzedniego systemu. Za grosz wiarygodności nie ma, rozumiesz? Teraz siedzi w tej swojej głuszy, doi alkohol i coraz bardziej dziwaczeje. Na nim opieracie swoje oskarżenia? No, to życzę wam powodzenia w sądzie!

– Niektórzy sędziowie jeszcze są uczciwi – powiedział Kosoń.

– O, widzę, że idziesz dalej. – Król kipiał. – Dobrze, że niedługo ci tej drogi zostało. Takie słowa w ustach funkcjonariusza policji. Właściwie powinienem...

– To była prywatna opinia. Jako funkcjonariusz mam słuszne poglądy – zakpił Kosoń. – A co do Ruberta, to w jego sprawie toczy się właśnie śledztwo. Mam nadzieję, że policji uda się znaleźć przestępców, którzy go napadli i pobili.

– Przemoc to przemoc, zawsze zło. Ale to jakaś gówniarzeria. Rąbnęli staruszka i zwinęli mu kilkaset złotych. Pospolity napad rabunkowy. Oczywiście godny potępienia i mam nadzieję, że sprawcy zostaną wykryci.

– Może tak, a może nie. A może oni czego innego szukali niż pieniędzy?

– Tak? A czego? Może kolejnych zdjęć z księdzem Hryciukiem? – Król znowu usiadł przy biurku. Trochę się uspokoił.

– Raczej tego.

Kosoń schylił się i podniósł coś z ziemi.

Wiera dopiero teraz zauważyła, że leżało tam coś niedużego. Teraz to samo było na biurku komendanta.

Notes Jerzego Ruberta.

W pokoju zapanowała cisza.

– I o czym to niby ma świadczyć? – odezwał się w końcu komendant. – Ja wiem, to znaczy się domyślam. Legendy już o tym notesie chodzą – prychnął. – A prawda jest taka, że gdyby tam cokolwiek było, toby Rubert się tym już dawno posłużył. A tak to jak teczka Tymińskiego.

– A komendant na kogo w tamtych wyborach głosował? – zapytał Kosoń.

– Na pewno lepiej niż ty. I skończ już z tymi swoimi gierkami i zabawami. Tobie się wydaje, że ty wszystko możesz, bo ja przymykam oko na twoje niewłaściwe zachowania? Sierżant Jezierska ma niezły wzór. I to na początku kariery w policji.

Wiera siedziała i milczała. Myślała o Farnese. O sobie też – co będzie, kiedy Kosoń odejdzie. I kiedy jej się uda stąd odejść.

Król znowu wstał, tym razem jednak obrócił się twarzą do okna, tak że widzieli tylko jego plecy.

– Niewyjaśniona sprawa to minus. W tym przypadku – ogromny minus, bo tak się dzieje, gdy umiera osoba zasłużona dla lokalnej społeczności. Praca policji oczywiście ma głębszy cel niż zapełnianie statystyk, ale sprawy, które kończą się fiaskiem, to rysa na karierze funkcjonariusza. – Król odwrócił się w ich stronę. – Komisarz Kosoń już może sobie pozwolić na takie obsuwy, ale młodzi funkcjonariusze, którzy marzą o czymś innym niż patrolowanie ulic... To tyle. Wracajcie do pracy.

Kiedy byli już przy drzwiach, Król dodał:

– I pozdrówcie ode mnie panią prokurator.

Przypomniały się jej te szerokie, opalone plecy. Mocne dłonie, ogorzała twarz, uśmiech. Wtedy był u siebie, na swoim terenie, na swoich warunkach. Teraz – blady, z obandażowaną głową, wenflonem wkłutym w dłoń.

Chwilę stała w progu, niepewna. Kusiło ją, żeby się odwrócić, zejść na dół i opuścić szpital.

Czuła się winna.

– Cześć. – Usłyszała. – Nie czaj się tak, wejdź.

– Dzień dobry. – Podeszła do łóżka. – Myślałam, że pan śpi.

– Zawsze jestem czujny. Gdybym miał ci dać jedną radę od emerytowanego policjanta, to właśnie tę – bądź czujna. Trzymam się tej dewizy od lat. I dzięki

temu pewnie żyję. No ale starzeję się, tym razem mi jej zabrakło.

– No właśnie, bo ja... – zaczęła Wiera.

– Siadaj. – Wskazał głową na taboret.

Usiadła posłusznie.

– Przyszłam, bo jest mi głupio. Źle. Bo myślę, że gdybym nie zaczęła mówić o Hryciuku i Lubieniu, to tego by nie było. Zwłaszcza o Lubieniu. A teraz, kiedy się okazało, że oni tak gromadnie...

– Chciałaś dobrze. W naszym fachu często tak jest, że jak ktoś chce dobrze, to przy okazji uruchamia lawinę zła. Czasem to tylko etap pośredni, bo na końcu triumfuje dobro, a czasem kończy się tym złem i porażką. Póki dajesz z siebie wszystko i masz czyste sumienie, robisz dobrze. Zapamiętaj. Zapamiętasz? – Popatrzył na nią.

Kiwnęła głową.

– A może ja bym mogła coś dla pana zrobić? Coś przynieść, kupić, czy ja wiem?... – zapytała.

– Mogłabyś. Kwas chlebowy. – Po raz pierwszy się uśmiechnął. – Tylko nie na widoku, rozumiesz. Nie ze wszystkim można defilować.

Rozumiała. Nie ze wszystkim można.

ROZDZIAŁ 39

– Nie, nie odpuszczę. Im się wydaje, że mogą wszystko. – Przyzwan była rozjuszona. – Wredne gnoje, Król też, głupota go nie usprawiedliwia. A w niedzielę odkrochmalony poczapie do kościoła. Jezu, ja pierdołę! – Z hukiem odsunęła krzesło. – Dobra, ale na razie to ja jestem prokuratorką i ja przygotowuję akt oskarżenia. Mogą mi naskoczyć, ja już nie mam nic do stracenia, na Kamczatkę mnie nie ześlą. Wystąpię z wnioskiem o areszt dla Zielińskiego.

Kosoń kiwnął głową.

Wiera się nie poruszyła. Gdyby miała teraz wyłożyć wszystkie swoje pieniądze, wszystko, co w ogóle miała, na stół i zagrać Zieliński kontra Farnese, wybrałaby ją. Niewiele miała na poparcie swojej tezy – poszlaki, domysły. I intuicję. Jeśli ma być dobrą policjantką, to musi mieć intuicję. Gdyby tylko udało się przyklepać tę intuicję jakimś dowodem, że to na pewno Farnese. To by ją ustawiło psychicznie na dalszą robotę. Nie pomyliła się, nadaje się. Czuła, że się gotuje. Mogłaby im to wszystko wywalić, powiedzieć tu i teraz, ale zamiast tego zapytała:

– Na pewno?

– Na pewno. Jeśli masz rację co do Mikołajczuka, to jest szansa, że to wyjdzie na jaw. On i inni poszkodowani, którzy mogą nas zaprowadzić do Lubienia i im podobnych. Trzeba po prostu rozpędzić tę maszynę, to jest teraz najważniejsze.

„Wierzy w winę Zielińskiego czy bierze takie mięso armatnie, jakie ma pod ręką?”. Wiera podziwiała prokuratorkę, ale nie miała pewności, czy czasem nie jest tak, że celem uświęcała środki. „Zwłaszcza w takiej sprawie, gdzie święconego

i świętych dużo”. Ciszę między nimi przerwał dzwonek telefonu wydobywający się z torby Przyzwan.

Wyciągnęła go i odebrała.

– Maria Przyzwan, słucham. Tak, mogę, a w celu?... Po południu, to znaczy? Czternasta? Dobrze, będę. – Odłożyła telefon. – Kanclerz kurii się odezwał. Prosi o spotkanie. Nie chciał nic więcej powiedzieć, wszystko osobiście – uprzedziła ich pytania. – Dobra, trzeba się brać do roboty, nie ma co czekać. Zróbcie porządek w papierach.

„To odważne tezy. Poparte dowodami?”

Trochę skrzeczało, dźwięk był przytłumiony, ale dało się słuchać.

– Zgłośnię. – Przyzwan nacisnęła guzik z boku telefonu.

„Bez tego prokuratura nie występowałaby z aktem oskarżenia. Pytaliśmy już o to, ale powtórzę to pytanie także księdzu: nigdy wcześniej nie było żadnych przesłanek co do ewentualnej pedofilii księdza Hryciuka?”

Przyzwan miała spokojny głos.

„Nie, zapewniam, że nie. Kościół ma teraz złą passę, bo są ludzie, którzy chcą mu zaszkodzić”.

Kanclerz odpowiedział równie spokojnie.

„To nie jest sprawa z teraz, tylko sprzed lat”.

„Tym dziwniejsze, że właśnie teraz wypływa”.

Wciąż spokój, ale jakby mniej kurtuazji.

„Psychologowie opisali te mechanizmy wyparcia. Poczucie krzywdy rośnie w człowieku utajone dla otoczenia aż do eksplozji, która jest już widoczna. To taki przypadek. Zresztą istnieją inne wątki w tej sprawie, które pozwalają przypuszczać, że będzie rozwojowa”.

„Inne wątki?... To znaczy?...”

Odchrząknięcie na końcu.

„Na tym etapie nie mogę nic więcej powiedzieć. Tajemnica i dobro śledztwa, rozumie ksiądz”.

„Księżę też czasem obowiązuje tajemnica zawodowa... No i dobro śledztwa. Nie naciskam, nam też oczywiście zależy na dobru śledztwa”.

„Oczywiście.”

Ironia. Wiera wyobraziła sobie Przyzwan w tamtym momencie – lekkie odchylenie głowy brodą w kierunku klatki piersiowej i półobrót. Zawsze tak robiła, gdy coś wykpiwała.

„Mogę tylko jeszcze raz powtórzyć, że jestem wstrząśnięty. I że, oczywiście, ja oraz inni bracia zrobimy, co należy, by można było wyjaśnić tę sprawę”.

„To zacznijmy od tych nazwisk z korespondencji księdza. To chyba wszystko księży, ale gdyby ksiądz mógł zweryfikować...”

„Przejrzę dokładnie i dam znać. Jeśli mógłbym coś jeszcze...”

„Nie, z resztą to już prokuratura sobie poradzi, dziękuję”.

„Z Bogiem”.

„Do widzenia”.

– Gładko poszło. – Kosoń ni to się zdziwił, ni to stwierdził fakt. – A po co właściwie chciał się spotkać? I co mówiliście wcześniej?

– Oficjalne po to, żeby poznać „ostateczny kierunek śledztwa”. Wcześniej były okrągłe zdania na temat „nagonki na księży, sił niechętnych katolicyzmowi, raka niewiary, jednoczącej roli Kościoła”.

– Usztywnione stanowisko – powiedział Kosoń. – Okopy Świętej Trójcy.

– Żebyś wiedział – zachnęła się Przyzwan. – *À propos*, wiecie, co mi się skojarzyło z tymi okopami? – Spojrzała na nich. – Trzy lata temu byłam na wycieczce na Ukrainie. Taka objazdówka. Oglądaliśmy też tę twierdzę nad Dniestrem. Tam wszystko zaczęło się od szanca. Jan III Sobieski wymyślił sobie, że znajdujący się w okopach nieduży szaniec jest świetnie położony i nadaje się na twierdzę, która będzie blokowała najeźdźców. I tak rach-ciach, z niewielkiej osady zrobili ufortyfikowane orle gniazdo. To tam się zatrzymywali Polacy, którzy

wracali do odbitego Kamieńca Podolskiego. Potem były pomysły, żeby zmienić okopy w miasto, ale nie wyszło. Teraz to już tylko smętne wspomnienie dawnej chwały – dwie sypiące się bramy przy dziurawej drodze. A w naszej sprawie mam nadzieję, że szaniec się nie wybroni i dorwiemy się do tych świętych okopów. Idę pisać akt oskarżenia.

ROZDZIAŁ 40

Chyba miał stan podgorączkowy.

Wiedział, że Szaniec mieści się na terenie Karolewa, w jednym z oryginalnych dworskich zabudowań. Nie wiedział jednak, że w tym, w którym on kiedyś mieszkał. Mało brakowało, a dostałby swój dawny pokój. Na szczęście Maciek ulokował go w innym. Do „jego” trafił Tomasz Herman.

Pierwszej nocy nie spał. Wróciły wspomnienia dzieciństwa. Ojciec, wiecznie podenerwowany, matka, zawsze na jego usługach. On między nimi – nie wiadomo po co. Przypomniało mu się, jak zamykali drzwi do pokoju, a potem słyszał te sapania. I na jakiś czas był spokój, ojciec potrafił go nawet po głowie pogłaskać, matka też była nim bardziej zainteresowana. A potem wszystko abarot.

Szukał spokoju, azylu, zainteresowania w różnych miejscach, ale jaki tu był wybór? Dosadni chłopcy? Dziewczyny? One nie były nim zainteresowane, a on – nimi. Nauczyciele? Pan od geografii, on jeden miał dla niego dobre słowo, nawet mu landrynki parę razy przyniósł. Wtedy to go cieszyło, wzruszało nawet, dopiero potem się zaczął zastanawiać, czy Kowalczuk nie był taki sam jak on, tylko mniej zdeterminowany, przynajmniej w jego, Daniela, przypadku.

Skończył szkołę i wyrwał się stąd. W seminarium poczuł się jak w raju. Bóg go kochał prawdziwie. Czuł się potrzebny, ważny. Myślał, że wszystko się poukładało.

„Nigdy nie żałowałaś, że poszedłeś tą ścieżką?”, zapytała go matka przed śmiercią. Dziwne jak na nią pytanie, ale to już była sama końcówka, w szpitalu. Leki jej dawali, otumaniona była. Zasypiała, odpływała, przebudzała się i wracała.

Różne się wtedy rzeczy dzieją z człowiekiem. Pokręcił głową. „Że nie miałeś żony, dziecka?”, znowu na niego spojrzała zmętniałym wzrokiem. „Nie”, powiedział, „nigdy”. „Nigdy bym nie chciał takiej rodziny jak wy”, to już tylko pomyślał.

Gdy matka umarła, poczuł spokój. Ojciec oszedł prawie dziesięć lat wcześniej. Przeszłość zniknęła.

Ta też zniknie. Nie będzie się zadreślał. Przecież zawsze się udawało, więc dlaczego teraz by miało być inaczej?

Odpuść, właśnie tu, na przekór wszystkiemu. Wyjedzie zrelaksowany.

Niespieszno mu było na tamtą stronę. W piekło, tego by głośno nie powiedział, nie wierzył, ale w czyściec oczywiście tak. Na początku gład przywalał mu sumienie, teraz to najwyżej były lekko uwierające kamyczki. Po tej stronie sądy go mijały, a za niebieską bramą – nie wiadomo. Jak go tamten sąd oceni?...

Tu, na ziemi, było dobrze. Więc przyłoży się i postara zostać tutaj jak najdłużej.

ROZDZIAŁ 41

– Słucham?

Wiera odezwała się pierwsza. Musiała, bo nie mogła już dłużej wytrzymać tej ciszy.

Król odchrząknął. Dotknął palcami węzła na krawacie, a potem przejechał nimi w dół, po materiale.

– Niestety, to przykra sprawa, ale tak to właśnie jest.

Nie powiedział: „Takie są fakty”, „Takie są dowody”, tylko: „Tak to właśnie jest”.

– To nieprawda – powiedział wreszcie Kosoń.

– Józwik miał badaną krew. Półtora promila. Niestety, to straszny nałóg. Pokona nawet lekarza, tu wiedza czy wykształcenie nie mają nic do rzeczy – wygłosił tę sentencję ze smutkiem.

– Mówił, że nie pije.

– Mówił, mówił... Ludzie różne rzeczy mówią. Badane alkomatem i z krwi.

– Ale nie był wtedy w pracy, poza pracą to każdy może pić, nawet alkoholik. – Kosoń nie ustępował.

– W pracy znaleziono flaszki. W szafkach, w jego pokoju. Puste i pełne.

– Kto znalazł?

– Policja.

– Od nas?

– Nie. W takie sprawy nie można mieszać lokalnych funkcjonariuszy. Z Olsztyna ekipa znalazła.

– Z Olsztyna... – Kosoń pokiwał głową i wydał usta w kpiącym uśmiechu. – Chwaccy.

Król wytrzymał to spojrzenie.

– Tak jest obiektywnie. Poza tym to prokurator nakazał przeszukanie gabinetu i domu Jóźwika. To poważne oskarżenie, zwłaszcza że jako lekarz wydaje opinie rzutujące na dalszy przebieg śledztwa.

– A dlaczego prokurator się zainteresował sprawą? Teraz, na finale, gdy prawie był gotowy akt oskarżenia? – Kosoniowi jednak trochę zadrżał głos.

– Bo nie był zadowolony z pracy prokurator rejonowej. Z pracy policji zresztą też nie. Wysłuchałem z przykrością o naszej indolencji. No, a jak do tego doszedł ten incydent z Jóźwikiem... Był agresywny, wdał się w bójkę. Życie go przerosło. Rzucił picie, rzucił palenie i nie dał rady. Nałóg wrócił ze zdwojoną siłą.

Wiera myślała o kwasie chlebowym. O piwie. O lodowatej wodzie. O tym, żeby stąd wyjść i więcej nie wrócić. Czuła, że jeśli czegoś ze sobą nie zrobi, to zacznie krzyczeć. Wściekłość w niej buzowała.

– I co teraz będzie?

– Teraz ponownie są badane próbki krwi księdza Hryciuka, inny patolog ocenia raport sekcyjny. Zobaczymy, co wykaże. Idźcie i przygotujcie wszystkie dokumenty do przekazania.

Wiera nie ruszyła się z miejsca, Kosoń też stał jak przyklejony do podłogi.

– No?... – zniecierpliwiał się w końcu Król. – Co jeszcze?

Kosoń pokręcił głową.

– Nic. Tylko tyle, że jesteście złamasem.

„Ustalenia Prokuratury Okręgowej w Olsztynie są takie, że ksiądz Daniel, święć Panie nad jego duszą, zmarł z powodu nieszczęśliwej interakcji między lekami,

które brał, lub z przyczyn naturalnych. Prokurator, na podstawie ponownych badań, ustalił, że śmierć księdza Hryciuka nastąpiła bez udziału osób trzecich”. – Przyzwan chodziła wzdłuż auta, wte i wewte. – Zadzwoił do mnie, niby tak, kurwa, kurtuazyjnie, żeby mi podziękować! Rozumiecie? W imieniu swoim i braci z kurii dziękuje mi za wkład w przeprowadzenie śledztwa. Jaki oni mają tupet! Ja pierdołę! – Sięgnęła do torebki. Wyjęła paczkę papierosów i zapalarkę. Klikała spustem, ale ogień był za mały i po chwili gasł. – Kurwa, no! – Z impetem rzuciła zapalarkę na ziemię. – A miało starczyć na trzysta zapaleń.

Kosoń wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek. Przeciągnął dREWIEKIEM po drasce i przysunął do jej papierosa. Tytoń się rozżarzył.

– To jest koniec, rozumiecie? – Spojrzała na nich. – Sprawa zamknięta, śmierć naturalna, do widzenia.

– Może niekoniecznie? Kościół chciał to wyciszyć, bo to w nich uderza, ale przecież byli inni. Na przykład Lubień... – zaczęła Wiera.

– O, nie, nie! – Przyzwan jej przerwała. – Kościołowi to było nie na rękę, jasne, ale jestem przekonana, że przyszło wsparcie z innej strony. A to dlatego, że właśnie nie chodziło tylko o Hryciuka. Oni są zdolni do wszystkiego. Jóźwik na przykład, co oni mu zrobili!

Wiera miała wrażenie, że Przyzwan za chwilę się rozpadnie. Nie mogła na to patrzeć. Jeszcze wczoraj prokuratorka była zapalona, żeby walczyć o sprawę, a teraz musiała się poddać.

– Jest w rozsypce. Zarzeka się, że nie ma pojęcia, co się stało. – Kosoń włączył się do rozmowy. – Mówi, że wyszedł z roboty, poszedł do auta i pamięta jeszcze tylko, że położył teczkę na fotelu obok, a ocknął się dziesięć kilometrów od szpitala, jak się szarpał z drogówką. Był pijany i naszprycowany. Samochód stał na poboczu, silnik włączony. Anonimowy kierowca zgłosił, że jedzie zygzakiem.

– SzeF mu wierzy? – zapytała Wiera *pro forma*. Ona nie znała Jóźwika dobrze, a mu wierzyła, bo za grosz nie wierzyła komendantowi.

– Wierzę. Ma różne wady, ale z pić zerwał. Wszyscy wiedzieli, jak się pilnuje, odmawia, zresztą przestali proponować. Sprawdziłem w szpitalu – przez ostatnie dwa lata, bo od wtedy nie pił, powiedział to w Szańcu, kiedy oglądał Hryciuka, ani razu nie zdarzyła mu się „nieuzasadniona nieobecność w pracy”. Nie nawalił, nic. To nie jest przypadek. Właśnie teraz, właśnie w historii Hryciuka. Grubymi nićmi szyte.

– A komu to przeszkadza? Choćby było i szpagatem zszyte, też będzie okej. Nawet w PRL-u mieli więcej finezji. – Przyzwan w końcu się zatrzymała i oparła o samochód.

Stali obok siebie, nic nie mówili.

Do Wiery wciąż z trudem docierało to, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Te rozważania: Zieliński czy Farnese, które z nich, co sprawniej pociągnie sprawę pedofilską. Teraz to było czcze.

Przypomniała się jej rozmowa, gdy wracali z Kosoniem z Biedaszek. Tamta sprawa też wydała się jej czcza, bo nic nie mogli zrobić. Wtedy obwiniała za to tę Moroń. Teraz też inni wiązali jej ręce.

Może w ogóle ta robota nie miała sensu? A może to ona była do dupy? Może już zawsze będzie rozgrywana innymi, od nich zależna?

Poczuła łyzy pod powiekami. „Oddychaj”, nakazała sobie. „Oddychaj, kurwa!” To by dopiero było upokorzenie, gdyby się tu rozryczała.

– Zaczęło się od zmasowanego ataku, a skończyło się goryczą odwrotu. – Kosoń poklepał ją po ramieniu. – Starzy łatwiej to znoszą.

Przyzwan machnęła ręką.

– Przez chwilę miałam nadzieję... Durna jestem, co? – Twarz jej złagodniała. – Pięć dyszek na karku, lata praktykowania i dałam się zrobić w chuja.

– Oni tak... – zaczęła Wiera. Nie mogła patrzeć na Przyzwan. Było jej żal prokuratoroki. Żal jak cholera.

– Nie im się dałam zrobić, tylko sobie. Znasz takie powiedzenie: Gdy mędrzec zna początek sprawy, zna też jej koniec? No, więc nie jestem mędrzem, tylko

jestem durna. Idę na urlop. *Sorry*, muszę zniknąć na chwilę. Nie dzwoń, sama się odezwę. – Spojrzała na Kosonia. – Cześć, pani sierżant. Do zobaczenia w lepszych okolicznościach.

„Zieliński uniknie oskarżenia, ale nie zazna zadośćuczynienia. Farnese uniknie odpowiedzialności, ale nie zazna pełnej satysfakcji, a może?”

Wiera siedziała w samochodzie zaparkowanym na poboczu, nieopodal wylotu leśnej drogi prowadzącej do Szańca.

Zieliński... Ekipa przeszukująca teren, chwilę przed odwołaniem, które Król zarządził, skoro sprawa zamknięta, znalazła sznur na sośnie. Nieporadnie zawieszony na gałęzi, nie wiadomo, czyby wytrzymał, ale intencja była jasna – to był sznur dla wisielca. „Wygląda tak jakoś... jak w teatrze”, powiedział Remek. Wiera pomyślała to samo, co Kosoń, który kazał jej zostać na komendzie, a sam pojechał przesłuchać Zielińskiego. Dociśnięty Zieliński w końcu dopowiedział poprzednie zeznania. Nie tylko miał nadzieję, że Hryciuk sam się przyzna, ale i miał plan, gdyby tego nie zrobił. Chciał go zwabić podczas jakiegoś zadania terenowego pod tę sosnę, zaszantażować i dać wybór – albo podpisze gotowe pismo z wyznaniem win i wtedy sprawiedliwość w rękach sądu, albo Zieliński mu pomoże w samobójstwie. Do próby sił nie doszło, bo ktoś Zielińskiego ubiegł i bardziej elegancko sprzątnął Hryciuka. Przygotowane pismo, podarte, spłynęło w toalecie. Brzmiało prawdopodobnie, podobnie jak wyjaśnienie, dlaczego, skoro już zwiął podczas tych przesłuchań, wystawiając się na podejrzenia, nie usunął sznura, nie próbował go jakoś zutilizować, zniszczyć schować. „Nie mogłem go znaleźć. Hektary cholernych sosen, wszystkie takie same”, zacytował jej Kosoń. „Jestem w stanie w to uwierzyć”, powiedział. Ona też była w stanie w to uwierzyć.

Najwcześniej wyjechała Agata Dereń. Wypasioną czarną terenówką, prowadzoną pewnie przez ojca. Zabrali chudą Julię. Potem było niebieskie auto na poznańskich rejestracjach – roześmiana blondynka za kierownicą, chyba

narzeczona Wolnego. Oni dwaj z tyłu. Za nimi z lasu wytoczył się stalowy luksusowy samochód – z Hermanem i Zielińskim.

Wiera patrzyła, jak auto skręca i niknie za okazałym budynkiem z czerwonej cegły.

W sumie nie wiedziała, po co tu przyjechała. Zobaczyć, jak się rozjeżdżają? Symbolicznie zamknąć sprawę? Przejechać te kilometry, żeby trochę się uspokoić? W głębi duszy przeczuwała jednak, że przyjechała tu dla Farnese, jakby ta, na sam koniec, miała coś jej powiedzieć, wyjaśnić, przekonać – Wierze trudno było to uchwycić – że sprawiedliwość ma sens, o który warto walczyć? Podziwiała tę kobietę, mimo że jednocześnie znajdowała w tym jakąś niestosowność.

Auto z logo korporacji na drzwiach bez pośpiechu minęło jej samochód. Przez moment widziała twarz Farnese, jak na zwolnionych obrotach taśmy. Siostra młodego Mikołajczuka patrzyła na nią, po prostu na nią patrzyła.

Wiera się nie poruszyła.

Po chwili otrząsnęła się z odrętwienia i spojrzała w lusterko wsteczne. Taksówka wolno się oddalała.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, wcisnęła sprzęgło, wrzuciła bieg, mocno nacisnęła pedał gazu i pojechała przed siebie, w przeciwną stronę.

Taksówka była już tylko małym białym punktem na czarnym asfalcie.

EPILOG

„Do mnie należy pomsta”

Ja, Magdalena Farnese, oświadczam, że 23 sierpnia 2019 roku zabiłam Daniela Hryciuka. Jeśli nie przyczyniły się do tego tabletki potasu, podmienione w pudełku z lekami, to sprawę załatwił zastrzyk z chlorku potasu. Odwiedziłam Daniela Hryciuka w jego pokoju pod pretekstem spowiedzi. Powiedziałam mu, że mam problem duchowy, a tu nawet w niedzielę nie mogę wyjść na mszę. Wpuścił mnie mimo formalnego zakazu. I mimo ostrzeżeń, które dostawał.

Naiwny.

Iglę wbiłam w udo, przez piżamę. Sprawna metoda, szybko i elegancko wszystko przebiegło. Potem ułożyłam Hryciuka na łóżku, przykryłam kołdrą, na stoliku zostawiłam kartkę.

Strzykawkę pocięłam nożyczkami do paznokci. Warto inwestować w markowe zestawy do manicure. Resztki wrzuciłam do toalety, razem z także pociętymi rękawiczkami lateksowymi.

Pół roku temu wysłałam Hryciukowi pierwszy list z tym cytatem z Listu do Rzymian. Tylko tyle, bez słowa wyjaśnienia. Potem drugi i trzeci. Lubię trójkę. Może z powodu Piotra Apostoła?...

Początkowo chciałam dołączyć list, w którym dokładnie opisałam zbrodnię Daniela Hryciuka przeciwko mojemu bratu Aleksandrowi Mikołajczukowi w okresie od listopada 1973 do lutego 1974. Molestowanie i gwałt na chłopcu z domu dziecka. Olek tego nie wytrzymał, powiesił się. Tego samego wieczoru,

zanim się to stało, opowiedział mi o wszystkim. Słuchałam i nie docierało do mnie. A potem Olek poszedł na strych.

Wtedy zabrakło mi pół roku, żeby ocalić brata, bo tyle potrzebowałam do osiągnięcia pełnoletności... A potem prawie pół wieku potrzebowałam, żeby dopilnować sprawiedliwości. Dopóki żył mój kochany mąż, nie chciałam go narażać na ryzyko bycia mężem zbrodniarki. A raczej wymierzającej sprawiedliwość.

Od dawna śledziłam losy Daniela Hryciuka. Ostatnie pół roku to intensywne działania dwóch detektywów z Polski, wynajętych przez mnie. Wiem, że Daniel Hryciuk dręczył, krzywdził i gwałcił także innych chłopców. Do niektórych z nich moi detektywi dotarli. Gdy zobaczyłam Marcina Zielińskiego, zrozumiałam, że też jest pokrzywdzony. Zresztą gdy już poznałam jego nazwisko podczas przesłuchań, to przypomniałam sobie, że i on był na tej liście. Nie powiedziałam mu tego; ofiara jest bardziej wrażliwa niż oskarżyciel posiłkowy. Tak, jestem oskarżycielem posiłkowym, sędzią, prokuratorem – w jednym.

Dzięki karcie z prywatnego gabinetu wiedziałam, jakie leki bierze Hryciuk. Podmienić pudełko na stołówce, gdzie je zażywał, to była prosta sprawa. Jednak po kilku dniach bez efektu zdecydowałam się na ostateczny krok. Może powinnam poczekać, nie wiem. Miałam jednak obawy, że Marcin Zieliński pęknie. Mógłby wywołać awanturę, powiedzieć coś przy wszystkich albo – to by było najgorsze – ubiec mnie i zabić Hryciuka. Zieliński i tak jest poturbowany przez los, a oskarżenie, więzienie i proces zniszczyłyby go do końca. Dlatego sięgnęłam po ostateczne rozwiązanie – zostałam także katem.

Wreszcie poczułam spokój, po tylu latach.

Wiem o umorzeniu sprawy. „Nieszczęśliwe połączenie leków”...

Po co do Pani piszę? I dlaczego właśnie do Pani?

Pani jest młoda i inna. Pani jest na początku tej drogi, zaangażowana. Pani chce wierzyć w sprawiedliwość, a motorem do działania jest nie tylko imperatyw

moralny, lecz zapewne i osobiste doświadczenia. Mylę się?... Nie odpowie mi Pani, to jasne, ale pytanie jest retoryczne.

Ten list to także list żelazny dla Zielińskiego. Gdyby kiedykolwiek, cokolwiek...

Oddaję sprawę w Pani ręce. Do listu dołączam dokumenty – w sprawie Olka oraz listę nazwisk poszkodowanych chłopców, ustaloną przez moich detektywów.

Schowa Pani te papiery do sejf, spali, przekaze przełożonemu, pójdzie do prokuratury, dziennikarzy?

To był dobry czy zły uczynek?

Postarałam się, żeby do końca życia nikt nie trafił na mój ślad. Majętne wdowy mają łatwiej.

Do mnie należała pomsta, ja wymierzyłam zapłatę.

Wiera znalazła ten list w skrzynce na parterze swojego bloku. Bez nazwiska nadawcy, bez stempli pocztowych. Biała koperta z jej imieniem i nazwiskiem.

Patrzyła przez okno. Był pierwszy dzień jesieni. Przyroda wciąż jeszcze żyła letnim trybem rozpasanej wegetacji; zażółcenie i podeschnięcie zieleni nie wynikały z szykowania się do spoczynku, tylko z upałów lata.

Równy dwa lata temu zaczęła służbę. Robiła różne rzeczy, mniej i bardziej sensowne, mniej i bardziej przydatne. W każdym razie – nieistotne.

Chciała „morderstwa z morałem”, jak to ujął Kosoń. Dostała je.

Dokładnie przeczytała cały List do Rzymian. „Miejcie wstręt do złego, podążajcie za dobrem!”

Teraz wszystko zależało od interpretacji.

Podobieństwo przedstawionych postaci i wydarzeń do żyjących osób i zaszłych historii jest przypadkowe. Niektóre miejsca są prawdziwe, inne to fikcja literacka.

Spis treści:

Karta tytułowa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Epilog

Karta redakcyjna

Text copyright © by Agnieszka Jeż-Kaflik, 2020
Copyright © by Burda Media Polska Sp. z o.o., 2020

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Redakcja: Agnieszka Szmatoła/Słowne Babki

Korekta: Ewelina Pawlak, Lena Marciniak-Cąkała/Słowne Babki

Projekt okładki: Pola i Daniel Rusiłowiczowie/KAV Studio

Zdjęcia na okładce: Arun Clarke/unsplash, Rekjezt/unsplash, Jason Wong/unsplash

ISBN 978-83-8053-803-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.kultowy.pl

www.burdaksiazki.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek